http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

# DZIECI

http://rcin.org.pl

## Tegoż autora poprzednio wydane:

| | Rb. | k. |
|---|---|---|
| **Emancypantki.** Powieść w 4 tomach. Wyd. drugie | 3 | 60 |
| **Faraon.** Powieść. 3 tomy. Wydanie drugie . . . | 3 | — |
| **Grzechy dzieciństwa.** Z illustr. A. Kędzierskiego. Wydanie drugie . . . . . . . . . . . . . . . | 1 | — |
| W oprawie . . . . . . . . . . . . . . . . . | 1 | 40 |
| **Kroniki** 1875—1878 . . . . . . . . . . . . . . | 2 | — |
| **Lalka.** Powieść w 2 tomach. Z portretem autora. Wydanie trzecie . . . . . . . . . . . . . . | 2 | — |
| **Najogólniejsze ideały życiowe.** Wyd. drugie, przejrzane . . . . . . . . . . . . . . . . . . . | 1 | 50 |
| **Pierwsze opowiadania.** Wydanie drugie . . . . . . | 1 | — |
| Treść: Przygoda Stasia. — Antek. — Powracająca fala. — Michałko. — Sieroca dola. | | |
| **Pisma.** (Wydanie jubileuszowe). 4 tomy . . . . . | 1 | 40 |
| W oprawie . . . . . . . . . . . . . . . . . | 2 | 20 |
| **Placówka.** Powieść. Z przedmową M. Brzezińskiego, z illustracyami Ant. Kamieńskiego i kartą tytułową Stanisława Witkiewicza . . . . | — | 65 |
| **Ze wspomnień cyklisty.** Powieść . . . . . . . . . | 1 | 30 |

http://rcin.org.pl

BOLESŁAW PRUS

# DZIECI

POWIEŚĆ

INSTYTUT BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1909

http://rcin.org.pl

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

1267

Instytut Polonistyczny
Uniw. Warsz.

http://rcin.org.pl

# I.

Pan Świrski Wincenty miał lat około siedmdziesięciu. Był to człowiek wysoki, szczupły, zawsze wyprostowany, zapięty na wszystkie guziki. Nosił śpiczastą napoleonkę, śpiczaste wąsy i szpakowatą czuprynę. Mało mówił, prawie nigdy nie śmiał się, wszystkich traktował z góry i surowo. Za młodych lat wojował pod Garibaldim, potem był krótko w powstaniu, a w 1870 roku służył w wolnych strzelcach francuskich, gdzie zdobył legię honorową. Podczas wieloletniej nieobecności w kraju jego rodzina mówiła, że podróżuje. Gdy zaś około roku 1880 wrócił do domu i opłacił należność za paszporty, bez żadnych przeszkód objął majątek po rodzicach, a u władz miejscowych zyskał opinię człowieka spokojnego i lojalnego.

Co prawda, zmienił się bardzo. Niegdyś zapalony demokrata i rewolucyonista, w późniejszych latach znienawidził rewolucyę i demokracyę, matkę, jak mówił, paryskiej komuny, na



http://rcin.org.pl

którą patrzył własnemi oczyma. Osiadłszy w kraju, prędko wycofał się ze wszelkich stosunków i pędził życie samotne. Wydawał mało, dochody składał w banku, liczną służbę, przeważnie męską, utrzymywał w rygorze wojskowym. Chłopów, z którymi miał ciągłe procesy, uważał za urodzonych złodziei leśnych i polnych, rzemieślników nazywał próżniakami, a kupców szachrajami. Żydów dzielił na dwie grupy: lichwiarzy i oszustów; wyjątek robił dla swego faktora Szymchy i kupca zbożowego Weintrauba.

— Tylko ci dwaj — mawiał — są coś nie coś warci, reszta — na suchą gałąź...

Z rodziną prawie nie wdawał się, czasem tylko widywał swego młodszego brata Witolda, któremu trzymał do chrztu jedynaka, imieniem Kazimierz. Gdy w kilka lat później umarli rodzice chłopczyny, stary dziwak został jego opiekunem, przywiązał się do sierotki i nawet usiłował przelać w niego swoje zasady.

Jego wyznanie wiary odznaczało się prostotą. Głową narodu jest i powinna być szlachta. Chłop, mieszczanin, może być niższym duchownym, małym urzędnikiem lub oficerkiem; ale biskupem, rządcą prowincyi, ministrem i generałem musi być tylko szlachcic, bo on posiada we krwi zdolność rządzenia. Szlachta powinna być nietylko majętna, ale rozumna, ukształcona i dzielna; dopiero wówczas potrafi rządzić i wychować naród.

http://rcin.org.pl

Państwo polskie upadło, a cały naród mało jest wart, dlatego, że szlachta zgałganiała. Ażeby podźwignąć naród, trzeba odrodzić szlachtę, czyli — przypomnieć jej i nauczyć właściwych tej klasie obowiązków. Szlachcic nie powinien rwać się do pisania wierszy, do muzyki, medycyny, nawet do agronomii, ale powinien uczyć się sztuki rządzenia. Powinien służyć w administracyi, sądownictwie, dyplomacyi i w wojsku.

Według tych zasad stary dziwak wychowywał swego synowca, o którym mówił, że musi zostać — generałem. Kąpał go w chłodnej wodzie, karmił i ubierał poprostu, budził wcześnie. Nauczył go jeździć konno, strzelać, fechtować się. Utworzył dla niego oddział z wiejskich chłopców, którzy byli uzbrojeni w dziecinne karabinki, ubrani w fantastyczne mundury i musztrowali się nie najgorzej.

Od wczesnego wieku stryj opowiadał Kaziowi upiększone życiorysy znakomitych wojowników, którzy niczego się nie bali, nigdy nie upadali na duchu, największe klęski umieli przetrwać. Teoryę popierał ćwiczeniami praktycznemi; więc wyprowadzał chłopca na spacery w czasie burzy, chodził z nim w nocy do lasu i na cmentarz, niekiedy wysyłał tam samego. Taki system wychowania, prowadzony bezwzględnie, mógł zrujnować słabsze dziecko. Na szczęście Kazio był zdrów, silny i zdolny, więc wyrobił się na niezwykłego młodzieńca.



http://rcin.org.pl

Z początku stryj chciał oddać Kazia do kadetów; zrozumiawszy jednak, że nie potrafi rozstać się z nim na długo, zapisał go do gimnazyum w X., o kilkanaście mil oddalonem od Świerków.

Rodzina Świrskich nie pochwalała zamiarów stryja odnośnie do Kazia, a nawet jeden ze starszych członków taką miał rozmowę z dziwacznym opiekunem:

— Cóż kuzyn zamyśla robić z Kaziem, bo dochodzą nas szczególne wieści?

— Widzicie, co robię! — odparł stryj. — Oddaję go do szkół...

— Ale z tem wojskiem, jakże to?...

— Gdy skończy szkoły, pójdzie na ochotnika... śpiewając zda egzamin... potem wstąpi do akademii wojskowej...

— Tere... fere!... — przerwał kuzyn. — Do akademii go nie przyjmą...

— Tere... fere!... — odparł stryj surowo. — Moja w tem głowa, ażeby go przyjęli do akademii...

— A co potem?...

— Potem wróci do domu i, jeżeli zechce, może zająć się gospodarstwem...

— Więc na cóż mu akademia wojskowa?... — zapytał kuzyn.

— Na to, ażeby w kraju byli ludzie, znający sztukę wojskową... rozumiejący: co to jest wojna?...

— A to na co?...

http://rcin.org.pl

— Na to, ażebyście nie robili głupich powstań!... — odburknął zirytowany stryj. — Naszemu nieuctwu, brakowi najsłabszych pojęć o sztuce wojennej zawdzięczamy to, że w roku sześćdziesiątym kilkunastu smarkaczów popchnęło kraj do wojny... Kraj, który nie miał ani jednego batalionu, ani jednej armaty, ani jednego generała.

W Świerkach był stary pałac, podobny do jednopiętrowej kamienicy i ogromny park wilgotny i ponury.

Dopóki Kazio mieszkał na wsi, w parku rozlegały się wesołe krzyki dzieci, trzask fuzyjek kapiszonowych, piskliwe głosy komendy. Wówczas stryj lubił chodzić po zarastających ścieżkach, przypatrywać się marszom, obozom, zasadzkom i bitwom dzieci. Ale, kiedy chłopak wyjechał do szkół, stary dziwak prawie nie odwiedzał parku; włóczył się po ogromnych pokojach pałacu, palił fajkę i myślał... myślał... myślał...

Myślał, że jednak Świerki smutne są bez Kazia i że, gdy chłopak wstąpi do wojska, trzeba będzie za nim pojechać... Myślał, że, gdy tak rozumnie wychowa swego pupila, inna szlachta będzie go naśladować, i tym sposobem zwolna utworzy się w Polsce nowa szlachta, która nie pozwoli na powstania i stłumi jakieś tam demokratyczne, a naprawdę anarchistyczne mrzonki.

Więc chodził pan Wincenty, palił fajkę i my-

http://rcin.org.pl

ślał... A niekiedy zatrzymywał się na środku wielkiej komnaty, jakby czekał na coś, a może nasłuchiwał odgłosów tej nowej przyszłości, której chciał być pierwszym siewcą...

Tymczasem Kazio uczył się w gimnazyum i powoli wyrabiał sobie stanowisko. W szkole przedewszystkiem zapoznał się z synami wojskowych, a przez nich z oficerami różnej broni, z którymi utrzymywał stosunki aż do piątej klasy. Bywał na musztrach, brał czynny udział w ćwiczeniach strzeleckich, nawet artyleryjskich, jeździł na kilkudniowe manewry. Niekiedy oficerowie budzili go w nocy i brali na wycieczki.

Nauczycielom, którymi po największej części byli Rosyanie, podobał się wojskowo usposobiony i oficerskie stosunki pielęgnujący uczeń. Koledzy jednak mniej się nim zachwycali, tembardziej, że Kazio wcale nie zdradzał uczuć polskich. Swoją literaturę znał mało, zachwycał się rosyjskimi autorami, a poza szkołą chętnie wdawał się z młodzieżą rosyjską. Któryś z kolegów nazwał raz go »moskiewskim duchem«, ale dostał od Kazia »w zęby« i uspokoił się; opinia bowiem publiczna, pomimo wszystko, trzymała stronę Świrskiego.

W rzeczy samej, chłopak zasługiwał na sympatyę: był doskonałym kolegą. Literalnie dzielił się wszystkiem: bułkami, serdelkami, ciastkami, książkami, bielizną, obuwiem i pieniędzmi, a co rok za kilku najuboższych opłacał wpisy.

http://rcin.org.pl

Stryj-opiekun, który w ofiarności publicznej mały brał udział i miał opinię zimnego dusigrosza, oceniał serce chłopca i nie tłumił jego dobrych popędów. To też, choć przeznaczył mu tylko 600 rubli rocznie na drobne wydatki, zawsze przed wakacyami spłacał parę tysięcy rubli długów, które Kazio, niby w tajemnicy przed stryjem, zaciągał u Weintrauba.

— A nie puszcza się on na jakie łajdactwa?... — pytał stryj kupca.

— Nie. To jest bardzo dobry panicz... On, jeżeli straci majątek, to chyba przez filantropię — odpowiedział Weintraub.

Drugą zaletą Kazia, którą cenili koledzy, było wysokie poczucie sprawiedliwości i godności ludzkiej. Nietylko nie pozwalał krzywdzić słabszych, ale nawet protestował przeciw niedowiedzionym podejrzeniom. W czwartej klasie jednego z kolegów posądzono o niepotrzebne stosunki z inspektorem, zaczęto mu dokuczać, a nawet pocichu nazywać szpiegiem. Świrski ujął się za nim, wyjaśnił, że prześladowany kolega z biedy starał się u inspektora o pracę, i wraz z innymi wyszukał mu dobrze płatną korepetycyę. Był to czyn, dowodzący w kilkunastoletnim chłopcu nietylko szlachetności, ale i głębszej rozwagi; to też nawet uczniowie wyższych klas szanowali Kazia i szukali jego towarzystwa.

Młody Świrski z nauczycielami był grzeczny, oceniał to, że go wyróżniają, ale krzywdy nie

http://rcin.org.pl

pozwolił zrobić sobie, ani innym. Pewnego dnia, a było to pod koniec roku, w czwartej klasie, jeden z nauczycieli zawołał do ucznia:

— Ty świnia!...

— Odpowiedz, że on sam świnia!... — krzyknął Świrski.

Nauczyciel zerwał się z krzesła, pobiegł do dyrektora i powiedział, że Świrski publicznie nazwał go świnią, notabene po polsku... Dyrektor przedewszystkiem zwrócił uwagę pedagoga, że nie ma się czem chwalić, a następnie przeprowadził śledztwo, na którem okazało się, że Świrski wprawdzie coś powiedział po polsku, ale co?... tego nikt nie słyszał, nie wyłączając uczniów Rosyan.

Dyrektor skazał Świrskiego na czterogodzinny areszt i przeproszenie nauczyciela; ale ponieważ chłopak nie chciał przepraszać, więc napisano do stryja, który natychmiast przyjechał i za pośrednictwem Weintrauba przeprowadził układy z obrażonym.

Rezultat był tak pomyślny, że nauczyciel sam przyszedł do Kazia, przebaczył mu niedozwolone w szkole odezwanie się po polsku i darował broszurkę o »Taktyce roty«, napisaną przez generała Dragomirowa.

Chłopak był tak wzruszony dobrocią nauczyciela, że przez Weintrauba posłał mu kosz wina, a nauczyciel od tej pory stał się jednym z naj-

http://rcin.org.pl

łagodniejszych. Popularność Świrskiego w gimnazyum dosięgła szczytu.

W piątej klasie stosunki Kazia uległy głębokim zmianom. Wojska, które dotychczas kwaterowały w X., poszły do Mandżuryi, a na ich miejsce przybyły nowe pułki, z których oficerami Świrski już nie zaznajamiał się. W dodatku chłopak musiał porzucić gimnazyum.

Pewnego dnia jeden z kolegów dał Świrskiemu »Dziady« Mickiewicza, które tak mu się podobały, że czytał je podczas lekcyi. Zauważył to nauczyciel, podszedł na palcach do Świrskiego i... pochwycił książkę.

Po przeprowadzeniu śledztwa stryjowi Wincentemu poradzono, ażeby synowca wycofał z gimnazyum.

Na pożegnanie dyrektor taką zrobił uwagę:

— Kazimierz Witoldowicz jest dobry, zdolny, szlachetny, ale... w ostatnich czasach zmienił się... Niech pan zwróci na to uwagę!...

— No, chłopak rośnie — odparł stryj — niedługo już będzie młodzieńcem...

— Tak, ma pan słuszność... On widać dlatego zmienił się, że rośnie...

Usunąwszy się z gimnazyum, młody Świrski wstąpił do szkoły handlowej. Tu poznał innych nauczycieli, innych kolegów, i tu zaczęły fermentować w nim nowe myśli.

W nowej szkole zaczął odwiedzać zebrania koleżeńskie, przysłuchiwał się odczytom i roz-

http://rcin.org.pl

prawom, które odsłoniły przed nim, dotychczas nieznany, a nawet nie przeczuwany świat — krzywdy. Na zebraniach bywali nietylko uczniowie szkoły handlowej, ale także młodzież urzędnicza, subjekci, rzemieślnicy, których, pomimo różnicy zajęć i stanowisk, wiązało jednak coś wspólnego: wielka krzywda.

Każdy z nich, w swoim czasie, marzył, jeżeli nie o tem, ażeby skończyć uniwersytet, to przynajmniej choćby szkołę średnią; każdy miał zdolności i chęć do nauk... Lecz dla jednych wpis był za wysoki, więc usunęli się z klasy trzeciej lub czwartej; inni nie mogli osiągnąć wymaganej doskonałości w języku rosyjskim, więc nie dawano im promocyi. Kilku wypędzono ze szkół za czytanie książek polskich, kilku nie skończyło gimnazyum, ponieważ w danym roku liczba patentów była ograniczona. Jednego raz na zawsze wypędzono ze wszystkich szkół i na kilka miesięcy osadzono w więzieniu za to, że uczył rzemieślników. A jeden napisał wypracowanie rosyjskie, które przeczytawszy, nauczyciel powiedział:

— Wasze wypracowanie wygląda tak, jakby napisał je człowiek dojrzały. A ponieważ wy nie jesteście człowiekiem dojrzałym, więc daję wam dwójkę...

Za ową dwójkę chłopak nie dostał promocyi i musiał opuścić gimnazyum.

»Krzywdy... krzywdy... straszne krzywdy«...— myślał Świrski, przypominając sobie te i tym po-

http://rcin.org.pl

dobne opowieści, którym nie było końca. Ale czy istniał sposób zaradzenia tym krzywdom? to jeszcze nie przyszło mu do głowy.

Pewnego wieczora Świrski był na zebraniu, na którem ktoś dorosły mówił o potrzebie zrobienia rewolucyi.

— Jakże pan ją zrobi, nie mając broni, a nadewszystko wyćwiczonych żołnierzy?... — zapytał Świrski.

— Trzeba zabijać pojedyńczo dygnitarzy, którzy kierują rządem...

— A jak oni nie dadzą się zabić, albo w dodatku pana zabiją?...

— To też trzeba napadać znienacka... w kilku przeciw jednemu... — odparł mówca.

— Ależ to będzie walka niehonorowa — oburzył się Świrski.

— Przecież sam chciałeś wstąpić do wojska — wtrącił jeden z kolegów — a wojsko także zabija?...

— Przepraszam! — zaoponował Świrski. — Wojsko nie zabija bezbronnych, w dodatku znienacka. A zresztą wojsku nie o to chodzi, ażeby zabić jakiegoś Pawła czy Gawła, ale o to, ażeby rozbić, zdezorganizować nieprzyjacielską armię... Wojna to jest gra, to jest sztuka; ale zabijanie pojedyńczych ludzi to morderstwo... Wreszcie wojna jest skuteczna, bo niszczy główne siły przeciwników, a tymczasem pojedyńcze zabój-

http://rcin.org.pl

stwa usuwają facetów, których można zastąpić jeszcze gorszymi...

Wszczął się hałas, rozprawy, i w rezultacie pokazało się, że opinia Świrskiego ma za sobą większość zebranych. Tak młodzież szkolna, jak rzemieślnicza i kupiecka, a nawet panny głosowały za wojną regularną, przeciw zabójstwom znienacka.

Wogóle na zebraniach Świrski odnosił zwycięstwa. Raz naprzykład, gdy mówiono o sprawie szkolnej, ktoś postawił wniosek, że szkoła powinna być wolna.

*Młody rzemieślnik.* Co to znaczy: szkoła wolna?

*Jędrzejczak.* Taka, do której wolno nie chodzić... (Śmiechy).

*Linowski.* Albo, chodząc, nie uczyć się... (Śmiechy).

*Wnioskodawca.* Szkoła wolna jest taka, którą każdy może otworzyć, w której wykładać można w każdym języku, do której nikogo nie wolno zmuszać i nareszcie której program obmyślają nauczyciele wraz z dyrektorem, a nie ktoś, stojący zewnątrz szkoły.

*Jeden z uczniów.* A czy młodzież będzie dopuszczona do obrad?

*Wnioskodawca.* Zapewne... Jeżeli będzie chodziło o osądzenie jakiegoś kolegi, o uwolnienie od wpisu, albo o udzielenie stypendyum...

*Stara nauczycielka.* A dlaczego młodzież nie

http://rcin.org.pl

miałaby brać udziału w naradach nad programem?... (Wrażenie).

*Świrski.* Dajmy na to: dlaczego uczniowte pierwszej klasy nie mieliby naradzać się nad wykładami trygonometryi, albo logarytmów?... (Śmiech).

Po uwadze Świrskiego zebranie postanowiło sprawę szkoły wolnej, a nadewszystko udziału uczniów w naradach, przekazać osobnej komisyi. A tymczasem Świrski zapoznał się bliżej z Jędrzejczakiem i Linowskim, których do tego dnia znał niewiele.

Niekiedy zamiast wniosków, rozstrząsanych i przyjmowanych albo odrzucanych, wypowiadano poglądy, niby dogmaty, na które nie godzący się dostawali nazwę burżujów i zacofańców. Naprzykład: praca musi trwać nie dłużej, niż ośm godzin na dobę, za co robotnik powinien mieć należyte utrzymanie i zabezpieczoną starość. Środki do życia każdy powinien czerpać tylko z własnego trudu, nigdy z procentów od kapitału. Ziemia i fabryki należą do społeczeństwa, które mianuje dyrektorów i zarządzających; ci zaś znajdują się pod kontrolą najbliższych pracowników. Wszelka własność prywatna i wszelkie dziedzictwo znosi się...

— Mój ojciec — odezwał się Jędrzejczak — chyba nie wyrzeknie się swojej ziemi.

— Ani mój stryj... — szepnął Świrski.

— A mój znowu ojciec nie pozwoli kontro-

http://rcin.org.pl

lować się gajowym, których dotychczas on kontrolował... — dodał, śmiejąc się, Linowski.

— Jakim zresztą sposobem zaprowadzicie wszystkie te zmiany?... — zapytał Świrski mówcę, który wykładał powyższe poglądy.

— Siłą!... walką!.. — odparł mówca. — Obalimy rząd kapitalistów i zacofańców, a stworzymy nasz: postępowy i demokratyczny...

— Do walki trzeba wojska... broni... — odparł Świrski.

— Każdy proletaryusz jest żołnierzem — odpowiedziano. — A co się tyczy broni, część zakupimy, a część zdobędziemy...

— Czem?... pięściami?...

— A brauningi?

— Więc panowie sądzicie — pytał, hamując rozdrażnienie, Świrski — że ludzie surowi, niewymusztrowani i uzbrojeni tylko w brauningi, mogą zwyciężyć wojsko regularne, wyćwiczone, zaopatrzone w karabiny i armaty?...

— My nie sądzimy... jesteśmy tego pewni!...

Linowski zaczął się śmiać, ktoś inny gwizdnął... Wszczęło się zamieszanie, padły pogróżki... Wówczas Świrski zabrał głos i przemówił mniej więcej w takim sensie:

Jeszcze nie pora zastanawiać się nad zniesieniem własności. Anglicy, Francuzi, nawet Szwajcarzy i Amerykanie, uznają prawo własności i dzieje im się nie najgorzej... Równie przypuszczam, że Polakom i Rosyanom nie tyle trzeba

http://rcin.org.pl

szkoły, w której programy układaliby uczniowie, ile szkoły dobrej i taniej, jeżeli nie bezpłatnej... Sądzę, że i nasi robotnicy nie potrzebują wybierać dyrektora, ale powinniby mieć zdolnych i uczciwych kierowników...

Krótko mówiąc — zakończył Świrski — nam, Polakom, a także chyba i Rosyanom, potrzeba przedewszystkiem takiej wolności, jaką już mają ludy ucywilizowane: Anglicy, Francuzi, Szwajcarzy... Tę wolność musimy zdobyć, ale nie zdobędziemy jej, nie mając doskonałej broni i ludzi, wojskowo wyćwiczonych.

A zatem stworzyć wojsko dzielne i przejęte duchem swobody to nasz cel najpierwszy. Przy tej zaś okazyi przekonamy się, że i ludzie, posiadający własność, są potrzebni: ich bowiem majątki mogą posłużyć do zakupienia broni i ułatwienia ćwiczeń wojskowych...

— To będzie wolność burżujów, z której dla robociarzy wyniknie w dalszym ciągu nędza i umęczenie — zawołał jeden z obecnych.

— Towarzysz Świrski zawsze musi wnosić do zebrań niezgodę! — dodał ktoś inny.

— Pan Świrski, pan Świrski! — dorzucił piskliwy głos z ironią.

Zebranie podzieliło się. Robotnicy byli przeciwni poglądom Świrskiego, za którymi głosował Linowski, Starka, Chrzanowski i wogóle uczniowie.

— Kolega Świrski ma słuszność! — wołał

http://rcin.org.pl

Chrzanowski. — Najpierw wolność, potem reformy ekonomiczne...

— Najpierwej chleb! — odezwał się starszy rzemieślnik.

Gdy zebrani poczęli się rozchodzić, do Świrskiego przystąpił mężczyzna nieokreślonego wieku, brunet, z czarnymi faworytami i wąsami.

— Jestem Kulowicz — rzekł, biorąc Kazia pod rękę. — Macie zupełną słuszność: najpierw trzeba zdobyć wolność, czyli utworzyć nasz rząd demokratyczny, a dopiero później zabrać się do reform ekonomicznych. No, ale to bydło nic nie rozumie, więc musimy obiecywać im gruszki na wierzbie...

— Ale czy to dobrze obiecywać, czego się nie wykona?... — zapytał Świrski.

— Ja nie twierdzę, że kiedyś nie wykona się, ale nie natychmiast... Zresztą pogadamy o tem...

Kiwnął głową i znikł na rogu ciemnej ulicy. Świrski zwrócił się do Linowskiego:

— Ja gdzieś tego faceta widziałem?... Mnie się zdaje, że on już kiedyś był na zebraniu?...

— A mnie się zdaje, że on miał wtedy kasztanowate włosy i brodę i nazywał się...

— Czy nie Nożyński?

— Nie jeden, co tydzień zmienia zarost i nazwisko — zakończył, śmiejąc się, Linowski.

W kilka dni Kulowicz odwiedził Świrskiego i oświadczył, że, aczkolwiek zgadza się na jego

http://rcin.org.pl

poglądy, to jednak radzi mu nie wypowiadać ich zbyt często i z wielkim naciskiem, ażeby nie wnosić rozdwojenia.

— Dziś wszyscy przyjaciele wolności powinni trzymać się razem. Jedność tworzy siłę! — zakończył Kulowicz.

Świrski był uparty w zdaniach, ale i wrażliwy na pochlebstwo. A ponieważ Kulowicz zasypywał go komplementami i wychwalał jego zdolności, więc chłopak dalej uczęszczał na zebrania i wystrzegał się jałowych sporów.

Prawie jednocześnie z pobytem Kulowicza zaczęły krążyć po mieście zdania, nie wiadomo przez kogo rozpuszczane i podsycane, że społeczeństwo, a przedewszystkiem młodzież miejscowa nie bierze udziału w ruchu rewolucyjnym.

— Gdzieindziej walczą — mówiono — zabijają i giną, a tutaj nic... Należałoby dać jakiś znak życia!...

Później zaczęto szeptać, że sam Świrski uznał konieczność zamachów na pojedyńcze osoby, że nawet stworzył odpowiedni związek i że wkrótce miasto usłyszy coś nowego.

Pogłoski te zdziwiły przyjaciół Świrskiego, a zirytowały jego samego. Ażeby położyć kres plotkom, ogłosił, że na jednem z bliższych zebrań będzie miał pogadankę o sztuce wojennej.

— A to awantura! — śmiał się pewien stary dependent. — Uczeń szóstej klasy, który ani przez



Instytut Polonistyczny KORBUTIANUM Uniw. Warsz.
http://rcin.org.pl

godzinę nie był w wojsku, chce uczyć wojskowości?... Koniec świata za pasem!...

Inni jednak zrobili mu uwagę, ażeby się nie uprzedzał, ponieważ Świrski czyta dużo wojskowych książek, a kiedyś znał się z oficerami i nawet jeździł na manewry.

— Ba!... strzelał z armaty... Wiem to od jednego z oficerów... — mówił stronnik Świrskiego.

## II.

Na przedmieściu Bagno znajdował się stary, opuszczony magazyn, do którego późnym wieczorem zeszło się kilkadziesiąt osób, ażeby posłuchać odczytu Świrskiego. Było tam zimno, ciemno, wilgotno, ale zebrani, przy słabym blasku trzech zakopconych latarń, lepiej bawili się, niż strojna publiczność w oświetlonej sali balowej. Towarzyszyły im dwa bóstwa: młodzieńczy zapał i wiara w przyszłość.

Przy jednej z latarń stanął Świrski i zaczął:

— Powiem szanownym słuchaczom, co to jest bitwa...

— Czy z doświadczeniami? — odezwał się młody głos.

— Bitwa — ciągnął Świrski — przypomina pojedynek. Pojedynek toczy się między dwoma przeciwnikami, uzbrojonymi w jakieś oręże, a bitwa toczy się między dwoma przeciwnymi wo-

http://rcin.org.pl

dzami, uzbrojonymi w armie. Armia jest to oręż wodza. W każdej walce: na pięści, na szpady, czy na karabiny i armaty, trzeba przedewszystkiem mieć najwyższą pogardę śmierci i odwagę czynną. Trzeba szukać przeciwnika, ścigać go, rzucać się na niego i, pomimo bólu i zmęczenia, bić, dopóki się nie podda, albo nie zostanie rozbity...

— Oto rzecz... bić!... mordować!... — odezwał się gruby głos kowala Zająca.

— Ale obok odwagi czynnej — mówił Świrski — trzeba mieć doskonałą broń i umieć nią władać... Innemi słowy: naczelny wódz musi mieć doskonałą armię, a nadto, musi tą armią umieć zadawać ciosy nieprzyjacielowi i odbijać jego ataki...

— Bić... mordować!... — powtarzał Zając.

— Ażeby państwo łatwiej zrozumieli...

— Jakie tam państwo?... towarzysze!...

— Ażeby... — zawahał się Świrski — ażeby... szanowni słuchacze łatwiej zrozumieli: jakie zalety powinien mieć dowódca, choćby najniższego stopnia, i jakie zalety powinno mieć wojsko, dam przykład...

— Proszę nie szczypnąć!... — odezwano się w najciemniejszej stronie magazynu.

— Piękne towarzystwo, niema co mówić! — wtrącił ktoś wytwornym akcentem.

— To się wynoś, kiedy ci nie pięknie!...

— Dam przykład — ciągnął Świrski. — Do-



http://rcin.org.pl

wódca kompanii, dzielącej się, jak wiadomo na cztery plutony, ma pod bronią 240 ludzi. Każdy pluton, liczący w tym wypadku 60 ludzi, kwateruje w innej wsi, każda wieś jest odległa od sąsiedniej o trzy lub cztery wiorsty... Jest to przykład fantastyczny... Nagle, z wieczora, dają znać owemu kapitanowi, że o dwie mile przed nim znajduje się oddziałek nieprzyjacielski, liczący 150 ludzi, a więc znakomicie słabszy, który śmiało możnaby napaść i znieść.

Cóż tedy robi ów oficer?... Przedewszystkiem stara się sprawdzić wiadomość, czyli dowiedzieć się jak najdokładniej: ilu jest nieprzyjaciół?... gdzie stoją?... kiedy mają zamiar odejść?... czy w pobliżu niema posiłków?... Gdy zaś to sprawdzi, wysyła do plutonów rozkazy, ażeby, dajmy na to, wyruszyli w nocy ze swoich kwater, każdy najbliższą drogą, ażeby maszerowali do takiego a takiego punktu i stanęli tam — przypuśćmy — o piątej rano.

Dowódcy plutonów spełniają rozkaz dokładnie, cała kompania znajduje się o oznaczonej godzinie we wskazanem miejscu, odpoczywa... Wtedy kapitan robi plan ataku i przystępuje do wykonania. Wysyła jeden pluton, czyli 60 ludzi w tyralierkę; jest to formacya podobna do łańcucha, w którym człowiek od człowieka jest oddalony na trzy lub cztery kroki, czasami więcej, albo mniej. Za tyralierami, skradającymi się, jak koty do myszy, wysyła drugi pluton, czyli cztery

http://rcin.org.pl

sekcye, każda po 15 ludzi, ażeby wspierali tyralierów przez wypełnianie pustych miejsc w łańcuchu.

Ów pluton tyralierów i pluton, wspierający ich, razem 120 ludzi, tworzą tak zwaną linię bojową. Linia ta odgrywa rolę niby tarczy. Druga zaś połowa kompanii, która została przy kapitanie, zebrana w jedną kolumnę, nazywa się rezerwą, a spełni rolę — niby miecza w ręku dowódcy. Gdy bowiem ukaże się nieprzyjaciel, gdy zacznie się wymiana strzałów, gdy dowódca pozna jego linię bojową i jego rezerwą, wówczas może:

Albo wysłać jeden pluton do zaatakowania przeciwnika z boku, albo też — całą półkompanię rzucić z bagnetem na środek, lub na któreś skrzydło nieprzyjacielskiej linii bojowej, ażeby ją przerwać w najsłabszym punkcie.

Może on zrobić wiele innych rzeczy, zawsze jednak celem jego operacyi będzie: zadać jak największą klęskę nieprzyjacielowi, z jak najmniejszemi stratami własnemi.

— A teraz powiedzieć: jak się robi rewolucya?... — zapytano z kąta.

— Rewolucya — odpowiedział Świrski — polega na tem, ażeby albo — obalić jakiś rząd i zastąpić go innym, albo — zmusić rząd istniejący do wprowadzenia pożądanych reform. Że zaś każdy rząd zasłania się armią, więc rewolu-

http://rcin.org.pl

cya przedewszystkiem musi zwalczyć, musi zwyciężyć armię rządową...

Wracam do bitwy, która posłuży nam do określenia, jakie zalety powinien mieć wódz i wojsko.

Dowódca przedewszystkiem powinien: znać siły nieprzyjaciela i jego rozstawienie. Do dowódcy przychodzą ciągle rozmaite wiadomości od szpiegów i od zwiadów; wiadomości te bywają sprzeczne, przesadzone, niekiedy fałszywe, a dowódca musi z nich wyrobić sobie dokładny pogląd na nieprzyjaciela. Bo, jeżeli nie doceni jego sił, może trafić na bardzo wielkie i zostać pobitym; a jeżeli nie wie dokładnie, w jaki sposób rozstawił się nieprzyjaciel, może część swego wojska narazić na niespodziany atak i — znowu zostać pobitym.

Powtóre, gdy dowodca zrobi plan, naturalnie po dojrzałej rozwadze, i gdy raz wyda polecenia, już nie powinien rozmyślać się, cofać, poprawiać... Może bowiem wywołać zamęt w ruchach, może narazić niektóre oddziały na zagładę, a w każdym razie — obudzi w wojsku uczucie niepewności. Żołnierz, któremu raz każą iść naprzód, a potem zwracają go z drogi, gotów przypuszczać, że ma przed sobą silniejszego nieprzyjaciela, i może uledz popłochowi.

Zrobić dobry plan i wykonać go bez wahania, bez względu, co będzie kosztował, oto zasadnicze obowiązki wodza.

http://rcin.org.pl

Przechodzę do żołnierzy.

Już wiemy, że dobry żołnierz powinien rwać się do bitwy, do zwyciężenia nieprzyjaciela, choćby przytem sto razy miał stracić życie lub narazić się na najboleśniejsze cierpienia. Ale to nie wszystko. Żołnierz powinien bowiem jeszcze umieć obchodzić się z bronią: strzelać, wymierzać odległości, walczyć bagnetem...

Ale i tego nie dosyć. Żołnierz jeszcze powinien znać swoje miejsce w sekcyi, jak sekcya w plutonie, pluton w kompanii i tak dalej.. Żołnierz powinien umieć maszerować krokiem zwyczajnym, przyśpieszonym, czy biegiem, ażeby szedł równo z innymi; bo, gdyby każdy chodził, jak mu się podoba, to już po przejściu stu kroków z linii zrobiłoby się zbiegowisko, a z kolumny — stado.

Nareszcie, co jest chyba najważniejsze, żołnierz musi słuchać, ślepo słuchać swego oficera. Każą mu wstawać w nocy — musi wstać; każą maszerować w czasie burzy — musi maszerować; każą stać bez ruchu pod strzałami — musi stać...

— Ehe!... to nie dla naszego brata... — zawołano basem.

— Demokraci mają spełniać czyjeś tam rozkazy?... podoba mi się!... — dodał głos młodzieńczy.

— Pozwolę sobie zrobić uwagę — rzekła jakaś dama — że towarzysz Świrski przedstawia

http://rcin.org.pl

wojsko i bitwy w sposób dziwnie oschły... biurokratyczny... W jego opisach nie słychać huku dział... szelestu sztandarów... okrzyków zapału...

— Przecie i dzisiaj mówią nam: słuchaj, draniu, co ci każą, a — nie to w zęby!...

— Burżujowskie teorye!...

— Nie burżujowskie, ale jaśniepańskie... Znać panicza...

Tak wołali jedni, podczas gdy inni oklaskiwali Świrskiego.

W rezultacie odczyt skończył się ogólnem rozdrażnieniem i jeszcze głębszym podziałem na dwie partye. Stronnicy Świrskiego godzili się na karność wojskową, na ślepe posłuszeństwo dowódcom; zaś przeciwnicy twierdzili, że należy słuchać tylko uchwał, zatwierdzonych większością głosów, przy zabezpieczeniu praw mniejszości.

W liczbie słuchaczów znajdowali się dwaj nauczyciele Świrskiego ze szkoły handlowej: młodszy z ciemną brodą, w płaszczu, i starszy, z małymi wąsami, w paltocie. Gdy opuścili magazyn i ogromne podwórze, a znaleźli się na słabo oświetlonej ulicy, starszy zaczął dotykać swojej głowy, nóg, piersi, a następnie tej samej operacyi poddał młodszego, mówiąc półgłosem:

— Sen, czy jawa?... mam gorączkę, czy jestem przytomny?... No, chyba nie śpię!... Nogi moje... palto moje... ulica... parkan... Więc mam do czynienia z rzeczywistością, nie z halucynacyą...

http://rcin.org.pl

— Cóż w koledze obudziło taką piekielną niewiarę?... — zapytał młodszy, poprawiając dwiema rękami bujną brodę.

— Jakto, więc kolega nie zdumiewasz się, że słyszałeś ucznia szóstej klasy, wykładającego sztukę wojenną?... — odparł starszy. — Bo ja nawet nie wiem, co o tem myśleć: czy to kpiny ze zdrowego rozsądku, czy zapowiedź niebywałego przewrotu w świecie?...

— Przesada, szanowny kolego, przesada!... — odpowiedział pięknym barytonem młodszy. — A gdyby ten nasz pupil był w szkole kadetów, czy junkierskiej, zresztą nie wiem, jak ją nazwać, i gdyby w siedmnastym roku nie potrafił powiedzieć czegoś o sztuce wojennej, z pewnością obaj nazwalibyśmy go — osłem...

— Ależ on nie jest w szkole junkierskiej, tylko w handlowej...

— Wasz siostrzeniec nie jest w szkole muzycznej, tylko także w handlowej, a mimo to wcale nieźle bębni na szpinecie. Czy miałbym go za to podziwiać?...

— W każdym razie dzisiejszy odczyt jest dla mnie rzeczą zdumiewająco nową! — mówił starszy. — I mam ochotę powiedzieć z Hamletem, że świat wyszedł z zawiasów!...

— A ja biorę to prościej i rozmaite ekstrawagancye młodzieży uważam, jako świt nowego okresu w historyi. Okres ów dla następców naszych będzie tak naturalnym, jak ten, w którym

http://rcin.org.pl

żyjemy, wydaje się naturalnym dla naszego pokolenia.

— Pomimo to — rzekł starszy — bardzo jestem ciekaw przyszłości już nietylko wszystkich naszych uczniów, albo choćby takiego oto Świrskiego. Handlowcem ani żadnym pracownikiem nie będzie on... Ale może z niego wyrosnąć jakiś Moltke?..

— Uspokój się, kolego!... W najlepszym razie młody człowiek wstąpi do wojska, przegra w karty pół majątku, pójdzie do szpitala, potem pojedzie do Buska... A wkońcu zapuści śpiczaste wąsy, jak jego stryj, będzie chodził wyprostowany, w zapiętym surducie, osiądzie na wsi, jeżeli go chłopi z niej nie wypłoszą, i postara się na handlu zbożem i bydłem odzyskać to, co stracił w wojsku na kartach.

— A jeżeli będzie z niego drugi Moltke?...

— Gdzie?... jakim sposobem?... w jakiem wojsku?... U nas niema warunków ani dla Bonapartych, ani nawet dla Moltków!...

Odczyt o wojsku zwrócił publiczną uwagę na Świrskiego: mówiono, a raczej szeptano o nim. Jedni oburzali się, że zachęcał do karności i ślepego posłuszeństwa, drudzy zapytywali: czy z niego nie wyrośnie wielki bojownik?... Nie zdawano sobie sprawy: o ile odczyt posiadał wartość pod względem wojskowym, ale zdumiewano się, że chłopak siedmnastoletni tak śmiało

http://rcin.org.pl

poruszał temat, na który nie porwałby się żaden z jego nauczycieli.

Może w tydzień Kulowicz znowu odwiedził Świrskiego. Gość tym razem był blondynem i nazywał się Truciński.

— Słyszałem — mówił Truciński — słyszałem o waszym odczycie!... Nazywają was geniuszem... Trochę zawcześnie, bo geniusz przedewszystkiem musi coś zrobić. Ale... droga przed wami otwarta...

— Droga do siódmej klasy?... — uśmiechnął się Świrski.

— A dlaczegóżby nie do sławy i nie do władzy?... — zapytał gość. — Ja, gdybym miał wasze zdolności, no — i wasze pieniądze, poszukałbym sobie najdzielniejszych między towarzyszami i utworzyłbym zawiązek przyszłej armii...

— Czy nie armii brauningistów?... — zapytał Świrski.

— Nie kpijcie z brauninga... niezła to broń, dopóki nie będzie mauserów... Zresztą i brauningiści nie zasługują na lekceważenie: to przednia straż wielkiej armii rewolucyjnej, którą stworzą tacy, jak wy... Pomyślcie o tem!...

— O czem?...

— Ażeby zebrać partyę dzielnej młodzieży i przelać w nią te wiadomości, jakie sami posiadacie. Byłby to korpus oficerów... kadry przyszłego wojska...

Świrski zastanowił się. Drgnęła w nim duma.

http://rcin.org.pl

— To jest myśl!... — rzekł. — Ale jakże będzie z bronią?...

— Eh!... — odparł blondyn — broni... ile chcecie... trzeba tylko zebrać pieniądze na nią. A gdy dostaniecie broń, moglibyście, dla wprawy, stoczyć jakąś małą potyczkę z wojskiem... Rewolucya już idzie!... Finlandya ma armię, w Rosyi tworzy się, tylko u nas nic...

Blondyn pożegnał Świrskiego i zniknął z miasta. W parę dni bomba rozerwała robotnika, który kręcił się z nią około policyi.

Od tej chwili w cichem dotychczas mieście X zaczęły się niepokoje. Co tydzień wychodziły numery rewolucyjnego pisma; w fabrykach i warsztatach wybuchały bezrobocia; na ulicach ukazywały się gromadki ludzi z czerwonymi sztandarami; parę razy strzelało wojsko. Pewnego dnia zabito człowieka, który podobno zajmował się szpiegostwem, a w tydzień później zamordowano kogoś niewinnego, przez omyłkę. Zaczęto napadać patrole i strzelać do strażników; w mieście i okolicach zdarzały się wypadki bandytyzmu.

Wśród takich warunków garstka uczniów i rzemieślników, podzielających opinię Świrskiego, na jego propozycyę, utworzyła związek Rycerzy Wolności. Związek miał dwa cele: pierwszy — ażeby powstrzymać swoich członków od mieszania się do akcyi terorystycznej, drugi – ażeby kształcić ich na żołnierzy.

http://rcin.org.pl

— Gdy przyjdzie czas — zakończył mowę Świrski — powiem wam, a wtedy wyjdziemy z miasta, uzbroimy się i rozpoczniemy walkę regularną.

Od tej pory, przy zachowaniu koniecznej tajemnicy, Rycerze zbierali się w mieście lub za miastem po kilka razy na tydzień i odbywali ćwiczenia.

Uczyli się maszerować pojedyńczo, liniami i kolumnami; fechtowali się na rapiry i bagnety, przyzwyczaili się do oceniania odległości okiem, kilka razy wyjeżdżali między góry i lasy i uczyli się strzelać do celu.

Obok tego hartowali się. Chodzili w lekkiej odzieży, w bieliźnie z prostego płótna; czasem nie sypiali w nocy, albo przez całą dobę powstrzymywali się od jedzenia. Gimnastykowali się i, dla wyrobienia odwagi, łazili po wysokich dachach, albo po dwóch czy w pojedynkę, spędzali noce na cmentarzach i w lesie, jak to za dziecinnych lat robił Świrski.

Wprawiano się też w posłuszeństwo, ściśle wykonywając każdy rozkaz. Naprzykład: jutro o godzinie tej a tej, w tem a w tem miejscu zbierzemy się... pojutrze nie jemy obiadu... innego dnia, o ile to będzie możliwe, powstrzymujemy się od mówienia...

Według umowy, każdy członek związku mógł być dowódcą, i w tym celu dowódcy zmieniali się co kilka dni. Ponieważ jednak Świrski od-

http://rcin.org.pl

znaczał się pomysłami, znał wojskowość i posiadał najwięcej powagi, więc on był prawdziwym wodzem. Linowski kochał go i ślepo w niego wierzył, Starka zazdrościł mu, Chrzanowski czasem krytykował, Lisowski niecierpliwił się, że jeszcze nie staczają bitew, Jędrzejczak drwił ze wszystkich. W rezultacie jednak propozycye Świrskiego prawie zawsze miały za sobą większość głosów i były wykonywane.

Pewnego razu, gdy człowiek, nazywający się Nożyńskim, Kulowiczem i Trucińskim, oświadczył Rycerzom Wolności, że jakaś większa organizacya chce zawiązać z nimi stosunki, ale tylko za pośrednictwem jednego zaufanego delegata, wszyscy wybrali na ten urząd Świrskiego.

I znowu zaczęły się ćwiczenia odwagi, rozmowy o śmierci i sposobach zachowywania się wobec niebezpieczeństwa. Ostatecznie przekonano się, że najlepszym środkiem przeciw niebezpieczeństwu jest — nie myśleć o niem, ale o czemś innem, przyjemnem.

Wkrótce zdarzyła się nieprawdopodobna sposobność złożenia egzaminu z dotychczasowych ćwiczeń. Na wiosnę znowu przyjechał, nie wiadomo skąd, Truciński (tym razem miał nieduże czarne faworyty, nie wymieniał swego nazwiska) i oświadczył, że chce rozmówić się z najwybitniejszymi Rycerzami Wolności. Jakoż Świrski zaprosił na wieczór kilkunastu kolegów, do których gość taką miał przemowę:

http://rcin.org.pl

— Moi panowie! Moskwa już dała hasło do rewolucyi...

— Nieosobliwe!... — szepnął Świrski.

— Bo to dopiero przygrywka, na którą odpowiedziały echa w armii i marynarce...

— Niewielka sztuka być rozstrzelanym!... — wtrącił Starka.

— Mówi pan, że niewielka?... — ciągnął gość. — Sądzi pan, że większa sztuka łazić po gzemsach, albo jeździć na skrzydle rozmachanego wiatraka?...

Przy tych słowach Świrski i Linowski zarumienili się.

— A ja i tegobym nie potrafił... — mruknął Jędrzejczak, targając rude włosy.

— I ja nie potrafiłbym — ciągnął gość — bo też rewolucya nie wymaga zręczności cyrkowej...

— Tylko czego?... — spytał Linowski, ostro patrząc mu w oczy.

— Odwagi!... poświęcenia!... — odpowiedział gość.— Jeżeli potrzeba usunąć jakiego łotra i zginąć samemu, socyalny rewolucyonista, gdy wyciągnie los, potrafi kilka tygodni żyć pod grozą śmierci i jeszcze z zimną krwią robić przygotowania. A wy co?...

— Potrafilibyśmy to samo... — odparł Starka.

— Więc nie chwalcie się, tylko róbcie...

— Mordować bezbronnych nie będziemy; to sprzeciwia sią i celom naszego związku, i naszym gustom!... — rzekł Świrski.

http://rcin.org.pl

— Wygodny związek!... bezpieczne gusta!...— uśmiechnął się gość.

— Ten pan myśli — zabrał głos Chrzanowski — że my się boimi śmierci i nie potrafilibyśmy, naprzykład, losować, gdyby na to przyszło... Pokażmy mu...

— Pyszna zabawa!... — krzyknął Jędrzejczak, uderzając pięścią w stół.

— Pokażcie!... zabawcie się!... — drwił gość.

Nastąpiła wymiana przykrych słów. Gość żartował z ostrożnych rewolucyonistów, którzy, aby wprawić się w pogardzanie śmiercią, łażą po parkanach, albo włóczą się po krzakach, a Jędrzejczak wspomniał o prowokatorach, którzy sami nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo, wysyłają na śmierć innych.

Argumenty gościa musiały jednak być mocniejsze, gdyż w rezultacie związkowcy, z których najstarszy miał ośmnaście lat, postanowili złożyć waryacki dowód odwagi. Modrzewski naciął kilkanaście kartek, na jednej Tryzna wyrysował krzyż, wszystkie wsypano w czapkę i zaczęto ciągnąć losy.

Krzyżyk dostał się piątoklasiście, Brydzińskiemu, który, stosownie do umowy, po upływie czterdziestu ośmiu godzin, odebrał sobie życie. Duma i zaciętość chłopców były tak wielkie, że nietylko żaden nie zaprotestował przeciw szalonej loteryi, ale przeciwnie: każdy uważał ją za dopełnienie ćwiczeń, rozwijających odwagę.

http://rcin.org.pl

Dopiero w kilka dni po pogrzebie Brydzińskiego zaczęła się reakcya. Trzech uczniów wystąpiło ze związku, a jeden uległ tak ciężkiej neurastenii, że miewał halucynacye i musiał opuścić szkołę. Ćwiczenia wojskowe na wiele tygodni przerwały się, ponieważ związkowcy nie mieli do nich chęci. Nawet Świrski przestał bywać na zebraniach tajnych, a zaczął uczęszczać na wiece jawne i poznał się z ludźmi, którzy mieli wstręt do rewolucyi, a zajmowali się pracami kulturalnemi. Świrski sam nie mieszał się do odczytów, nie zabierał głosu na wiecach, lecz na każdą z nowopowstających instytucyi ofiarowywał setki rubli. Z jego hojnych datków korzystały: ochrona w mieście X., szkoła elementarna polska, towarzystwo śpiewacze i gimnastyczne, uniwersytet ludowy, kursy dla analfabetów i wiele innych. Na jego prośbę stryj Wincenty założył w Świerkach szkołę elementarną, ochronę i sklep wiejski.

Nim zaczęły się wakacye, stryj Świrski wydał ze swoich i synowca funduszów około sześciu tysięcy rubli i nietylko nie protestował przeciw tak znacznemu rozchodowi w ciężkich czasach, ale jeszcze mówił ze złośliwym uśmiechem:

— Klimcio Żebrowski do ośmnastego roku życia przegrał w karty piętnaście tysięcy rubli, a mój chłopak wydał na filantropię tylko sześć



http://rcin.org.pl

tysięcy... Ma jeszcze u mnie na te głupstwa dziewięć tysięcy!...

Czas łagodzi silniejsze wzruszenia, więc, gdy młodzież zjechała się po wakacyach do szkoły, członkowie związku Rycerzy Wolności powrócili do wojskowych ćwiczeń i swoich marzeń. Każdy w duszy chełpił się z nieszczęsnego losowania; Brydziński stał się jakby patronem i wzorem ich związku.

— Umrzeć, jak Brydziński!... mieć determinacyę Brydzińskiego!... — bardzo często powtarzało się w rozmowach i myślach.

Kazio Świrski i jego najbliżsi koledzy związku byli w siódmej klasie, kiedy na tydzień przed Bożem Narodzeniem znowu, jak z nieba, spadł wielopostaciowy agitator. Tym razem nazywał się Voglem i miał duże, ciemne wąsy.

— No, moi kochani — rzekł do Świrskiego — musicie się na coś zdecydować. Albo nie bałamućcie ludzi wielkimi zamiarami i ćwiczeniami, albo raz przyczyńcie się do sprawy poważnej.

— Cóż mamy robić?... — zapytał Świrski.

— Rewolucya może opóźnić się do wiosny, ale może wybuchnąć i lada dzień, lada godzinę... — mówił Vogel. — Rozumiecie, że potrzebujemy pieniędzy, które musimy wydrzeć kasom rządowym i bankom. W waszem mieście w tych czasach znajduje się kilkakroć sto tysięcy

http://rcin.org.pl

rubli. Jeżeli pomożecie nam je zdobyć, część dostanie wasz związek na kupno broni...

Świrski zamyślił się. Jużci, czas był zużytkować od roku dokonywane ćwiczenia!... czas był przystąpić do realizacyi gorączkowo obmyślanych i obgadywanych planów!... Ale czy to możliwe?...

— Wahacie się?... — pytał Vogel. — Szkoda, że utworzyliście ten sztubacki związek Rycerzy, który odciągnął innym partyom bardzo użyteczne materyały!...

— Waham się, gdyż jest nas za mało, i nie wiem, ilu zdecyduje się należeć do tak niepewnego... nieprawdopodobnego przedsięwzięcia?...

— Dla odważnych niema niepewnego przedsięwzięcia... — wtrącił Vogel.

Ośmnastoletni panicz Świrski spojrzał na niego, jak na kelnera.

— Panie Vogel — rzekł — albo drwisz ze mnie, czego nie lubię, albo pan i pańscy przyjaciele nie macie pojęcia o sztuce wojennej... Ja mógłbym zebrać, w najlepszym razie, stu ludzi, a z taką liczbą i z rewolwerami, nie mogę rozpoczynać walki przeciw dwom pułkom piechoty...

— Kpię z pańskiej sztuki wojennej!... — wybuchnął Vogel. — My, w trzydziestu, zrabowaliśmy cztery kasy, w których sąsiedztwie było więcej, niż dwa pułki!...

Obaj pobledli z gniewu, lecz i natychmiast



http://rcin.org.pl

opanowali się. Świrski zaczął chodzić po pokoju i w ciągu kilku minut obmyślił plan zaatakowania banku, tudzież kasy gubernialnej, który następnie przedstawił związkowcom. Vogel był tak zachwycony pomysłem, że uściskał Świrskiego i nazwał go, już nie wiadomo który raz, geniuszem...

— Głowę daję... — zawołał — że będziemy mieli kupę pieniędzy!...

— Za pozwoleniem — przerwał Świrski — można stawiać dziesięć albo i dwadzieścia przeciw jednemu, że nie zdobędziemy pieniędzy i że większa część naszych zginie... jedni na placu, inni na szubienicy... Dlatego muszę pierwej nietylko pogadać z kolegami, ale i przekonać się, do czego są zdolni?

— Róbcie, jak chcecie — przerwał Vogel — bylebyście jak najprędzej zaatakowali kasy. To w żadnym razie nie zaszkodzi, choćbyście i przerżnęli grę...

— Jak komu nie zaszkodzi!... — odpowiedział Świrski. — Powtarzam jeszcze raz: rozmówię się i sprobuję, ale pod żadnym pozorem... pod żadnym pozorem... nie obowiązuję się nietylko zdobyć kas, ale nawet atakować ich... Nie ma na świecie wojska, które bez ostatecznej potrzeby narażałoby się na akcyę, z góry przegraną... A także wątpię, czy jest na świecie partya, która śmiałaby żądać podobnych ofiar... tak

http://rcin.org.pl

wielkich ofiar... przy tak małych szansach powodzenia!...

Vogel ciskał się, zarzucał Rycerzom tchórzostwo, w końcu jednak zgodził się, że Świrski zrobi to, co będzie mógł. Zaatakuje kasy — wybornie!... nie zaatakuje — trudna rada!... Trzeba mu zostawić zupełną swobodę działania, ponieważ on nietylko zna miejscowe stosunki, ale i tych ludzi, którzy mają pójść w ogień.

## III.

Podleśny Towarzystwa »Żelazne Huty«, pan Józef Linowski, dojeżdżał saniami do gubernialnego miasta X. Był to człowiek z górą sześćdziesięcioletni, silny i dobrze zakonserwowany. Z pod futrzanej czapki jaśniała czerwona twarz, wąsy, szronem okryte, i niebieskie, bystre oczy. Miał na sobie długi, szaraczkowy surdut, podbity lisami, grube, włóczkowe rękawice i buty do kolan. Sanki, któremi jechał, były prostej roboty, ale mocno zbudowane i wygodne. Ciągnął je koń kasztanowaty, kształtny i zgrabny w ruchach; pomimo zimna, okrywał go pot, ale w sposobie wyrzucania głowy i stawiania nóg nie było widać, ażeby się zmęczył.

Jechali drogą boczną, przez równinę, okrytą śniegiem, na której tu i owdzie widać było kępy nagich i czarnych drzew albo samotne chaty

http://rcin.org.pl

z uśnieżonymi dachami. Niebo było czyste; chłodne, grudniowe słońce nadawało śniegowi blask srebra; zdaleka na granicy horyzontu iskrzył się, aż oczy bolały, złocisty krzyż cerkwi.

Koń szedł tęgiego kłusa, sanki podskakiwały, albo zataczały się po rozjeżdżonej drodze, a pan Linowski znowu uczuł ostry głód, który trapił go już od pół godziny.

— Marsz... marsz... kasztanek!... aby prędzej na obiad!... — wołał niecierpliwie podróżny, ale nie sięgnął ręką po bat, leżący w sankach. Gdzieżby on uderzył takiego przyjaciela, takiego mądrego i szlachetnego konia?

Wjechali w mały, rzadki lasek brzozowy. Pan Linowski wychylił się na prawo i na lewo, potem powstał i spojrzał przed siebie. Ale nie dostrzegł nic, zresztą i skończył się lasek.

— Niema hultaja!... — rzekł do siebie półgłosem. — No, nie zawsze świętego Jana...

W tej chwili bowiem przypomniał sobie, że jego syn, 18-letni Władek, obecnie siódmoklasista szkoły handlowej w X., na początku letnich wakacyi aż tu wybiegał na spotkanie ojca.

— Trzy wiorsty od miasta!... — mruczał p. Linowski. — Dziś za zimno na taki spacer... Nawet zwymyślałbym go, gdyby wyleciał naprzeciw... A to, jeść się chce!...

W tej chwili duszę pana podleśnego przebiegały dwa prądy: jeden płynął od żołądka i nazywał się głodem, drugi od serca i był tęsknotą

http://rcin.org.pl

za synem. Wprawdzie pan Linowski widział się z synem na Wszystkich Świętych, sześć, siedm tygodni temu; ale już chciał go znowu zobaczyć, znowu uściskać, usłyszeć jego głos wesoły.

— Jeszcze kwadrans, pół godziny... i siądziemy z Władkiem do obiadu... Niech bestya używa na koszt ojca!...

Sanki wjechały w krótką aleję wierzb czarnych, najeżonych. Gdy minęły ją, gdzieś zdaleka, na końcu drogi, ukazała się jasna wieża, uwieńczona zieloną banią i złotym krzyżem. Jednocześnie odezwały się dzwony cerkwi:

— Jestem tu... jestem tu!... O, ja jestem tu... o, ja jestem tu!...

A po chwili śpiewowi dzwonów cerkiewnych odpowiedziały, niby westchnieniami, dzwony kościelne:

— Ach-ach!... ach-ach!...

Miasto zarysowuje się coraz wyraźniej. Na prawo, przy drodze, widać ogromną cegielnię; zdaleka na lewo, wśród drzew — cmentarz. Potem, znowu na prawo, czerwonawe olbrzymie gmachy składów monopolowych, dalej — żółte więzienie, potem komin młyna parowego, drugi komin fabryki tytoniu, trzeci komin fabryki narzędzi rolniczych... W tej chwili panu Linowskiemu przebiegła myśl, że ludzie po to wyrabiają cegły, budują domy, mielą mąkę i pieką chleb, ażeby następnie opalić się tytoniu, opić się monopolówki i albo pójść do więzienia, albo

http://rcin.org.pl

od wszystkich ludzkich i obywatelskich obowiązków uciec na cmentarz...

— Ale też mi się jeść chce! - mruknął podleśny. — Ciekawym, czy aby Władka zastanę w domu?...

W tej chwili owionęło go tchnienie mdłe i wilgotne; wjechał do miasta.

Pan Linowski zawsze zazdrościł miastu chodników, latarń, blizkości kościoła, szkoły i poczty, ale czuł, że w tej atmosferze nie pożyłby długo. Domy robiły na nim wrażenie brudnych i ciasnych mrowisk, ludzie przypominali sznury mrówek, śpieszących na robotę lub z roboty, a Żydzi rój much, który obsiadł talerz, powalany sosem.

Dziś uderzyła go jakaś zmiana w mieście: ludzi mniej kręciło się po ulicach i biegali prędzej; Żydzi mniej gęsto skupiali się pod domami. Cukiernia wyglądała pusto, ale przed restauracyjką na bocznej ulicy stała gromadka niby robotników, z których jeden śpiewał niepewnym głosem:

«Nadejdzie jednak dzień zapłaty,
Sędziami wówczas będziem my!»

— Ja już gdzieś to słyszałem?... — pomyślał Linowski.

Przy innej z bocznych ulic na chwilę powściągnął konia.

http://rcin.org.pl

— Zajechać po Władka?... — spytał samego siebie.

Lecz w tej chwili poczuł tak mocny ból głodu, że puścił lejce i nie zatrzymał ich, aż przed wielką bramą, nad którą stał napis: »Hotel Polski«. Jednocześnie przyskoczyło do niego dwóch faktorów: jeden szpakowaty, drugi rudawy. Rudawy miał przy kapocie kołnierz z niedającego się nazwać futra; szpakowaty był w dwu chałatach, z których wierzchni odznaczał się łatami i wypłowiałą barwą.

— Odejdź... bo to mój pan!... — wołał szpakowaty faktor, odpychając rudego kolegę.

— Wielmożny pan nie potrzebuje kapcanów!... — wrzasnął rudy.

— No, niech wielmożny pan sam powie temu łapserdakowi...

— Ty cholera!...

— Nie kłóćcie się — przerwał Linowski — Joska wezmę.

Szpakowaty Josek już trzymał w ręku bat, pomógł wysiąść Linowskiemu i, wziąwszy konia przy pysku, wprowadził go na podwórze hotelu.

— Ten złodziej zawsze mi przeszkadza... Żeby on zdechł!... — gniewał się Josek.

— Musi to być głodomór... — wtrącił Linowski.

— A ja, wielmożny panie, bogaty?... Od samego wstania nawet wody w gębie nie miałem,

http://rcin.org.pl

i żeby nie wielmożny pan, pewniebyśmy cały dzień nie jedli, ani ja, ani żona, ani dzieci.

— Przecież Josek dzieci już wyposażył?...

— Niech Pan Bóg wielmożnemu panu da zdrowie z takim posagiem!... Jeden syn jest krawiec, drugi blacharz, ale oba siedzą u mnie... A córka ożeniła się z kuśnierzem, i także sprowadzili się do nas... Żebym ja na dzień miał tyle funtów chleba, ile osób w jednej izbie, to jabym się pytał: co ten hotel kosztuje?...

— I teraz Josek może się spytać... — wtrącił stajenny, Mateusz. — Miał on ciemne włosy, wyskubane w jednym punkcie głowy, i utykał na nogę.

— To niech Mateusz konia się zapyta, bo my jesteśmy wspólniki...

— Znasz mego syna?... — rzekł pan Linowski.

— Jak moje własne dzieci!... Piękny pan!... wesoły pan!... — odparł Josek.

— Idźże do niego na stancyę...

— Do pani Wątorskiej... wiem!... I mam nakazać, ażeby panicz przyszedł tu, do restauracyi?...

— Dobrze — odparł podleśny. — Potem dowiesz się, kiedy będzie w domu Pfeferman.

— Ten handlujący z drzewem... wiem!...

— A potem pójdziesz do doktora Dębowskiego i także dowiesz się...

— Kiedy wielmożny pan każe, to ja mogę

http://rcin.org.pl

zapytać się i o doktora Dębowskiego — rzekł Josek, wykonywając ramionami taki gest, jak gdyby wycierał się o wnętrze swego chałata. — Ale jeżeli wielmożny pan chce być zdrów na wszystkie choroby, to niech pan każe mnie posłać do pana doktora Szpilera.

Linowski tymczasem wydobył z pod kozła dwa zające, podał Joskowi i rzekł:

— Jednego zanieś pani gospodyni, a drugiego pani Wątorskiej... A Władek niech tu zaraz przyjdzie, bo czekam z obiadem...

Potem wyjął ciężką kobiałkę i zawiesił ją przez plecy.

Gdy faktor odszedł, stajenny, który wyprzęgał i wycierał zgrzanego konia, obejrzał się i rzekł zniżonym głosem:

— A wielmożny pan uważał, jak się to pochowali strażnicy?... Ani jednego na mieście od wczoraj... Bo to, widzi pan, we środę wieczór dwóch zakantopili: Szmakowa i Formeńkę... Żona Szmakowa wzięła ze sobą troje dzieci, poleciała do policmajstra i krzyczy na cały głos: »Mąż dawał mi z tysiąc rubli na rok... płaćcie teraz, kiedyście go nie upilnowali«!... — Ale Fomeńkowa nie kłóciła się z policmajstrem, tylko biła głową o ścianę i w kółko pytała:

— »Za szto tiebia?... za szto tiebia?...

— Bo jużci prawda — odezwał się Linowski — po co ich było zabijać?...

— Ehe! — zaśpiewał Mateusz, wytrząsając

http://rcin.org.pl

ręką. — Jak to znać, że pan u nas nie mieszka... Darli oni ludziom skórę, choć i strażnicy... Chryste odpuść! Kto żył, musiał się opłacać: kupiec, rzemieślnik, faktor, nawet taka Żydówka, co handluje piernikami, a zarabia złotówkę na siebie i czworo dzieci...

— No, ale żeby za to zabijać!...

— Nie za to — szeptał Mateusz, zaciskając pięści. — Oni wszyscy biorą, wszyscy każą sobie płacić; ale Fomeńko i Szmakow to jeszcze... mordowali socyałków w więzieniu... Jednemu wybili zęby, drugiemu połamali żebra, a trzeci aż umarł, tak mu przypiekali podeszwy lampką naftową...

— Któż ich zabił?...

— Wiadomo, że socyały... A wielmożny pan wie, kto dziś jest socyał?... Szewc, stolarz, woźny, student... czasem brat komisarza, albo i syn gubernatora... Teraz Ruscy z naszymi za jedno, a Żydzi na trzeciego... A kiedy Żydzi zmiarkowali, że w tem jest interes, to już socyał wygra, bo Żyd na niepewne nie pójdzie.

Mateusz dotknął czapki ręką i zaprowadził konia do stajni. Linowski został sam.

— Aj... ten Władek! — myślał. — Mnie głód kiszki skręca, a jego niema i niema... Myślisz, że będę czekał na ciebie, durniu jakiś?... Idę na obiad...

http://rcin.org.pl

Wyszedł z bramy na ulicę, rozejrzał się i wolnym krokiem powlókł się ku restauracyi hotelu. Pod gankiem jeszcze zatrzymał się, spojrzał na ulicę, wreszcie szarpnął drzwi i prędko wszedł do bufetu.

W bufecie przywitał gospodarza, jak dobry znajomy, oddał mu do przechowania kobiałkę i rewolwer. Potem wypił duży kielich wódki i zjadł parę kawałków ulika z wielkim smakiem.

— No, i dawajcie obiad — rzekł — bo przez tego gałgana Władka zdycham z głodu... A nie zapomnijcie o butelce Marcowego... — dodał. — Mieszkać u was nie chciałbym, ale piwa i śledzi to wam zazdroszczę.

Linowski zajrzał na salę, obwieszoną wizerunkami ryb i dziczyzny, lecz, spostrzegłszy kilku »dziedziców«, cofnął się do bocznego pokoju. Tu usłyszał głos z pod lustra:

— Sługa pana leśniczego!... prosimy do towarzystwa...

Wołał tak jegomość średniego wzrostu, pulchny, rumiany, z dobrodusznym wyrazem twarzy. Był to prywatny adwokat, zwany »mecenasem«. Prowadził sprawy wszędzie: w sądach, u komisarzy, w powiatach, w rządzie gubernialnym. Pisywał także prośby, skupywał sumy trudne do odzyskania, często wyjeżdżał do Warszawy, bywał i w Petersburgu. Przychodził czasem do Hotelu Polskiego na kawiorek i lampeczkę porteru; zresztą nie pił, nie grywał

http://rcin.org.pl

w karty, nie miał długów i głośno wypowiadał zasadę, że każda sprawa jest dobra, jeżeli... przynosi adwokatowi dobre wynagrodzenie...

Linowski, przywitawszy mecenasa, usiadł przy stoliku.

— Cóż — zaczął mecenas — doskonale pan wygląda... nie przejmuje się widać polityką, jak my... Nie macie tam kilka sągów drzewa na sprzedaż?...

— Tego u nas nigdy nie brak.

— Więc możeby pan wziął odemnie pieniądze?... — spytał mecenas.

Podleśny skrzywił się.

— Najlepiej niech pan pośle list i pieniądze do zarządu — odparł.

— He!... he!... he!... stary poczciwiec!... — zaśmiał się mecenas, uderzając Linowskiego w kolano. — Tacy, jak pan, nie robią majątku...

— Tylko jacy?...

— Tacy, jak tam, w sali — odparł mecenas, wskazując ręką. — Tatuś buchnął narodowe pieniądze, więc synek ma na szampana... Tatuś wykwitował małoletnich, a synek jeździ czwórką... Dziadzio darł skórę z poddanych, a wnuczek jest jaśnie wielmożnym... Tak się ludzie dorabiają majątku!

— Mój mecenasie — odparł Linowski — takie sztuki udają się do czasu...

— To też na nich już przyszedł czas... — szepnął adwokat. Na wiosnę w dziewięciu dzie-

http://rcin.org.pl

siątych folwarków strajk!.. we wszystkich fabrykach strajk...

— A na przyszłą zimę wszyscy z głodu pozdychamy — wtrącił Linowski.

— Wcale nie wszyscy!... Z torbami pójdą ci, którzy nic nie robią, a mimo to hulają... Ale my, my, adwokaci, doktorzy, inżynierowie, leśnicy, my zawsze będziemy mieli prace i zarobki, bo nasz kapitał siedzi nie w cudzej krzywdzie, ale w naszej głowie...

Linowski machnął ręką.

— Nie wierzysz pan, bo nie wiesz, co się dzieje — szeptał mecenas. — Tydzień temu zabrali z kasy powiatowej około stu tysięcy rubli... codzień napadają monopole... pod wiosnę zabiorą się do kas gubernialnych i banków... Rewolucya tymczasem zagarnia pieniądze, potem sprowadzi najdoskonalszą broń, a gdy wygra parę bitew i przyciągnie do siebie wojsko, wówczas w ciągu tygodnia zrobi ład... Kto nie pracuje, nie ma prawa do życia!... precz z kapitalistami, próżniakami!... precz z jaśnie panami, którzy w postaci szampana piją krew swoich parobków, robotników, podleśnych!... I to jeszcze takich podleśnych, którzy boją się od porządnych ludzi brać pieniądze na drzewo... Cóż to, czy ja was chciałem przekupić?... — zapytał mecenas, przyjacielsko pochylając się do Linowskiego.

— Czort wie, co się tu u was dzieje!... —

http://rcin.org.pl

mruknął podleśny. — Zabijacie strażników, rabujecie kasy, pożądacie cudzych majątków i mówicie, że z tego urodzi się dobre dla wszystkich... A tymczasem Pan Bóg zapowiedział: nie kradnij, nie zabijaj, nie pożądaj cudzego...

— Stare bajki!... — rzekł mecenas, kiwając ręką.

Tak rozmawiali i jedli: mecenas swój kawior, podleśny — kulebiakę, zupę rybną, szczupaka... Gdy nalał pierwszą szklaneczkę Marcowego, wbiegł zadyszany Josek.

— A cóż mój syn?... — zapytał podleśny.

— Pani Wątorska — odparł faktor — najpierwej kazała się wielmożnemu panu pięknie pokłonić za tego zająca...

— Ale syn?... — przerwał niecierpliwie Linowski.

— Pani Wątorska kazała powiedzieć, że panicz poszedł z kolegami na zabawę, ale że już zapakował rzeczy i dziś ma pojechać z kolegami także na zabawę...

Linowski rozłożył ręce na stole i osłupiały wpatrywał się w Joska.

— Co ty wygadujesz?... — odezwał się po chwili. — Władek ma dziś, ze mną, jechać do domu, ale nie z kolegami na zabawę...

— To może oni u pana w domu będą się bawili? — odparł faktor. — Młody panicz Świrski także jest z nimi...

— Świrski?... — powtórzył podleśny. Na

http://rcin.org.pl

dźwięk tego nazwiska uspokoił się i wrócił do swej szklanki. Świrski, bogaty panicz, sierota, pod opieką nie mniej bogatego stryja. Takie znajomości nie mogły być szkodliwemi dla syna leśnika.

— Pan Pfeferman — ciągnął Josek sprawozdanie — będzie w domu cały dzień. A pan doktór Dębowski także będzie w domu cały dzień, chyba żeby go zawołali na miasto, to wyjdzie, ale zaraz wróci!...

— Cóż ci się należy?... — zapytał Linowski.

— Co wielmożny pan da... Ja tu ciągle będę przy hotelu, to wielmożny pan znowu mnie gdzie pośle... A o panicza to ja się jeszcze raz sam dowiem i tu przyprowadzę...

Linowski dał mu najpierw czterdziestówkę, lecz po namyśle dołożył jeszcze dziesiątkę. Josek ukłonił się, chuchnął na pieniądze i rzekł z filuternym uśmiechem:

— A pani Wątorskiej ja powiedziałem, że skórkę z zająca to wielmożny pan mnie podarował... No, i ona się z tego naśmiała i kazała przyjść pojutrze...

Po wyjściu faktora mecenas rzekł z westchnieniem:

— Każdy, gdzie może, to urwie; nawet ten oto biedak... A dziwią się adwokatowi!

Linowskiemu uwaga ta wydała się dosyć osobliwą. Wstał, podziękował mecenasowi za towarzystwo i wyszedł do Pfefermana.



http://rcin.org.pl

Handlarz drzewa uchodził za człowieka bogatego. Mieszkał we własnym domu na głównej ulicy i wraz z liczną rodziną zajmował pierwsze piętro. Podleśny dziwił się schodom, pokrytym dywanikiem, kolorowym szybom i gipsowym figurom w klatce schodowej. Na futrynie drzwi była przybita metalowa rurka. Kiedy zadzwonił, nieprędko mu otworzono. Jakaś kobieta najpierw uchyliła drzwi i spytała o nazwisko. Potem wpuszczono go. Stojąc w przedpokoju, Linowski słyszał w dalszych apartamentach ładną grę na fortepianie i poczuł woń cebuli.

Wprowadzono Linowskiego do gabinetu. Sterczało tu dębowe biurko, stół, pokryty zielonem suknem, na nim mosiężny świecznik z orłem austryackim. Wysoko na półkach leżały wielkie księgi rachunkowe, a na podłodze, osłoniętej dywanem, stała skórzana kanapa, krzesełko, obite czerwonym jedwabiem, ogromny fotel, pokryty ciemno-zielonym utrechtem, wreszcie — stare krzesło wiedeńskie. Handel, pobożność, dostatek i — brak gustu, wszystko zmieszało się tu razem.

Wszedł pan Pfeferman.

Był to człowiek wysoki i otyły, z kruczą brodą, już posrebrzoną siwymi włosami. Miał atłasowy chałat, na głowie aksamitną krymkę, na twarzy wielką powagę.

— Jak się pan ma, panie podleśny? — zaczął Pfeferman i podał Linowskiemn dwa palce... —

http://rcin.org.pl

Jestem pewien, że bez interesu nie wstąpił pan do mnie.

— Nie ze swoim przychodzę interesem — odpowiedział Linowski, wzruszając ramionami. — Z zarządu kazali spytać: czy pan weźmie te sosny, które się teraz wycinają, i kiedy pan odda resztę pieniędzy?

— Te ośmset rubli?... One leżą w banku... może pan je wziąć choćby dzisiaj — odparł handlarz...

— Nie upoważnili mnie do odbioru...

— To pańskie szczęście. Onegdaj, niedaleko Sierpów, jakieś rozbójniki napadli naszych kupców i zabrali im wszystkie pieniądze, a wczoraj miałem list, że wpadli do mego pisarza w Głoskowie, ukradli mu 200 rubli i rewolwer... Po co on trzymał ten rewolwer?... I jeszcze nie jestem pewien, czy naprawdę wzięli 200 rubli!... Bardzo paskudne czasy... Gdybym był młodszy, wyjechałbym do Ameryki z tymi dwudziestoma tysiącami, które mam w Berlinie, i za kilka lat żrobiłbym miliony...

— A jakże będzie z sosnami?... — zapytał Linowski.

— Co ja panu powiem?... — odparł Pfeferman, składając ręce. — Kto dziś wie, czy go do jutra nie okradną, jeżeli... tfu!... nie zabiją?...

— Więc ośmset rubli złożył pan w banku, a sosen nie bierze?... — rzekł Linowski. — Do widzenia się, panie Pfeferman...



http://rcin.org.pl

Chciał wyjść, handlarz zatrzymał go.

— Dlaczego pan się tak śpieszy?... dlaczego pan trochę nie odpocznie?...

— Nie mam czasu siadać...

— Pogadamy stojący — mówił Pfeferman. — Te sosny możnaby wziąć, ale żeby przy wywózce nie było szykan... Rozumie pan, panie Linowski?... A teraz — dodał, otwierając biurko — ja pozwolę sobie doręczyć panu kolendę...

Podleśny wstrzymał go za rękę.

— Niech pan da spokój, panie Pfeferman. Nie przyszedłem po kolendzie, tylko z interesem zarządu...

— Dlaczego pan zawsze taki ostry?... Ja mam dla pana sto... sto pięćdziesiąt rubli...

— Daj pan je swemu pisarzowi, ażeby nie potrzebował kraść z biedy.

P. Pfeferman klasnął w ręce i zawołał:

— Jak ja lubię, kiedy się pan gniewa! Jeżeli kupię Żelazne Huty, pan będzie u mnie nadleśnym... jak dzieci kocham... A o pańskiem dzisiejszem postąpieniu powiem dyrektorowi... Co się zaś dotyczy tych sosen, dam odpowiedź przed Nowym Rokiem.

Linowski, zirytowany, pożegnał Pfefermana i wyszedł na ulicę. Tam przez chwilę namyślał się i skręcił w stronę mieszkania syna. Tak potrzebował spojrzeć na niego, pogadać, użalić się nad losem, który skazywał go na stosunki z Pfefermanami.

http://rcin.org.pl

Na stancyi pani Wątorskiej mieszkało sześciu uczniów; czterech już pojechało na święta, dwaj wyszli do miasta, z czego korzystając, gospodyni wzięła się do porządków domowych. Gdy zadzwonił do niej i wszedł podleśny, pani Wątorska była w starej spodnicy, miała głowę zawiązaną w chustkę i rękawy kaftanika zawinięte powyżej łokci. Była to kobiecina nizka, chuda, z sowiemi oczyma, żółtą twarzą, na której malował się wieczny przestrach.

— Co się z moim chłopcem dzieje?... — zapytał bez wstępów Linowski.

— Witam pana!... Jakże miło mi widzieć go w dobrem zdrowiu!... jakże dziękuję za piękny prezent!...

— Ale Władek?...

— Pan Władysław siedział w domu i pakował się do południa... Potem włożył cywilne ubranie i poszedł na wiec koleżeński, w sprawie egzaminów na patent...

— Po cóż zdjął mundur?...

— Bo widzi pan dobrodziej — mówiła zniżonym głosem gospodyni — pana Władysława i jeszcze paru kolegów zaprosił na polowanie pan Świrski... Więc dziś jadą do Świerków, będą tam przez sobotę i niedzielę, a w poniedziałek mają wpaść do szanownych państwa na parę godzin... Jakże się miewa pani dobrodziejka?... Podobno w jesieni była niezdrowa...

— Dziękuję za pamięć... zasyła pani ukłon...

http://rcin.org.pl

Oj, te dzieci!... Dopóki był smarkaczem, wybiegał naprzeciw ojca o parę wiorst za miasto; ale kiedy zdobył ośmnaście lat i puch pod nosem, już nie czeka na ojca nawet w domu... Wybiera się z wizytami i obiecuje złożyć wizytę z gośćmi!

— Gdyby to panu dobrodziejowi miało zrobić subjekcyę — zawołała przestraszona gospodyni — to ja zaraz poślę do pana Świrskiego...

— A niechże Bóg broni!... — przerwał Linowski. — Cóż to, wątpi pani o mojej gościnności?... To pan Świrski może przyjmować mego syna, a mój syn nie ma prawa odwdzięczyć się panu Świrskiemu?...

— I jeszcze, że oni się tak kochają...

— Ze Świrskim? doprawdy?... — pochwycił Linowski, nie mogąc ukryć zadowolenia. — No, niech tam sobie jadą dziś do Świerków, byle na poniedziałek stawili się u nas...

Pożegnawszy gospodynią, Linowski wrócił do restauracyi hotelowej i zabrał swoją kobiałkę.

— Coś tam dobrego musi być!... — zaśmiał się restaurator, pan Janowicz.

— Żona przysłała trochę wędlin dla doktora, więc oddam, no — i poproszę, ażeby mi zajrzał w zęby... — odrzekł podleśny.

I poszedł w stronę mieszkania Dębowskiego.

http://rcin.org.pl

## IV.

Kolega i przyjaciel Władka Linowskiego, Świrski, mieszkał i stołował się u jednego z profesorów szkoly handlowej, ale zajmował pokój oddzielny.

Był on duży i widny. W jednym kącie stało żelazne łóżko, z twardym materacem i skórzaną poduszką; nad łóżkiem wisiały dwa rapiry, dwie maski i rękawice; przed łóżkiem rozścielała się skóra wilka, którego Świrski zabił własną ręką. W kątach pokoju leżały ciężkie hantle, ściany były zawieszone obrazami bitew i wizerunkami sławnych wodzów z rozmaitych czasów. Szkolne książki, nieliczne i poszarpane, zgromadziły się na półce koszykowej; zaś w szafie za szkłem było widać oprawne dzieła, poświęcone historyi powstań, życiorysom wielkich wodzów i spiskowców, albo romansom, jak: »Tajemnice Londynu«, »Jakób Shepard« i im podobne. Na stole, obok buteleczki atramentu, stał kosztowny przycisk w formie odtylcowej armaty, zrobionej bardzo dokładnie.

Kiedy Świrskiego zapytywano, w jakim celu nagromadził tyle książek i przedmiotów, związanych z militaryzmem, odpowiadał, że ma zamiar wstąpić do wojska.

Świrski miał kilkanaście tysięcy rubli rocznego dochodu, które stryj oddawał do banku,

http://rcin.org.pl

a młodemu przeznaczył pięćdziesiąt rubli miesięcznie na drobne wydatki. Ale panicz, choć żył skromnie i prowadził się wzorowo, nietylko wydawał całą pensyę, ale jeszcze zaciągał corocznie po parę tysięcy rubli długów.

Przynajmniej połowa pieniędzy rozchodziła się na tajemne zapomogi dla kolegów, z którymi Świrski żył bliżej. Co działo się z drugą połową? — nie wiadomo. Chociaż — ten i ów twierdził, że Świrski dużo wydaje na kupno broni, najnowszej i najkosztowniejszej. O tem jednak szeptano tak cicho, że wieść nie wychodziła poza najbliższych znajomych.

— Cóż chcecie?... — mówili starsi. — Pradziad i dziad Świrskiego służyli w wojsku polskiem, ojciec i stryj także wojowali, więc trudno dziwić się, że i chłopak ma żyłkę wojacką.

Świrski był wysoki, doskonale zbudowany, miał rysy grube, ale sympatyczne, oczy wyraźne, szare, wyraz twarzy poważny. Co zaś nie godziło się ani z jego stanowiskiem siódmoklasisty, ani z młodym wiekiem, to wyraz skupienia i jakby ukrywania swoich myśli. W rzeczy samej: panować nad sobą, hamować złe czy dobre wzruszenia, było jednem z dążeń Świrskiego.

W tej porze, kiedy stary Linowski wjeżdżał do miasta, jego ukochany syn, Władek, wszedł do pokoju Świrskiego. Władek był to krępy, rumiany chłopak, z kędzierzawymi blond włosami, zawsze uśmiechnięty. Wyglądał na niezgrabnego,

http://rcin.org.pl

ale naprawdę był tak zręczny, jak Świrski, którego kochał więcej, niż brata, i wierzył w jego geniusz.

Koledzy mocno uścisnęli się za ręce.

— No i cóż?... — zapytał Świrski.

— Wszyscy przyjdą... Tylko ich patrzeć... — odparł Linowski.

— A czy wszyscy pójdą?...

— Ja tylko o sobie wiem, że wszędzie pójdę z tobą...

— A co powie twój ojciec i matka?...

— Mój dziadek w wigilię powstania zamknął ojca w spichlerzu; ojciec powyjmował deski i uciekł pod Węgrów. A kiedy spotkali się w maju, to mu dziadek powiedział: »Płakałem za tobą, jak baba... Ale, gdybyś nie uciekł do partyi, uważałbym cię za durnia«. To samo powie mój stary — zakończył Linowski, śmiejąc się.

— I mój stryj!... — dodał Świrski.

— Nasi ojcowie chodzili jedną drogą, i my pójdziemy razem!... — dodał Linowski.

Zapukano do drzwi, zaczęli schodzić się koledzy. Najprzód piegowaty Modrzewski z barczystym Szamotulskim, potem elegant Zawadzki ze swym przyjacielem Soliterem i pochmurnym Starką, potem Lisowski z Chrzanowskim, Leśniewski z Tryzną, a w końcu Jędrzejczak, wysoki, zgarbiony, z długiemi rękoma i rudą głową.

Wszyscy byli milczący, zziębnięci, ubrani po

http://rcin.org.pl

cywilnemu. Starka, przywitawszy się, wyciągnął się na łóżku, Chrzanowski po raz setny oglądał obrazy po ścianach, Soliter i Leśniewski zapalili papierosy, a Zawadzki zdjął rapir i zaczął wywijać młynki.

Jędrzejczak wsadził niezgrabne ręce w kieszenie poplamionych spodni i, wyginając kolana, spytał złośliwie:

— Cóżeście nowego wymyślili, naczelny wodzu i szefie sztabu?...

— On zawsze lubi błaznować!... — rzekł Linowski.

— To właśnie dobrze — wtrącił Leśniewski. — Czy ma tak głupio wyglądać, jak Soliter?...

— Gdyby ciebie tak bolał żołądek!... — mruknął Soliter. Inni rozśmieli się nieszczerze.

— Czy mam zacząć od początku?... — zapytał Świrski.

— Taniec od pieca... — wtrącił Lisowski.

— Mów od początku, to łatwiej zasnę... — dodał Starka, ziewając.

We wszystkich tych, niby dowcipnych i zuchowatych odpowiedziach czuć było przymus i niepokój. Soliter zgubił papierosa i nie odrazu to spostrzegł.

— Koledzy... — zaczął Świrski. — Czy pamiętacie, że przed rokiem utworzyliśmy związek »Rycerzy Wolności«, z którego miała powstać

http://rcin.org.pl

armia rewolucyjna?... Pamiętacie, że nie cofaliśmy się nawet przed ciężkiemi ofiarami?...

— Pamiętamy! Pamiętamy Brydzińskiego...

— I pomimo Brydzińskiego nic nie zrobiliśmy do tej pory... — wtrącił Starka.

— Kto niechce robić, nigdy nic nie zrobi... — szepnął Jędrzejczak.

— Starka dobrze mówi — ciągnął Świrski. — Nic nie zrobiliśmy ważnego, ani pięknego. Naprzód nie mieliśmy środków, powtóre nie była wykończona organizacya, a nareszcie — nie było gwałtownej potrzeby. Działali inni, i zdawało się, że działają dobrze...

— Socyaliści!... — wtrącił Lisowski.

— I złodzieje... — dodał Starka.

— Dzisiaj — ciągnął Świrski — organizacya nasza jest dość posunięta. Zjednaliśmy w mieście kilkudziesięciu rzemieślników i subjektów, na wsiach — gospodarzy, gajowych, parobków... Mamy kolegów w Warszawie i miastach prowincyonalnych. Sami uczyliśmy się strzelać, fechtować, maszerować...

— A co to za koledzy w Warszawie i innych miastach?... — zapytał Starka.

— Im mniej będziemy wiedzieli nazwisk, tem dla nas lepiej — odezwał się Jędrzejczak.

— I dla sprawy — dorzucił Linowski.

— Chcecie? — zapytał Świrski.

— Żadnych nazwisk! Żadnych nazwisk! — odezwały się głosy.

http://rcin.org.pl

— A ja myślałbym... — rzekł Starka, podnosząc się na łóżku.

— Nie myśl, bo cię głowa rozboli... — przerwał Jędrzejczak.

— Panowie!... — zawołał Lisowski — czy po to przyszliśmy, ażeby się kłócić?... Lepiej posłuchajmy Świrskiego.

— Byle nie marudził... — szepnął Soliter, gryząc munsztuk papierosa.

— Powiem krótko — zabrał znowu głos Świrski. — Rewolucya wchodzi na złą drogę. Spostrzegli to nawet ludzie starsi...

— Nawet stryjowie!... — mruknął Starka.

— Masz racyę — ciągnął Świrski bez gniewu. — Mój stryj ciągle powtarza, że nie jest to rewolucya, tylko gnicie. Zamiast bitew — morderstwa; zamiast zdobywania sztandarów — rabunek kas... Oni nawet ograbiają ludzi prywatnych, zabierają po kilkanaście rubli.

W takim stanie rzeczy potrzeba na gwałt stworzyć wojsko rewolucyjne. W Finlandyi ono już jest, w Rosyi formuje się, ale u nas jeszcze nic. Trzeba więc przystąpić do tworzenia oddziałów, do sprowadzenia broni w wielkich ilościach... do bitew, a przynajmniej potyczek... Ponieważ starsi tego nie potrafią, musimy to zrobić my, młodzi...

— Zrobimy... zrobimy!... — szepnął wesoło Linowski.

http://rcin.org.pl

— Ciekawym, kto będzie bitwami dowodził? — wtrącił Starka.

— Naturalnie Świrski... — odparł półgłosem Chrzanowski.

— A ja bardzom ciekaw, do czego to wszystko prowadzi? — odezwał się Jędrzejczak. — Powiedz-no krótko i węzłowato, bo coś za dużo tych wstępów. Przed awanturą z Brydzińskim także była gadanina...

Świrskiemu lekko poróżowiała twarz, ale spokoju nie tracił.

— Powiem w niewielu słowach — rzekł. — Ludzi odważnych, zdeterminowanych, którzy, tak jak i my, gotowi oddać życie za wolność, mamy już paruset... Potrzeba dla nich dużo najlepszej broni, odzieży...

— Trucizny... — wtrącił Lisowski — ażeby nie dali się brać żywcem...

— Na tę broń i odzież potrzeba pieniędzy — ciągnął Świrski. — Myślałem, że załatwię to własnym majątkiem, ale... nie mogę... Musimy więc...

— Czy nie kraść i rozbijać? — spytał Jędrzejczak.

— Musimy zabrać pieniądze rządowe z kasy gubernialnej i z filii banku.

— A jeżeli będą tam pieniądze szlachty, kupców? — wtrącił Soliter.

— W takim razie weźmiemy i te pieniądze, ale ja zwrócę je...

http://rcin.org.pl

— Jeżeli stryj pozwoli — rzekł Starka.

— Stryj nie pozwoli, ażeby mnie nazywano... wywłaszczycielem.

— Dobrze, dobrze! — przerwał Lisowski. — Ale kiedyż to?... jakim sposobem?...

— Mam odkryć plan?... — zwrócił się Świrski do Linowskiego.

— Musisz! — zawołał Starka. — Cóż to, dyktatura?

— A to durnie!... — szepnął Jędrzejczak do Solitera.

— Zupełne waryaty! — odparł Soliter i siadł na krześle, a kolana mu drżały.

Świrski zaczął mówić zniżonym głosem; koledzy skupili się.

— W tych czasach leży bardzo dużo pieniędzy w filii banku... toż samo w kasie gubernialnej. Którejś nocy urządzi się strzelaninę około cmentarza... wojsko pobiegnie tam, a my... opanujemy bank i kasę.

Ażeby zaś nie dopuścić odsieczy, na drodze z koszar do miasta poprzecinamy ulice drutami... kilku będzie miało bomby. Nie powiem więcej szczegółów. Czy rozumiecie plan ogólny?

— Genialny plan!... — szepnął Lisowski.

— To się dopiero pokaże w wykonaniu. A tymczasem w mieście jest dużo wojska — odszepnął Starka.

Na twarzy Świrskiego błysnął uśmiech tryumfu.

http://rcin.org.pl

— Myślimy o tem — rzekł — i o wielu innych możliwościach. Ażeby więc choć trochę wojska odciągnąć z miasta, pojedziemy... dziś...

— Co?... dziś?... — odezwało się kilka głosów.

— Pojedziemy dziś... zaraz... do lasów za Słomianki. Będziemy strzelać w powietrze... zaczepiać podróżnych... słowem — zrobimy alarm... Wtedy komendant musi urządzić obławę w lasach. A gdy zbierze się tam trochę wojska, my wrócimy do miasta i...

— Pójdziecie do kozy — szepnął Jędrzejczak.

— Nie!... zdobędziemy kasy... — odparł Linowski.

— Albo zginiemy — dodał Świrski.

— Winszować!... — jęknął Soliter.

— Na wojnie ktoś musi ginąć — odparł Świrski. — Czy zresztą nie każdy z nas jest na to przygotowany? A teraz... należycie do wyprawy?...

— Rozumie się! — zawołał Linowski.

— On się jeszcze pyta! — dorzucił Lisowski. — Tylko durnie i tchórze...

— Tchórz, to ja... a dureń, to ty, Lisku! — rzekł Jędrzejczak.

— Głupi jesteś.

— Taką rzecz wypadałoby gruntownie obmyślić — wtrącił Soliter. Usta mu drżały.

http://rcin.org.pl

— Już obmyślono — wtrącił Chrzanowski. — A teraz zobaczymy, kto pójdzie.

— Wszyscy! — zawołał Lisowski.

— Nie rycz, ty ośle!...

— Bardzom ciekawy: kto obejmie dowództwo? — odezwał się Starka.

Twarze były rozpalone, oczy błyszczące, głosy chrapliwe.

— Pamiętajcie, żeśmy zobowiązali się... już zobowiązali się! — rzekł Linowski.

— Więc rozprawiać niema o czem, tylko gotować się do drogi.

— A broń?... a broń?... — pytał gorączkowo Lisowski.

— Każdy dostanie broń i sto ładunków — rzekł Świrski.

— Hura!... — zapiszczał cicho Lisowski.

— Waryaci! — syknął Jędrzejczak.

— Więc decydujemy się u dyabła: iść czy nie iść? — spytał Leśniewski.

— Zdecydowano od świętej pamięci — rzekł Lisowski.

— Nie zdecydowano! — krzyknął Jędrzejczak — gdyż ja nie pójdę.

— Dostaniesz kulą w łeb — odparł Lisowski. — Bo przecież to zdrada. Bo przecie tak zobowiązaliśmy się na cmentarzu, na grobie powieszonego...

Linowski przestał się śmiać. Wtedy Świrski, namyśliwszy się, rzekł:

http://rcin.org.pl

— Moi koledzy. Zapewne, że, ktoby zdradził nasze plany, musiałby... musiałby...

— Przeżegnać świat nogami — wtrącił Leśniewski.

— Kiedy zacznie się wojna naprawdę — ciągnął Świrski — usuwać się od przyjętych dobrowolnie... dobrowolnie obowiązków będzie trudno. Ale dziś jest pierwsza próba, więc udział w niej wezmą tylko najodważniejsi i najchętniejsi.

— Ja! — szepnął Lisowski. — Ja pierwszy!

— Może się coś nie udać — mówił Świrski. — Nie wypróbowaliśmy jeszcze naszych sił.

Jędrzejczak schwycił go za rękę.

— Teraz widzę — rzekł — że naprawdę masz rozum... Jeżeli już chcecie i kto chce robić głupstwa, niech przynajmniej robi to na własną rękę... Niech nie obowiązuje się do tego, czego nie zna, i niech nie zmusza innych... Bo tylko pomyślcie: co pocznie dziesięciu, a choćby stu takich, jak wy, co zrobi przeciw tysiącom sołdatów?...

— To dopiero początek — przerwał Świrski.— Za pół roku będzie nas miliony... cała Rosya... cała armia rosyjska... Ale ktoś musi dać początek, chociażby przy tem zginął...

— Naturalnie!... — dorzucił uśmiechnięty Linowski.

— Więc nie wyjeżdżamy dzisiaj?... — szepnął z radością Soliter.

— Owszem... kto chce, pojedzie...

— Ale napad na koszary w mieście będzie!... — nalegał Lisowski.

— Głupi!... głupi!... — szepnął Jędrzejczak.

— Chyba... żeby nas wszyscy zawiedli... — odparł Linowski.

— Tak źle nie będzie — wtrącił Starka. — Przez pół roku mieliśmy czas do namysłu... A dziś chodzi tylko o to, ażeby niektórzy koledzy nie rozporządzali się po dyktatorsku... nie wysuwali się naprzód... Pierwsza potyczka lepiej pokaże: kogo słuchać?... kto ma być dowódcą?... To więcej znaczy, aniżeli rapiry na ścianach albo książki wojskowe w szafie.

— A ja jeszcze raz oświadczam, że do tej awantury nie mieszam się... — powtarzał z uporem Jędrzejczak.

— To dziwne!... — rzekł Lisowski. — Niby odważny... należał do wszystkich pochodów... strzelali do niego i nie uciekał, losował razem z nami, a teraz tchórzy...

— Nie mów tak!... — upomniał go Świrski.

— Nie chcę należeć!... — przerwał Jędrzejczak — nie będę należał, choćbyście mnie na śmierć skazali i ogłosili za zdrajcę...

— Chyba zwaryował?... — spytał Starka.

— Nie chcę — mówił Jędrzejczak — mordować ludzi znienacka... nie chcę rozbijać kas i grabić cudzych pieniędzy... Nie chcę!... Ale wy — możecie mordować, grabić... Każdy ma swój

http://rcin.org.pl

gust... Czy mam pójść sobie do dyabła, czy też który zechce mi w łeb wypalić?... — spytał szyderczo.

— A jednak ty sam zachęcałeś nas do utworzenia związku Rycerzy Wolności, sam należysz do niego — rzekł Świrski.

— Należałem... nawet dla was porzuciłem socyalistów, ponieważ urządzali morderstwa. Ale dziś wy chcecie robić to samo...

— Nie będziemy mordować... będziemy atakować ludzi liczniejszych i może lepiej, aniżeli my, uzbrojonych...

— Więc jesteście waryaci... Bo sam tłómaczyłeś, jako wielki taktyk czy strategik, że: aby odnieść zwycięstwo, trzeba mieć lepsze wyćwiczenie, lepszą broń i więcej ludzi...

— Ale też i nieraz mówiłem, że: ludzie, gotowi na śmierć i dobrze kierowani, mogą rozbić nieprzygotowanego nieprzyjaciela.... — odparł Świrski. — Zresztą pamiętaj, że w wojsku jest mnóstwo sprzysiężonych, którzy albo pomogą nam, albo conajmniej nie będą przeszkadzali...

— Zawsze te napady znienacka...

— A Japończycy nie napadli znienacka floty rosyjskiej w Porcie Artura? A pieniądze nieprzyjaciół — czy nie stanowią zdobyczy wojennej?...

Jędrzejczak zamyślił się.

— Dobrze — odpowiedział — jak zrobicie się wojskiem, choćby tylko partyzantami, będę należał do was... Wtedy zobaczymy: czy jestem

5*

http://rcin.org.pl

tchórz... Ale do dzisiejszej awantury nie należę, bo jest głupia...

— Oho!... miarkuj się!... osieł!... skacze wszystkim do oczów!... — zaszemrano.

— Powinieneś przynajmniej uszanować tych, którzy idą na niebezpieczeństwo — rzekł Świrski.

— Owszem... Jeżeli chcecie, mogę na przeprosiny pocałować każdego w rękę... Kiedy będziecie zdobywali koszary, pójdę z wami... Ale włóczyć się zimą po lasach, alarmować chłopów i Żydów ani zabierać kas — nie chcę...

— Przecież to nie jest decyzya ostateczna — odezwał się Soliter. — Oni spróbują: co można zrobić?... a gdy przekonają się, że nic, powrócą do domu...

— Wiecie, że byłoby paradne, gdybyśmy tak po Nowym Roku zeszli się wszyscy w szkole!... — zawołał Lisowski.

— Wątpię!... — rzekł Świrski.

— Wy będziecie w szkole, a my w polu!... — uśmiechnął się Linowski.

— Albo pod ziemią... — dorzucił Chrzanowski.

— I wtedy właśnie przeżyjemy wszystkich innych... — wtrącił Świrski.

— To trudno!... — rzekł Jędrzejczak. — Kogo tak swędzi gardło, ten musi iść na rożen...

— A ty jesteś pewien, że nie pójdziesz na rożen?... — odezwał się Starka.

— Panowie!... — zabrał głos Świrski. — Ko-

http://rcin.org.pl

nie czekają... Kto łaskaw, niech gotuje się do podróży. My z Linowskim wyjeżdżamy zaraz... Inni po dwóch i po trzech niechaj wyruszają za nami niby na święta... Między czwartą i piątą zjedziemy się u gajowego w Słomiankach i tam dostaniemy broń...

Zbliżył się do niego Soliter i rzekł półgłosem:

— Mój drogi, ponieważ sam powiedziałeś, że niema nic nagłego, więc ja... tym razem nie pojadę z wami...

— Jak chcesz...

— Ja także muszę się namyślić... — dodał Leśniewski.

— A ja pojadę — rzekł Starka — i zobaczę, w jaki sposób pan Świrski odegra rolę wodza... Będę nawet słuchał jego rozkazów, ale...

— Zobaczysz — wtrącił żywo Linowski — że to nasz polski Napoleon...

— A ty jego Murat...

— No, nie błaznujcie!... — upomniał ich Lisowski. — Komu w drogę, temu czas...

— A może: komu w trumnę, temu czas?... — roześmiał się Chrzanowski.

## V.

Doktór Dębowski, stary kawaler, towarzysz Linowskiego z powstania, był to człowiek śred-

http://rcin.org.pl

niego wzrostu, krępy, łysawy; miał szpakowatą blond brodę i nieduże, wesołe oczy poza okularami w złotej oprawie. Był on wybornym lekarzem, miłośnikiem muzyki i doskonałym obywatelem. Nie istniało stowarzyszenie, ani czyn społeczny, do którego nie należałby, nie wnosił składek albo nie oddawał swojej rozumnej i wytrwałej pracy. Za jego wiedzę, bezinteresowność, współczucie dla każdej biedy materyalnej czy moralnej kochali i czcili go ludzie, należący do wszelkich wyznań, partyi, nawet narodowości. Równie szanowali go biskupi, pastorowie i rabini, jak gubernatorzy i naczelnicy partyi rewolucyjnych. A gdy dziwiono się, jakim cudem zajął tak niezależne stanowisko wobec stronnictw nienawidzących się, odpowiadał:

— Bo widzisz kochany pan dobrodziej, mnie zawsze mniej obchodziły Marksy, Plewy i Pobiedonoscewy, aniżeli — płuca, serca i żołądki.

W swojem mieszkaniu największy pokój przeznaczył na sypialnię, gdzie oprócz łóżka, stał fortepian. Salonik obrócił na poczekalnię dla pacyentów, których badał w gabinecie. Ów gabinet był szczytem dziwactwa. Oprócz szaf z książkami i narzędziami, tudzież niezbędnego szezlonga, stał tam jeszcze, na wielkiej czarnej skrzyni piękny kościotrup, któremu doktór co kilka dni inaczej układał ręce, zmuszając tym sposobem pacyentów do zwracania na niego uwagi.

http://rcin.org.pl

Kościotrup najwięcej niepokoił Żydów, którzy często zapytywali:

— Po co pan doktór trzyma w domu takiego paskudnika?...

— Widzisz, bracie starozakonny, po to, ażeby chory wiedział: co go spotka, jeżeli nie zwróci się o poradę do lekarza i nie wypełni jego przepisów...

Wyjaśnienie to, powtarzane dziesiątki i setki razy, ogromną przyjemność robiło Dębowskiemu. Gdy dodamy, że, po trzydziestoletniej praktyce, doktór, żyjąc bardzo skromnie, odłożył na najczarniejszą godzinę zaledwie dwa tysiące rubli, a w jakiemś towarzystwie ubezpieczył sobie koszty pogrzebu, będziemy mieli zupełny wizerunek człowieka.

Linowskiemu, na trzykrotne uderzenie w dzwonek (taka była raz na zawsze umowa), otworzył sam doktór.

— Niech będzie pochwalony! - rzekł Linowski.

— Na wieki wieków atrament! — odparł lekarz. A potem, wyprostowawszy się, zawołał:

— Pierwsza kompania formuj dwójki i marsz! Raz... dwa... raz... dwa... Stój!... Pół obrotu na prawo! Równaj front!... przygotuj broń!... Hę... jeszczebym potrafił?... Komenderować tak; syna — nie bardzo... Jak się masz, stary kolego... daj pyska!... Jeszcze cię wilcy nie zjedli i zapewne nie zjedzą... Musisz być niestrawny, jak fiszbin...

http://rcin.org.pl

— Moja kłania się koledze doktorowi i przesyła trochę wędlinek — rzekł podleśny, zdejmując kobiałkę.

— To ci psia kosteczka!... — dawaj, stary, czemprędzej... Jestem od paru dni jakiś niedomagający, a wasze wędliny zawsze mi dobrze robią... Bodaj to mieć pod ręką jałowiec do wędzenia, no — i parę innych rzeczy, nie licząc umiejętności... Jak się tam miewacie na Leśniczówce?... Żona zdrowa?... Chłopak także zdrów; natrzyj mu tylko uszu, ażeby nie bardzo właził w politykę...

— I ten bestya już politykuje?... Ha, my to samo robiliśmy za młodu!... — westchnął Linowski.

— Ale młodym nie zaszkodzi wymyślać, ażeby psubraty wyobrażali sobie, że mamy więcej rozumu od nich... No, rozbierz się stary... do koszuli... Zobaczymy, czyś już zdatny na pekeflejsz?...

Linowski rozebrał się, położył na szezlongu... Doktór zbadał go i rzekł:

— Płuca, jak nowy miech... serce, jak pompa od Tretzera... żołądek, jak młyn walcowy... Będziesz stary, żył sto dwadzieścia lat, a jeżeli w setnym piątym roku nie zdobędziesz się na bliźnięta, to już Pan Bóg nie zna się na medycynie!... Jadłeś kolega obiad?... pewnie u Janowicza... A napijesz się kawy z koniakiem?... Przejdźmy do mego pokoju...

http://rcin.org.pl

Przeszli do sypialni, dokąd niebawem stara, czysto odziana służąca przyniosła butelkę, parę kieliszków i maszynkę z kawą.

— A jakże tam z nami?... — spytał ciekawie Linowski.

— Podle!... — I doktór machnął ręką.

— Cóż znowu!... — oburzył się podleśny. — Mamy konstytucyę... w narodzie zbudził się duch... z Moskalami dobre porozumienie...

— A jakże... Takie porozumienie, że oni trzymają w garści bat, a my rozpięte porteczki... A co się tyczy rozbudzenia ducha, nasłuchałbyś się pięknych rzeczy...

— No... no... na miłosierdzie Boskie, nie straszże kolega, albo wyraźnie powiedz, co jest?...— zawołał Linowski.

— To jest, że gałganiejemy... Pij, kolego! — mówił Dębowski, nalewając dwa kieliszki koniakiem.

— E... e... e... wstydź się pan doktór.

— Więc sam osądź... — prawił Dębowski. — W 1794 roku, w 1812 i 1831 o wolność walczyła armia, i to z wrogiem zewnętrznym. Ale o żadnych sztyletnikach, i brauningistach, o żadnych wywłaszczeniach nie słyszano... W 1863 już nie było armii, tylko partyzantka, i zaczęli pokazywać się sztyletnicy, których, pamiętasz?... nie przyjmowaliśmy do oddziałów... A dziś co?... Armii niema, nawet partyzantów... Za to mamy sztyletników, brauningistów, napaści na kasy

http://rcin.org.pl

i domy, mordowanie się rozmaitych partyi... Czy to nie skandal?... Czy nie prawda, że gałganiejemy?... Ci bojowcy, co to zabijają rozmaite figury rządowe na ulicach, a złapani, giną, jak bohaterowie, ci bojowcy, mówię ci, to ludzie bardzo odważni. Ale czy myślisz, że byłby z takiego zucha dobry żołnierz?... Przecież miałem paru w kuracyi... I na co chory?... na neurastenię, neurastenię w najwyższym stopniu!... I to ma być materyał na żołnierza, który nie dośpi, nie doje, ciągle w marszu, a gdy przyjdzie bitwa, musi niekiedy parę godzin stać w takiem piekle, że słabe nerwy nie wytrzymają, pękną?...

— O dla Boga!... dla Boga!... — jęknął Linowski, chwytając się za głowę. — Przecież nie wszyscy tacy!... A mój chłopak?...

— To też twój chłopak nie zarżnąłby człowieka...

— No, więc miejmy nadzieję w Bogu i następnem pokoleniu... — rzekł podleśny.

— A tymczasem zdychajmy z głodu!... — odparł doktór. — Ja bo tam jeszcze będę mógł zaczepić się przy jakiej starej akuszerce do dawania lewatyw; ale co kolega zrobisz, jak Żelazne Huty dyabełki wezmą?... nie bardzo wiem...

— Jakto Żelazne Huty?... — spytał ze zdumieniem podleśny. — Ehe... he!... kolega, widzę, wciąż kpi ze starego oficyalisty.

Doktór aż podskoczył na krześle.

— O, przepraszam cię, panie Józefie, ale

http://rcin.org.pl

z przytykiem do swojej służby wobec mnie nie wyjeżdżaj... Z Żelaznemi Hutami naprawdę może być źle...

— Jakim sposobem?... Przecież gospodarują porządnie.

— Najlepsza gospodarka nie poradzi w takim chaosie, jaki zapanował u nas... — odparł doktór. — Weź chociażby najświeższy skandal...

— Jaki? nic nie wiem...

— Dostałeś pensyę za listopad?...

— Jeszcze nie...

— A gajowi, a nadewszystko robotnicy w fabrykach, dostali wynagrodzenie za kilka ostatnich tygodni?... — pytał doktór.

— Dostaną przed świętami za cały czas...

— Fiu!... jesteś tego pewien?...

Linowski rozłożył ręce i patrzył bezradnie na doktora. Ażeby zarząd Żelaznych Hut mógł nie zapłacić swoim pracownikom na święta, to nigdy nie przyszłoby do głowy Linowskiemu. Przecież kilkuset ludzi z rodzinami żyją na kredyt w oczekiwaniu zapłaty...

— Pieniądze chyba mają?... — szepnął podleśny.

— Otóż w tem jest komedya i tragedya — rzekł doktór. — Pieniądze, około pięćdziesięciu tysięcy rubli, są już tu, w mieście... nawet nie bardzo daleko. Jest także dyrektor zakładów, jest kasyer główny i bodaj czy nie kancelista... Ale, mimo to, pieniędzy może nie być na święta w Hu-

http://rcin.org.pl

tach, bo niema sposobu przewieźć ich... Pij-no, staruszku!...

— Co, pan doktór żartuje z tymi pieniędzmi?... — oburzył się Linowski.

— Tak mi się chce żartować, jak psu wymiotować — odparł Dębowski. — Ale tylko posłuchaj... Napewno wiemy, że zorganizowała się banda, gotowa napaść tych, co będą wieźli pieniądze do Hut... Prosta rzecz, że ani dyrektor, ani kasyer, ani marny kancelista nie mają ochoty iść pod nóż, niby kurczęta...

— Cóż to, socyaliści?...

— Boże, uchowaj!... tymczasem chcą napadać i grabić zwyczajni złodzieje. To też biedaki czuwają nad filią banku, jak matka nad pierworodnem dzieckiem... po trzy razy na dzień dowiadują się o skrzynkę, dobrze okutą, zielonego koloru, która stoi w skarbcu — zamknięta, obwiązana i opieczętowana... I byle ją wywiózł kto z miasta, napadną w pierwszym lesie, a może w gołem polu!...

— Więc dyrektor nie prosił o eskortę?

— Owszem, prosił. Ale kiedy powiedzieli mu, że mogą dać najwyżej dziesięciu kozaków, kiedy zaczęli obrachowywać, co będzie kosztowała eskorta? co każdy kozak zabity, a co raniony?... dyrektor wyrzekł się opieki. I miał racyę, ponieważ teraz socyaliści namyślili się i zapowiadają, że, jeżeli dyrekcya odwoła się do pomocy kozaków, to oni, socyaliści, napadną na

http://rcin.org.pl

konwój i zabiorą pięćdziesiąt tysięcy rubli, które im są bardzo potrzebne.

— A to heca!... — dziwił się Linowski. — Więc może fabryka przyśle ze dwudziestu, trzydziestu swoich robotników... To dzielne chłopy!... Socyaliści chyba ich nie zaczepią, a bandytom dadzą radę.

— Była mowa i o tem — rzekł doktór. — i nawet policya zgadza się na tę kombinacyę, tylko... nie pozwala robotnikom mieć przy sobie żadnej broni...

— No, w takich warunkach pieniądze nie zdążą na święta!...

— Ech!... Zdążyłyby, tylko u nas niema ludzi. Są godni zaufania, ale podszyci tchórzem, i są odważni, ale tym nie bardzo można ufać... Nasze zdrowie!...

— Nie rozumiem?... — rzekł podleśny, trącając kieliszek Dębowskiego.

— Zrozumiesz, jeżeli pewnego dnia ja... ja sam przywiozę wam pieniądze...

— Doktór?...

— Ma się wiedzieć, że ja...

— A zbójcy?...

— Oni tak są zapatrzeni w bank, skarbiec, w zieloną skrzynię... tak oczekują jakiejś wielkiej eskorty i hałasu przy przewożeniu kilkudziesięciu tysięcy rubli, że, jeżeli kto grzeczniutko, cichutko, weźmie na saneczki niewielki koszyczek z zupełnie prywatnego domu (nie z banku, broń

http://rcin.org.pl

Boże) i spokojnie wyjedzie truchcikiem z miasta, to go nawet nie zaczepią. Ja zrobiłbym to dziś, jutro... ale mam w mieście paru ciężko chorych pacyentów, a nie mam interesu do Hut... To też, gdy wrócisz do domu, przyślij do mnie telegram, ażebym przyjechał natychmiast, a przyjadę i przywiozę całą gotowiznę... Największą siłą bandytów jest ludzkie tchórzostwo...

— Doktór odwiózłby pieniądze?... — pytał zdumiony podleśny.

— No ja... Cóż dziwnego?... Gdy chodzi o losy kilkuset ludzi i przyszłość instytucyi krajowej, człowiek może narazić swoją... imaginacyę na rozmaite niebezpieczne przypuszczenia...

— Ale gdyby doktora napadli?...

— I to ty mówisz, który w 63-im roku wiozłeś cztery wozy broni od granicy ku Siedlcom?... Ty wiesz najlepiej, że największe niebezpieczeństwo siedzi bestya nie na zewnątrz nas, ale w nas...

— Ale gdyby?...

— Gdyby złapali mnie bandyci i zabili?... — pochwycił doktór. — A kto ci zaręczy, że dziś, jutro nie zarażę się tyfusem, z którego już się nie wydobędę?... I w dodatku, nikt na tem nie zyska!...

Linowski popił kawy, potem koniaku, oparł rękę na stole, głowę na ręku... Myślał, znowu popił koniaku...

http://rcin.org.pl

— Więc żadna partya polityczna nie dybie na te pieniądze?... — zapytał doktora.

— Będą dybać, jeżeli dyrektor odda się pod opiekę policyi...

— Bo to ci, psiakrew, partyjni, nietylko zabijają człowieka, ale jeszcze po śmierci nazywają go szpiegiem... — mówił zwolna podleśny.

Znowu zamyślił się, dokończył kieliszka i zapytał:

— A coby doktór powiedział, gdybym... gdybym ja...

Doktór podniósł filiżankę do ust, popatrzył na Linowskiego z podełba i odparł, kręcąc głową:

— Masz żonę... dzieci... Zresztą... nie jesteś usposobiony...

— Dlaczego?...

— Widzisz, sama sprawa jest drobna. Założyłbym się, że, gdybyś przewoził pieniądze, nikt cię nie zaczepi... nawet nikt nie będzie podejrzywał... Jest to więc zabawka. Ale do tej zabawki trzeba mieć spokojne nerwy i trochę humoru... Gdybyś jechał, myśląc o tem, że ktoś drogę ci zastąpi, płoszyłby cię każdy przechodzień, każdy krzak, irytowałbyś się... No, a to w naszym wieku niezdrowo... To tak, jakbyś ożenił się z dwudziestoletnią dziewczyną i udawał przy niej młodego... Gotowa apopleksyjka...

Linowski zerwał się z krzesła.

— Co też znowu doktór wygaduje?... Ja

http://rcin.org.pl

miałbym dostać apopleksyi ze strachu? Alboż codzień złodzieje leśni nie grożą mi napadem?... Czy nie strzelali do mnie? Czy nie wożę ze sobą rewolweru, bo muszę wciąż być gotów do obrony? Więc nie o skórę mi idzie... Sześćdziesięcioletnią skórę można oddać do garbarni... Ale chodzi mi o uczciwe nazwisko i o mego chłopca...

— Bój się Boga, któż ośmieli się zaczepić twoje nazwisko?... — wtrącił doktór.

— Wiem. Gdyby socyaliści chcieli zagrabić pieniądze, bałbym się... Bo to walczyć z partyą polityczną jakoś... nie wypada. Ale ze złodziejami dam sobie radę!... Koń, jak ptaszek... ręka pewna... rewolwer nie zawiedzie... A reszta — w mocy Boskiej... Tylko chłopak...

— Cóż chłopak?... — zapytał doktór.

— Póki ja żyję, mógłbym go wysłać dla edukacyi za granicę...

— Phi!... A gdybyś zginął przy takiej okazyi, zarząd Żelaznych Hut dwa razy wysłałby go za granicę.

— Pewny tego doktór?... — zapytał podleśny, biorąc Dębowskiego za rękę.

— Przysięgam!... A gdyby oni go nie wysłali, ja, plunąwszy im w oczy, oddałbym parę moich rubli...

— Twoich pieniędzy nie chcę i... zawiozę do Hut pięćdziesiąt tysięcy!... — rzekł Linowski głosem stanowczym.

http://rcin.org.pl

— A nie będziesz żałował?... Nie będziesz mnie klął?...

— Tfu!... — splunął podleśny.

— Więc zgoda! A ja daję ci słowo, że, według mego najgłębszego przekonania, nic ci nie grozi.

— Tem lepiej. Gdzież pieniądze?...

— Zostaw kobiałkę — mówił doktór zniżonym głosem — przyjedź, jak się zmierzchnie, a dostaniesz...

— Więc pieniądze u ciebie?... — szepnął Linowski.

— W skrzyni pod kościotrupem... Hi!... hi!... hi!... Tom ich użył, co? A oni, durnie, oblegają bank i hotel Warszawski, gdzie mieszka dyrektor z kasyerem!

To powiedziawszy, doktór uścisnął i ucałował Linowskiego.

— Zrobiłeś mi prawdziwą satysfakcyę... — mówił. — Bo dzisiaj u nas wszyscy tchórzą... Boją się rządu, socyalistów, bandytów... To też dzięki ogólnemu tchórzostwu życie społeczne zatrzymuje się, obumiera.. Chwat z ciebie stary!.. Pierwsza kompania broń do ataku!... — frontem ma-arsz!... marsz!... Myślałem, że już nas wszy zjedzą za piecem... Ale kiedy stary Linowski nie stracił serca, nie damy się!...

Uściskali się, doktór był zachwycony, Linowski zadumany.

— Co będzie — spytał — jeżeli... mnie za-



http://rcin.org.pl

biją, a pieniądze przepadną?... Czy moją panienkę i chłopca wypędzą z Leśniczówki?...

— Ani myśl o tem!... Siedzieliby do końca życia. Przecie wiesz, że, ile razy urzędnik czy robotnik w Żelaznych Hutach uległ nieszczęściu z winy zarządu, zawsze go wynagradzano.

— Ale co... ale coby się stało, gdyby mnie nie zabili, a pomimo to... pieniądze zabrali?... — pytał natarczywie Linowski.

— Nicby nie było — odparł doktór, wzruszając ramionami. — Nad tą przeklętą sumą wisi nieszczęście... Jeżeli ty zechcesz ją przewieźć, jest wszelkie prawdopodobieństwo, że ocaleje... Ale gdyby, mimo to, nie ocalała, zarząd przynajmniej będzie pewien twojej dobrej wiary... Tobie zaufają, nawet w razie wypadku; co do innych, może mieliby wątpliwości.

A ponieważ Linowski był wciąż zamyślony, więc doktór odezwał się:

— Słuchaj, kolego, nasza rozmowa to nie ślub, ani przysięga... Jeżeli masz najmniejszy powód do wahania się, daj spokój... Sprawa jakoś się załatwi domowymi środkami... olejkiem i rumiankiem...

— Wcale się nie waham — odparł Linowski — bo nawet przyszło mi na myśl, że, jeżeli kto, to tylko ja powinienem oddać zarządowi taką usługę. Oni mię przygarnęli, kiedy wróciłem z Syberyi i nie miałem o co rąk zaczepić... Oni karmią mię od lat trzydziestu... Przy ich pomocy

http://rcin.org.pl

wychowałem córkę, a teraz chłopca... Więc chyba świnią byłbym, gdybym cofnął się od tej sprawy. Przecie sam kolega powiedziałeś, że chodzi tu o chleb kilkuset robotników i o losy instytucyi...

Pochwycił rękę Dębowskiego i, uderzając go w dłoń, jak przy dobijaniu targu, rzekł wesoło:

— Jadę i odwożę, choćby najjaśniejsze pioruny biły!

— I dlatego bez wypadku dowieziesz... — odparł doktór, całując go.

## VI.

Linowski, opuściwszy doktora, szedł zwolna w kierunku stancyi pani Wątorskiej. Dawno, bardzo dawno nie był tak przyjemnie podniecony, jak dzisiaj. Czuł, że pierś niby rozrosła mu się, stąpał lekko, jak na sprężynach, w uszach słyszał muzykę, a mimowolnie zaciśnięte pięści robiły wrażenie kamiennych albo żelaznych.

»Niech Bóg broni tego, kto chciałby mi zastąpić drogę!... — pomyślał. — No, wreszcie dowiedział się człowiek, czego jest wart... Kasyer bierze 1.500 rubli, ja pięćset... Dyrektor 4.000 rubli, a ja, nędzny robaczek, tylko pięćset... Ale, gdy trzeba ratować Żelazne Huty od bankructwa, a kilkuset... e!... co kilkuset?... parę tysięcy



http://rcin.org.pl

ludzi od nędzy, wówczas dyrektor chowa się w kąt, kasyera wcale nie widać, a ty, panie Linowski, ratuj... Ratuj, bo dla ciebie niebezpieczeństwo to zabawka, umrzeć fraszka... Bo ty, panie Linowski, nie takie widywałeś awantury. Kule, kartacze, głupstwo!... gorszy był niedźwiedź na Syberyi, albo bradiagi. Kto takie jadał pasztety, panie Linowski, ten kpi z tutejszych bandytów.

»No, i od tej pory człowiek będzie miał innę zachowanie w dyrekcyi, i przyszłość chłopaka wygląda jakoś wyraźniej... Jest pan nadleśny, ma dwu pomocników i sekretarza... jest dziesięciu podleśnych, ale z tej całej gromady tylko stary Linowski posiada tyle zaufania, że bez kwitu oddają mu 50.000 rubli.

»Poczciwy doktorzysko zawsze pamięta o koledze, który parę razy wydobył go z tarapatów... Ech!... gdyby człowiek mógł mieć ze dwadzieścia lat mniej!...«

Idąc i marząc tak, Linowski uśmiechał się pod wąsem. Mroźne powietrze upajało go, niby koniak. Dawno nie czuł się tak szczęśliwym, tak dumnym z siebie.

Kiedy podleśny wszedł do mieszkania pani Wątorskiej, zobaczył jedne na drugich poustawiane łóżka, poprzesuwane stoły i kufry, a nadewszystko kłęby kurzu, wśród których uwijała się gospodyni z miotłą w ręku. Poznawszy go,

http://rcin.org.pl

zaczęła mówić zwykłym jej tonem prośby i usprawiedliwiania się:

— Pan Władysław już pojechał ze Świrskim i jeszcze jednym kolegą... Zostawił dla pana dobrodzieja zawiniąteczko i karteczkę...

Linowski szybko odebrał jedno i drugie, powinszował gospodyni świąt i czemprędzej wydostał się z tumanów kurzu do bramy.

Tu rozwinął kartkę i przeczytał:

»Najukochańszy Tatusiu!... najukochańsi Rodzice!... Tysiąc razy przepraszam, żem wyjechał bez pożegnania, ale konie czekać nie mogły... Jadę ze Świrskim, będziemy się bawić doskonale, a za parę dni przyjedziemy do Tatusia. Do widzenia, całuję rączki. Daj Boże, do najprędszego widzenia, Tatusiu, kochający, bardzo ko-łchający Władek«.

Linowski dwa razy przeczytał kartkę; ton jej wydał mu się dziwny, a charakter jakby zmieniony...

»To z pośpiechu — mówił do siebie. — Ale też żeby nie zobaczyć się z ojcem, który po niego przyjechał sam, jak furman!... No, nie mógł przecie zatrzymywać Świrskiego... Gdy uda mi się przewieźć te pieniądze, Władek już nie będzie potrzebował żadnych panów Świrskich...«

W tej chwili minął go jakiś chłopak w czapce ucznia szkoły handlowej, wysoki, rudy i niezgrabny, a Linowskiemu zdało się, że chłopak przypatruje mu się z uwagą. Podleśny odwrócił

http://rcin.org.pl

głowę, uczeń zrobił to samo; przez mgnienie oka zatrzymali się obaj, ale wnet poszedł każdy w swoją stronę.

»Szkoda!... — myślał Linowski — żem go nie zaczepił... Może to kolega Władka?... może i on jedzie do Świrskiego?...

Jeszcze raz spojrzał na kartkę syna, i wydała mu się jakby pisana drżącą ręką.

»Nic dziwnego — rzekł do siebie. — Gospodyni robiła porządki, i nie bardzo było na czem pisać...«

Przekładając z ręki do ręki zawiniątko, mimowoli uchylił derkę i zobaczył kawałek uczniowskiego mundurka. Podleśnemu zrobiło się chłodno, gdy pomyślał, że ten mundurek może być już Władkowi niepotrzebny, jeżeli odsyła go do domu.

»Głupstwo!... odsyła mundur, bo chce chodzić w nim przez święta. Mundur, nawet stary, dobrze wygląda: można być w nim i u nadleśnych, i u proboszcza... Nawet u dyrektora... bo chyba w tym roku zaprosi nas, a może i sam przyjedzie do Leśniczówki. Niech Bóg da zdrowie Dębowskiemu, że wciągnął mię do tej sprawy z pieniędzmi...«

Niedaleko hotelu zdało się Linowskiemu, że jakiś, niby rzemieślnik, spojrzał na niego ciekawie. Gdy zaś wszedł do stajni, spostrzegł, że ze stajennym, Mateuszem, rozmawia młody człowiek, przyzwoicie ubrany. Stali obaj przy wiel-

http://rcin.org.pl

kiej skrzyni z obrokiem, którą Mateusz prędko zamknął, a młody człowiek cofnął się w głąb stajni, i nie można było przypatrzyć się jego rysom.

Linowski znowu poczuł zimno w piersiach. Przypomniał sobie, co Mateusz mówił o socyalistach: »Socyałem jest każdy: szewc, student, brat komisarza...«

— Cóż mój koń?... — zapytał stajennego.

— O, całkiem dobrze!... Podjadł se, popił, a jak przyjdzie potrzeba, będzie leciał nie gorzej od zająca...

»Dlaczego on mówi: jak przyjdzie potrzeba?... — myślał Linowski. — Może oni już wiedzą, że ja mam przewozić pieniądze, a ten frant w stajni i tamten uczeń na ulicy czuwają nade mną?...«

— W Imię Ojca i Syna... — rzekł głośno i otrząsnął się. — Zaczynam tchórzyć, czy kiego dyabła?

Poszedł do szwajcara i zapytał: czy nie możnaby przespać się gdzie, ale tanio. Szwajcar za złotówkę dał mu mały i zimny numerek na dole, a podleśny rzucił się na brudną kanapę.

— »Trzecia!... — rzekł, patrząc na zegarek.— Za godzinę zrobi się ciemno, i trzeba będzie pójść do doktora...«

Znowu przebiegł go chłód.

— Cóż u licha! przecież nie zaziębiłem się?... Oj, stary... stary... już nie zrywaj się ty do ła-

http://rcin.org.pl

skotliwych interesów!... Zostaw to młodszym, nie takim, jak ty, safandułom...«

Zawadzał mu surdut, podbity lisami, więc go zdjął; pokazało się jednak, że również zawadza mu kurtka i kamizelka, a nadewszystko — długie buty. A jak przed godziną radował go szeroki, pełny oddech, tak w tej chwili czuł ciężar na piersiach i trudność w oddychaniu.

Leżał na kanapce, przewracał się, poprawiał zawiniątko syna pod głową. Czuł, że sen przywróciłby mu siły i zakłóconą równowagę moralną, a jednocześnie zdawało mu się, że nigdy nie zaśnie. Pomimo to zasnął i miał bardzo przykre marzenia.

Zdawało mu się, że kogoś z jego blizkich, bardzo blizkich, kogoś bardzo drogiego, skazał na śmierć nie wiadomo kto i nie wiadomo za co. Widział nawet dziwaczną maszynę egzekucyjną, podobną niby do huśtawki, niby do kafara, a nawet zdaleka widział skazanego. Ale był tak zatrwożony, że nie śmiał przypatrzeć się jego twarzy.

Potem czuł wielką, niepokonaną chęć uratowania skazanego, bodaj — zastąpienia go; na co znowu — niewiadomo kto — zgodził się.

Oprawcy czy sędziowie byli to ludzie grzeczni; nie wiązali go, nie popychali do maszyny egzekucyjnej, tylko nie pozwalali mu wyjść poza pewien okrąg. A że Linowski ciągle kręcił się, ciągle chodził, więc nieznacznie i mimowoli sam

http://rcin.org.pl

zbliżał się do okropnej maszyny. Wtedy obudził się w nim strach, opanowywał go coraz silniej, wreszcie doszedł do takiej potęgi, że podleśny wyrzekł się chęci ratowania nieznajomego skazańca...

— Trudno... trudno... trudno!... — szeptał — niech każdy umiera za siebie...

Ale gdy sędziowie czy oprawcy pochwycili nieznajomą osobę, Linowskiego ogarnął taki znowu żal, taka rozpacz, że — zamknął oczy i sam dobrowolnie rzucił się na śmiertelną huśtawkę... Krew uderzyła mu do głowy i — obudził się, oblany potem.

Siadł na kanapce, przetarł oczy. W pokoiku było ciemno i już świeciło się w oknach naprzeciw.

Machinalnie wydobył zapalniczkę z krzesiwkiem i lontem, którą przed dwoma laty ofiarował mu Władek, zapalił zapałkę i spojrzał na zegarek.

— A bodaj-że cię... już szósta!... — zawołał.

Nałożył lisiurę, wybiegł do stajni z zawiniątkiem i kazał zaprządz konia.

— Za godzinę... półtorej... będzie wielmożny pan w domu — rzekł Mateusz.

— Nie jadę dziś do domu, tylko do Łucki — niecierpliwie odparł Linowski. — Podobno pokazał się tam wilk wściekły...

— Nigdzie niema spokoju — rzekł śmiejąc

http://rcin.org.pl

się Mateusz. — W mieście socyały, w lesie wilki... Coś idzie na wielką odmianę!...

Gdy Mateusz zaprzągł konia, Linowski kazał wyjechać na ulicę, przed restauracyę. Wstąpił do bufetu, wypił kieliszek wódki, zabrał swój rewolwer i, pożegnawszy gospodarza, pokłusował do doktora. Tam powierzył konia stróżowi i poszedł na górę.

— Jesteś, stary?... — zawołał Dębowski. — Cóż to, niema Władka?...

— Pojechał do Świrskiego i nawet nie widział się ze mną — odparł markotnie Linowski.

— A prawda!... Takie warchlaki, jak umówią się na łobuzerkę, gotowi zapomnieć nawet o jedzeniu i spaniu, nietylko o rodzicach... Szkoda, byłoby ci raźniej we dwóch...

Schylił się i z pod szezlonga wydobył kobiałkę.

— Spróbuj-no jej... — rzekł do podleśnego.— Ciężar, co?...

— O, psiakrew!... — stęknął Linowski. — To tu jest pięćdziesiąt tysięcy rubli?...

— Tylko dwadzieścia siedm w połowie złotem, w połowie papierami. Resztę sam przywiozę, ale wyślij do mnie jutro albo pojutrze telegram... A nie rozmyśliłeś się? Bo, powiadam ci, jeżeli nie masz silnego nagabania, ażeby przewieźć te rupiecie, lepiej nie podejmuj się... Irytacya, mój stary, w naszym wieku, tak samo szkodzi, jak łajdaczenie się...

http://rcin.org.pl

— Co też doktór gada!... — odburknął Linowski. — Dziecko jestem?... podejmuję się bez namysłu, czy jak?...

— Czekajno jeszcze!... — zawołał doktór. — Dostaniesz takiej wódki, że ci się Żyżyn przypomni...

Wybiegł do sypialni i w kilka minut powrócił, niosąc płaską butelkę, dobrze zatkaną, i pełny kieliszek.

— To — mówił, dając podleśnemu butelkę — to masz na drogę. A tego zażyj na miejscu.

Linowski butelkę wsunął do kieszeni, wódkę wypił, splunął i uścisnął rękę doktorowi.

— Daj, Boże, do prędkiego zobaczenia... — rzekł, wieszając kobiałkę na ramieniu.

— Uściskamy się najdalej w poniedziałek albo wtorek... — odparł doktór. — Tak będziesz trzymał kobiałkę?...

— Nie. W siedzeniu jest skrzynka, tam ją włożę... A pojadę nie prosto do domu, tylko w stronę Łucki... Na piątej wiorście skręcę w lewo i przetnę szosę niedaleko Słomianek.

Jeszcze raz uścisnęli się, i podleśny zeszedł na dół.

Kiedy, zapakowawszy kobiałkę, wziął lejce od stróża i spojrzał w okno, zobaczył podniesioną roletę i na tle żółtawego światła brodatą głowę doktora, kiwającą się gwałtownie.

— Powiedz panu doktorowi, że dziś jadę do Łucki — rzekł Linowski podniesionym głosem,

http://rcin.org.pl

spostrzegł bowiem jakieś dwie figury na przeciwległym chodniku.

»Oczywiście, śledzą mię!... Ale zjedzą trzysta dyabłów...« — pomyślał.

Poprawił w kieszeni rewolwer i trącił lejcami konia, który ruszył tęgiego kłusa, pomimo, że na miejskim bruku było więcej błota, aniżeli śniegu. Pod kościołem znowu zauważył jakieś dwa cienie, a już na krańcu miasta przebiegł mu drogę człowiek, który wymachiwał kijem.

Za miastem odetchnął: droga była lepsza i pusta, tylko po bokach chwiały się i szemrały ogromne, nagie topole nadwiślańskie.

— Spóźnili się!... — rzekł. — Teraz mnie już nie złapią...

Ledwie jednak na zakręcie wyminął krzaki, na białym śniegu spostrzegł ciemną masę: były to przewrócone sanie i stos drzewa, który się rozsypał. Linowski gwałtownie skręcił i przez pole objechał barykadę, a potem znów wrócił na gościniec.

Gdyby w tej chwili najwiarogodniejszy człowiek zapewnił go, że sanie z drzewem wywróciły się przypadkowo, nie uwierzyłby. Już bowiem wyfermentowało w nim niezachwiane przekonanie, że go ktoś śledzi, że go ktoś ściga i że co pewien czas spotykać będzie przeszkody. Przysiągłby, że bandyci napadną go tej nocy, tylko nie mógł odgadnąć, w jakiem miejscu?

Teraz na pierwszy plan wysunęła się naj-

http://rcin.org.pl

głębsza cecha jego charakteru. Linowski był odważny, więc rzeczywiste, czy urojone niebezpieczeństwa, zamiast obawy, rozbudziły w nim zaciętość. Gdyby mu powiedziano, że na drodze do domu spotka sto śmierci, gdyby mu zapłacono milion, ażeby się wrócił, nie wróciłby się, lecz jechałby naprzód, ciągle takim samym równym i tęgim kłusem. W tej chwili zapomniał o swoim śnie przykrym, o złych przeczuciach, o żonie, nawet o Władku; tylko czuł, że musi odwieźć pieniądze do Żelaznych Hut, że go nic nie powstrzyma od spełnienia tego zamiaru i że, gdyby nawet umarł, jego trup ocknie się i we właściwe ręce odda powierzoną sumę. Ta myśl hypnotezowała go i robiła automatem.

Jednocześnie kłębił mu się w sercu jakiś bezdenny i bezprzedmiotowy smutek, a po głowie przelatywały rozmaite pomysły, jedne od drugich dziwaczniejsze.

»Pfeferman mówił, że gdyby miał dwadzieścia tysięcy rubli w Ameryce, zrobiłby wielki majątek... — snuło mu się w wyobraźni. — Ja mam dwadzieścia siedm tysięcy... Jutro przed wschodem słońca mogę być w Galicyi, pojutrze sprowadzić żonę i Władka, a za tydzień płynąć do Ameryki... O, stary błaźnie!... a czyliż Władek albo żona zechcieliby pojechać z ojcem złodziejem?...«

Tu Linowski spostrzegł krzyż na rozdrożu i skręcił w lewo. Drożyna, na którą wjechał,

http://rcin.org.pl

była najbezpieczniejsza, biegła bowiem przez krzaki, zamarznięte błota i lasy. Była jednak niewyraźna, mało uczęszczana, możliwa tylko dla takiego, jak on, znawcy okolic. Podleśny wyciągnął flaszkę i pociągnął duży łyk...

»Skąd doktór ma taką wódkę?... — myślał. — Dalibóg nie wiem, czy piłem coś podobnego w życiu!... Ale na drugi raz, kochany kolego, choćbyś dał jeszcze lepszej wódki, nie podejmę się przewożenia takich pieniędzy... Dobrze mówił mecenas... Wielki majątek nie zdobywa się pracą, bo w takim razie największe fortuny powinny mieć parobcy i wyrobnicy, którzy pracują po kilkanaście godzin na dobę... Wielki majątek, choćby tylko dwadzieścia siedm tysięcy rubli, powstaje albo z lichwy, albo z oszustwa, z obdarcia sierot, może i ze zdrady... A że ja, głupi, podjąłem się przewożenia takich krwawych pieniędzy, więc dręczy mię sumienie... Gdybym wiózł trupa, śmierdziałby całą drogę; a że wiozę dwadzieścia siedm tysięcy cudzych krzywd, więc cudze krzywdy obsiadły mię, jak pluskwy, i gryzą i palą i wypijają ze mnie spokojność... Niema spokoju dla durnia, który wysługuje się krzywdzicielom!...«

Wązka droga stawała się coraz mniej wyraźną. Linowski powściągnął konia i zaczął oglądać się po okolicy.

— Już widzę! — rzekł głośno. — Tu sosna,

http://rcin.org.pl

a tam krzywe lipy. Za kwadrans będę w swoim lesie...

Teraz napłynęła na niego fala myśli weselszych:

»Przeżegnaj się, stary!... — dumał. — Przecież te pieniądze nie należą do wielkich panów, ale do takich, jak ty, biedaków: podleśnych, gajowych, oficyalistów fabrycznych, robotników... Przecie to ich pensye, które ciężko wypracowali, żywiąc się na kredyt i płacąc drożej... To nie krzywda, to praca ludzka... to nie przeklęte, ale święte pieniądze!...«

Po tym monologu odwaga jego wzmogła się, ale nieokreślony smutek coraz głębiej wżerał mu się w serce. Zdawało się, że nad miastem, z którego wyjechał, i nad okolicą, którą przebywał, wisi widmo nieszczęścia i, niby olbrzymi pająk, zapuszcza szpony w jego duszę.

Jechał przeszło godzinę. Do szosy było jeszcze z pięć wiorst, od szosy do mieszkania gajowego Mroczka znowu pięć wiorst. Za godzinę powinien być w Słomiankach. Tam weźmie nowego konia i za pół godziny stanie w domu. W domu nie napadną go, gdyż łatwo obroniłby się; jeżeli więc napadną, to gdzieś około szosy. Między choinami zatrzymał konia, wytarł go, nakrył derą i, zdjąwszy wędzidło, począł go karmić sianem. Koń jadł wesoło i od czasu do czasu chwytał pana za lisiurę albo za czapkę.

http://rcin.org.pl

— On jakoś nic złego nie czuje — rzekł podleśny. Okiełznał kasztanka i ruszył dalej.

Nieznacznie zjechał z drożyny i, sunąc pomiędzy krzakami, coraz więcej oddalał się od niej.

— Zjedzą trzysta dyabłów, jeżeli mię zaskoczą znienacka. A ich głupie strzały mam gdzieś...

Wydobył znowu płaską flaszkę i wypił kilka łyków, aż łzy zakręciły mu się w oczach. Ale tęga wódka nie uspokoiła go, raczej podrażniła. Co chwilę zdawało mu się, że ktoś wypełza z pomiędzy krzaków, to znowu, że słyszy dalekie gwizdanie, albo czuje woń spalenizny. Jednocześnie miarkował, że zbliża się do szosy.

— Jeszcze z dziesięć minut... Jeszcze z pięć minut... — mówił do siebie. Nagle — jakby rozjaśniło się; Linowski z prawej i lewej strony zobaczył wolną przestrzeń, sanki poszły w dół, potem koń wdrapał się na wyniosłość i... przejechał szosę...

— Cóż to jest?... zabłądziłem?... nie!... tylko z tego miejsca będzie trochę dalej do Słomianek...

A zatem przejechał szosę bez wypadku... Już przejechał szosę i jest prawie bezpieczny!...

Tu chyba nie napadną go, bo któżby jeździł po takich wertepach prócz gajowych?

— Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech... — zaczął mówić Linowski, czując, że serce przepełnia mu się radością.

Wjechał na obszerną polanę i w tej chwili,

http://rcin.org.pl

o kilkanaście kroków od sanek usłyszał młody, dźwięczny głos:

— Kto jedzie?... Hola!... Stać, bo strzelę...

Ktoś wypadł z poza drzewa i schwycił przy pysku kasztanka... Jednocześnie otoczyło go kilku młodych ludzi, z których jeden miał krótki karabinek, inni rewolwery...

Podleśny rzucił lejce, wyskoczył z sanek i pobiegł do tego, który zapytał: kto jedzie?...

— Wła... Władek?... — zawołał chrapliwym głosem Linowski. Zdawało mu się, że otrzymał cios w głowę. W oczach pociemniało mu, serce zaczęło bić gwałtownie.

— Tatuś?... a tatuś co tu robi?...

— To ty, Władziuś?... Ty?... — pytał Linowski, podnosząc ręce do głowy. — Ty! z rabusiami?... I napadasz własnego ojca?... Kto ci powiedział, że ja wiozę pieniądze?

Młodzi ludzie otoczyli podleśnego, a syn, przerażony jego głosem i ruchami bezładnymi, zapytał:

— Jakie pieniądze?... Co tatuś mówi?...

— Pieniądze fabryczne...

— A to pyszny kawał!... — zawołał jeden z młodzieńców, Starka.

— Panowie — mówił napół nieprzytomny Linowski — panowie!... Albo mi zostawcie pieniądze, albo... mnie zabijcie... Władku... zhańbisz się i zgubisz ojca...



http://rcin.org.pl

— Czy on pijany?... — szepnął Starka do Świrskiego.

Teraz Świrski zwrócił się do podleśnego:

— Mówi pan do nas, jak do rabusiów. Władku, wytłómaczże ojcu, że my nie zajmujemy się kradzieżą...

— A jednak — przerwał podleśny — wiem, że mieliście mię napaść... byłem śledzony w mieście... jeden zabiegł mi drogę... na gościńcu przewrócili sanie z drzewem, ażeby mię zatrzymać... Byłem pewiem, że napadną mię na szosie...

Władek już spostrzegł, że z ojcem dzieje się coś niedobrego. Podleśny nigdy nie mówił tak dużo ani w taki sposób.

— Tatusiu... — rzekł błagalnym tonem chłopiec — przecież to my... ja, Świrski... Starka... wszystko moi koledzy...

— Pocóżeście mię napadli?...

— Przepraszamy pana... to był nieszczęśliwy żart... — odezwał się Świrski.

— Zatem jeszcze nie koniec... — odparł rozdrażniony Linowski. — Zatem napadną mię, bo przecież banda miała zebrać się gdzieś przy gościńcu... Ale ja pieniędzy nie oddam... Władziuś, jedź ty ze mną...

— Co się dzieje z tatusiem?... — szepnął do Świrskiego drżący Władek.

— Odwieźmy ojca — rzekł Świrski do Władka — a wy, koledzy, idźcie do Słomianek...

http://rcin.org.pl

i schowajcie broń... Zrobiła się głupia historya!...

— Gdyby zagarnąć te pieniądze?... — szepnął jeden z grupy — może nie potrzebowalibyśmy zdobywać banku...

— Alboż my złodzieje, ażeby ograbiać ludzi na gościńcu?... — odparł ostro Świrski.

— Zdaje się, że po świętach wrócimy do szkoły — roześmiał się Starka.

— Zrobicie, jak zechcecie, ale tymczasem musimy się rozejść. Nawet połowa naszych nie przybyła na stanowiska... w dodatku takie nieszczęście!... — mówił Świrski.

Linowski wrócił do sanek, pociągnął za sobą Władka i szepnął, ale tak, że wszyscy słyszeli.

— Pieniądze... dwadzieścia siedm tysięcy rubli są tu, w siedzeniu... Dobrze, że masz rewolwer...

— Ale tatuś pozwoli, że Świrski z nami pojedzie?... To mój serdeczny przyjaciel, bardzo poczciwy.

— Po cóż przyjaciela narażasz na niebezpieczeństwo?... — odparł Linowski — gdy napadną nas...

— To już my, panie, damy radę napastnikom... — odparł Świrski.

Kilkunastu młodych odeszło w stronę Słomianek. Dwaj Linowscy i Świrski sankami skierowali się w stronę Leśniczówki, dokąd zajechali dosyć prędko. Podleśny całą drogę albo śmiał



http://rcin.org.pl

się i przeklinał rabusiów, którzy chcieli urządzić na niego zasadzkę, albo lękał się o pieniądze... Parę razy kazał zatrzymać konia, chciał zabierać kobiałkę i uciekać w las...

Dopiero w domu trochę uspokoił się i, ulegając błaganiom wylęknionej żony, położył się do łóżka. Ale zasnąć nie mógł i do białego dnia rozprawiał z synem i Świrskim. Śniadania nie chciał jeść, lecz o ósmej kazał założyć innego konia do sanek i w towarzystwie syna, tudzież Świrskiego, którzy go na krok nie odstępowali, pojechał do Żelaznych Hut. Tam kobiałkę z pieniędzmi oddał wicedyrektorowi i, dopełniwszy tej formalności, dostał spazmów pierwszy raz w życiu.

Przerażony Władek wysłał depeszę do Dębowskiego i znowu ze Świrskim odwiózł ojca do domu, gdzie podleśny wpadł w gorączkę.

Młody Linowski chodził koło ojca, jak nieprzytomny. Targał włosy i załamywał ręce, szepcząc do Świrskiego:

— Co ja zrobiłem! co ja zrobiłem! gdyby ojcu stało się co złego, nie przeżyłbym... Dajcie mi spokój... już nie chcę należeć do związku!... Sam Bóg ostrzegł mię...

Świrski, zazwyczaj chłodny i panujący nietylko nad innymi, ale i nad sobą, uległ także wzruszeniu.

— Mój kochany — rzekł do Władka — cała wyprawa na bank i kasę gubernialną przewró-

http://rcin.org.pl

ciła się najsromotniej... Przy pierwszej próbie większość nie stawiła się... Zwraca wam słowo... Sam zrobię, jak będę uważał; ale nie chcę spotkać się z drugą podobną awanturą... I ażebyśmy trafili na twego ojca i ażeby on właśnie wiózł pieniądze, toż to wygląda na bajkę!...

— A gdyby pieniądze wiózł kto inny, zabrałbyś?... — spytał Władek.

— Gdyby wieźli kozacy albo strażnicy... tak...

— Ale gdyby wiózł jaki inny urzędnik z Żelaznej Huty... napadłbyś...

Świrski pokręcił głową w sposób przeczący.

— Chcę być żołnierzem... chciałem stworzyć wojsko, ale nie bandę złodziei — rzekł cicho.

Władek objął go za szyję.

— Zawsze poczciwy!...

Świrski machnął ręką.

## VII.

Izdebka, gdzie pod strychem mieszkał Jędrzejczak z kolegą, równie, jak on, ubogim, była ciasna, brudna i ciemnawa. Znajdował się w niej stół niemalowany, dwa krzesełka, łóżko drewniane za ośm złotych, tapczan, dwie półki z książkami i zielona skrzynia, zamknięta na kłódkę, z której nie wyjmowano klucza.

Bieda wyglądała tu z każdego kąta, ale ponieważ kolega wyjechał na Boże Narodzenie,

http://rcin.org.pl

więc Jędrzejczak był zadowolony. Mógł chodzić po izbie, nie potrącając się o nikogo, mógł czytać Dickensowski »Klub Pickwika«, a nareszcie mógł z blaszanego samowara i nadtłuczonego imbryka pić tyle herbaty, ile mu się podobało, nie myśląc, że dla współlokatora może zabraknąć wody albo esencyi. Cukru mniej więcej zawsze brakowało.

Właśnie Jędrzejczak dokończył trzeciej szklanki i rzekł do siebie: »Jakie to szczęście, że nie pojechałem z tymi durniami!... Naturalnie muszą być zziębnięci, może i głodni, a napewno niewyspani... Wesołe bydlęta!...«

W tej chwili, było to w sobotę zrana, kiedy Jędrzejczak tak rozmyślał, wszedł jego przyjaciel, zwany Pędzelkiem, chłopak dwudziestoparuletni, ważny członek organizacyi socyalistycznej.

— Wiesz — zaczął Pędzelek — że Pfeferman dał] dymisyę Walfiszowi bez żadnej kompensaty?... Pójdźże ze mną do tego podleca, ażeby mu wypłacił choć trzymiesięczną pensyę.

Ponieważ Jędrzejczak w podobnych wypadkach nie wahał się, więc włożył wyszarzany paltocik i nietylko poszedł, ale nawet zaczął odgrywać rolę główną. Sam zadzwonił do mieszkania Pfefermana, a gdy służąca przez uchylone drzwi zaczęła wypytywać, czego chcą, i oświadczyła, że pan Pfeferman w sobotę nie załatwia interesów, Jędrzejczakowi przyszedł do głowy łobu-

http://rcin.org.pl

zerski koncept: wsunął nogę w uchylone drzwi i siłą je otworzył...

Służąca z krzykiem pobiegła do dalszych pokojów... Ukazał się Pfeferman i zapytał: o co chodzi? Wówczas Jędrzejczak ostro upomniał się o trzymiesięczną pensyę dla Walfisza i tak zaczął wymachiwać swojemi długiemi rękoma, że Pfeferman głosem podniesionym zawołał:

— Cóż to, rozbój?... bandyci?...

Na te słowa w drugim pokoju zrobił się hałas, zabrzęczały wybijane szyby i pani Pfefermanowa, wychyliwszy głowę z okna, poczęła krzyczeć na ulicę:

— Rozbój!... bandyci!...

Doświadczony Pędzelek, zrozumiawszy sytuacyę, wybiegł z pokoju i już na dole spotkał patrol, złożony z trzech żołnierzy i policyanta, a widząc, że idą na górę, rzekł:

— Idźcie panowie prędko, bo tam jakiś waryat szaleje u Pfefermana... A ja lecę po doktora.

I, nie pozwoliwszy namyślić się policyantowi, wyszedł na ulicę. W kilka chwil zbiegł ze schodów i Jędrzejczak, a za nim kobiety, wrzeszczące: rozbój!... bandyci!... Wtedy żołnierze nadstawili bagnety, a policyant schwycił Jędrzejczaka za kołnierz i aresztował.

Wyszedł Pfeferman i począł wyjaśniać, że zaszło tu nieporozumienie. Pokazał nawet srebrnego rubla... Lecz ponieważ wydano patrolom instrukcye bardzo surowe, więc policyant oświad-

http://rcin.org.pl

czył, że aresztowanego musi zaprowadzić do kancelaryi, a tam wytłómaczy się i pójdzie do domu.

Jędrzejczak szedł z podniesioną głową, rękoma w kieszeniach, uśmiechnięty. Nie robił sobie nic z awantury i nawet był kontent, że go patrol prowadzi, że przez kilka dni będą o nim w mieście rozmawiali, słowem, że, nie wyjeżdżając z kolegami na dziecinną wyprawę, okryje się chwałą...

Gdy aresztowany przechodził około Hotelu Polskiego, stojący przed bramą Mateusz podniósł zaciśnięte pięści i krzyknął ze złością:

— A uciekajże pan, póki czas!...

Jędrzejczak ani myślał uciekać; natomiast obrażony wybuchem policyant aresztował stajennego. Sprawa zaostrzyła się, gdy Mateusz usiłował rozmawiać z osobami z tłumu, dawał jakieś znaki i wogóle zachowywał się w sposób podejrzany.

Wśród licznej i coraz powiększającej się gromady ciekawych, patrol dotarł do biura policmajstra i odprowadził aresztowanych do poczekalni. Była to izba zabłocona, zadymiona, cuchnąca; z jej ścian można było zeskrobywać pleśń i brudy; ławek trudno było dotknąć bez wstrętu; przez okna zakratowane i zakurzone ledwie przeciskało się dzienne światło.

Mateusz pochmurny usiadł niedaleko pieca, Jędrzejczak wciąż z rękoma w kieszeniach, szy-

http://rcin.org.pl

derczo uśmiechnięty, stał na środku izby w miejscu najwidniejszem. Jego wysoka a niezgrabna postać, rude włosy i nieprzyjemny wyraz twarzy zwróciły uwagę obecnych w poczekalni, a jeden z nich, nizki brunet, z latającemi oczyma, zaczął mu się pilnie przypatrywać. Oglądał go z boku, z przodu, z tyłu... Wreszcie wyszedł z poczekalni.

Może w pięć minut później nizki brunet powrócił, ale za nim wbiegł szczupły i ruchliwy policmajster, jego olbrzymi pomocnik i paru strażników.

— Ten?... — zapytał policmajster, wskazując na Jędrzejczaka.

— O ten!... — odparł niski brunet.

— Ten sam!... ten sam!... — dorzucił szyderczo Jędrzejczak.

W jednej chwili związano go, wsadzono do dorożki i pod opieką samego policmajstra, tudzież dwu strażników odwieziono do koszar. Jędrzejczaka zdziwiło to, ale ani przestraszyło, ani zasmuciło. Miał tak pyszny humor, jak człowiek, który przynajmniej połowę życia spędził ze związanemi rękoma.

Współcześnie pomocnik policmajstra, wypytawszy Mateusza, kim jest i gdzie mieszka, zapowiedział mu, że zrobi rewizyę w stajni hotelowej; jego zaś kazał odprowadzić do szczupłej i ciemnej celi. Zwróciło to uwagę obecnych, że

http://rcin.org.pl

Mateusz, usłyszawszy o rewizyi u siebie, klasnął w ręce i mruknął:

— Kaput!...

W pół godziny po zrewidowaniu stajni Hotel Polski został otoczony przez żandarmów i wojsko. Aresztowano gospodarza Janowicza i całą służbę, przetrząśnięto numery i wszelakie ubikacye, a niespełna w godzinę miasto zatrzęsło się od nadzwyczajnych wiadomości. Pierwszą była ta, że aresztowano zabójcę strażników: Szmakowa i Fomeńki, a drugą, że w stajni Hotelu Polskiego, w skrzyni z owsem, nad którą miał dozór aresztowany Mateusz, znaleziono: cztery bomby!

I znowu niespełna w godzinę rozeszła się trzecia wiadomość, że stajenny Hotelu Polskiego, Mateusz, powiesił się na własnym pasku w celce, gdzie go zamknięto. Jednocześnie aresztowano faktora Joska, który, pomimo szabasu, kręcił się niespokojnie około Hotelu Polskiego, usiłował zajrzeć do stajni i wypytywał o Mateusza.

Późnym wieczorem doktór Dębowski, zaszedłszy do jednej z pacyentek, żony oficera żandarmeryi, zapytał jej męża:

— Cóż to, mówią na mieście, że panowie posądzacie o zamordowanie strażników jakiegoś ucznia szkoły handlowej, Jędrzejczaka?...

— My nie posądzamy... my jesteśmy pewni, zresztą mamy świadków... — odparł oficer.

http://rcin.org.pl

— Ależ bój się rotmistrz Boga, toż to młody chłopak...

— Ma dziewiętnaście lat, a jest zuchwałym zbrodniarzem. Nietylko nie chce wydać spólników, ale w grubiański sposób żartuje z tych, którzy go badają.

— Panie, to jakieś nieporozumienie... Może chłopak dostał bzika ze strachu?...

Oficer wzruszył ramionami i nie chciał dłużej rozmawiać.

Jędrzejczaka osadzono w koszarach, w pokoju dość obszernym, którego zakratowane okna wychodziły na korytarz. W pokoju tym stało kilka nie zasłanych tapczanów i kubeł cuchnący. Około drugiej popołudniu już trzeba było zapalić lampę.

Ponieważ naczelnik wojenny i jego sztab w najwyższym stopniu byli rozdrażnieni zabójstwem strażników i ucieczką zabójców, więc nakazano policyi, ażeby za wszelką cenę schwytała winnych, których dla przykładu postanowiono ukarać szybko i surowo. Gdy więc ktoś z policyi tajnej upatrzył w Jędrzejczaku poszukiwanego zabójcę; gdy w stajni Hotelu Polskiego znaleziono bomby i gdy w dodatku Mateusz powiesił się w areszcie, naczelnik wojenny wydał rozkaz, ażeby jak najprędzej zbadano Jędrzejczaka, wyjaśniono stopień jego winy i przysłano protokół.

Z tego powodu, już około trzeciej po połu-

http://rcin.org.pl

dniu, do izby Jędrzejczaka weszło dwóch oficerów żandarmskich i jeden oficer artyleryi z twarzą ponurą i skośnemi oczyma. Starszy oficer żandarmski, otyły blondyn, zapytał więźnia o nazwisko, zajęcie i mieszkanie (gdzie już przed godziną była rewizya, która nic nie odkryła), a młodszy, chudy brunet, zapisywał odpowiedzi.

Potem kazano Jędrzejczakowi włożyć czapkę i stanąć naprzeciw uchylonych drzwi, jak do fotografii, a potem kazano odwracać się, pochylać i biegać we wszystkich kierunkach. Jędrzejczak wszystko wykonywał, śmiejąc się. A ile razy w uchylonych drzwiach spostrzegł jakąś figurę, pokazywał język. Figur takich zauważył Jędrzejczak ze cztery: trzech mężczyzn i jedną kobietę, wszyscy, o ile się zdawało, marnie ubrani. Twarzy jednak nie widział, ponieważ każde z nich starannie się zasłaniało.

— Cóż to, szpiegi?... — zapytał Jędrzejczak starszego oficera.

Nie odpowiedziano mu, i oficerowie wyszli.

W pół godziny później otworzono drzwi, zamknięte na dwa zamki, i sztabę żelazną; ukazali się żandarmi, w których towarzystwie Jędrzejczak poszedł przez długi korytarz do pokoju, wyglądającego na kancelaryę. Przy jednym stole siedzieli znajomi mu oficerowie, przed drugim stał żandarm z obnażonym pałaszem.

Zaczęło się badanie, którego każdy wyraz zapisywał młodszy oficer żandarmeryi.

http://rcin.org.pl

— Po co pan chodził do Pfefermana? — zapytał starszy oficer żandarmeryi.

— Ażeby mu powiedzieć, że jest świnia — odparł Jędrzejczak. — Przepraszam pana pułkownika, ale... czy mogę usiąść?...

— Owszem. Pan był u Pfefermana w interesie niejakiego Herszka Walfisza?

— Może.

— A co pana obchodzi Herszko Walfisz?

— Nie lubię, jeżeli kogoś krzywdzą.

— A pan wie, że Herszko Walfisz jest socyalny demokrata i już zdążył ukryć się?

— Ha, dobrze zrobił.

W tem miejscu artylerzysta zapytał o coś starszego oficera żandarmów, a wysłuchawszy objaśnienia, kiwnął głową. Badający zwrócił się znowu do Jędrzejczaka:

— Z kim pan był u Pfefermana?

— Zdaje się, że z nikim.

— Owszem. Był z panem ktoś, i to wytrawny... przestępca... Jak on się nazywa?

— Nie pamiętam.

— A jak się nazywa ten kulawy, który panu kazał uciekać i aresztowano go?

— Nie mogę wiedzieć.

— No, a te biżuterye pan zna? — pytał badający i dał znak żandarmom. Żołnierze wzięli Jędrzejczaka pod ręce i zwrócili twarzą do stołu, przed którym stał trzeci żandarm. Ten usunął się, i więzień zobaczył dwa żelazne cylindry.

http://rcin.org.pl

— Zna pan to? — powtórzył badający.

— Nie mam przyjemności.

— To są bomby... Ale nie wie pan, skąd te zabawki wzięły się w stajni Hotelu Polskiego?

— Nawet nie domyślam się...

— Nu, a stajenny Mateusz zeznał, że te przedmioty pan jemu dał do przechowania?

— Nie... Mateusz tak nie łgałby...

Artylerzysta poruszył się na fotelu i przymknął oczy.

— Więc pan Mateusza nie zna, ale jego prawdomówność pan zna?

— Ehe!... łapie mnie pan pułkownik na słówka?... To podła robota.

Oficerowie żandarmscy zerwali się, ale natychmiast usiedli, i starszy, ani na chwilę nie zmieniając spokojnego tonu, badał dalej:

— Pan jesteś oskarżony o udział w zabiciu strażników: Szmakowa i Fomeńki...

— Ja?... ja?... Cha!... cha!... cha!... — śmiał się już bardzo rozdrażniony Jędrzejczak. — Ja zabiłem strażników!... Ależ ja muchy nie zabiłbym... nie dopiero głupich strażników...

— Proszę, ażeby pan był grzeczny... nie mówił grubiaństw... — odezwał się pierwszy raz artylerzysta.

— Pozwólcie mu... zostawcie go... — przerwał badający. — Bardzo to jest piękne, co pan mówi, że nie zabiłby muchy... A jednak są świadkowie, którzy pana widzieli we środę wie-

http://rcin.org.pl

czór, po zabiciu strażników, uciekającego z ulicy Starej...

— We środę?... wieczór?... Ja nawet wtedy nie byłem na Starej ulicy... — odparł, śmiejąc się, Jędrzejczak.

— A gdzie pan był?...

— Nie pamiętam... — odpowiedział Jędrzejczak głosem nieco zmienionym. — Przypomniał sobie, że właśnie o tej porze był na zebraniu związku Rycerzy Wolności, gdzie nawet mówiono o potrzebie zabójstw politycznych, przeciw czemu on gorąco oponował.

— Trzeba, ażeby pan sobie przypomniał — rzekł badający.

— Wątpię, czy mi się to uda.

— A ja bardzo pana proszę i bardzo panu radzę, ażeby pan sobie przypomniał — odezwał się po raz drugi artylerzysta. — Pan wie, że nad panem śmierć wisi?

Jędrzejczakowi krew uderzyła do głowy.

— A nad panem i nad wami wszystkimi nie wisi śmierć?... — zawołał. — Czy zdaje się wam, że będziecie żyli wiecznie?... Mnie za co śmierć może grozić?... Jaki sąd wydałby taki wyrok na niewinnego?... Strachy na lachy, proszę pana!...

W tej chwili stojący przed nim żandarmi wzięli go pod ręce i odprowadzili do aresztu.

— Im się zdaje, że mnie przestraszą śmiercią... — mruczał zirytowany Jędrzejczak.

W samotnej izbie wnet uspokoił się, a na-

http://rcin.org.pl

wet odzyskał dobry humor; jednocześnie poczuł głód i zaczął kołatać we drzwi pięściami i nogami, wołając, ażeby mu jeść dali.

W pół godziny przyniesiono ogromny bifsztyk i kubek herbaty. Podoficer żandarmski, który mu pokrajał mięso, rzekł półgłosem:

— Ze sztabu kazali na jutro rano uszyć koszulę...

Jędrzejczakowi na chwilę zabrakło tchu, i poczuł, że krew ucieka mu z twarzy do serca. Lecz wnet ocknął się, opanowała go złość, i odparł:

— Ci, co kazali szyć koszulę, niech pocałują psa w nos...

Zjadł z apetytem bifsztyk drewnianą łyżką, wypił herbatę i zaczął gniewać się na podoficera, że nie dano mu pościeli. W kwadrans żołnierze przynieśli siennik, podobny do kiszki, derkę i poduszkę, wypchaną słomą.

— Ciekawym — szepnął — jak oni mnie tu będą długo trzymali?... No, zejdzie z tydzień, zanim oddadzą mnie pod sąd... Tchórz Jędrzejczak będzie pod sądem wojennym, a ci durnie, którzy mieli zdobyć bank i rząd gubernialny, wrócą do sztuby!... Trzeba sprowadzić sobie trochę książek...

Około siódmej dwaj oficerowie żandarmscy i artylerzysta weszli do izby i odczytali Jędrzejczakowi protokół z jego zeznań.

— Podpisze pan? — zapytał starszy oficer.

— I-i-i... nie... My, chłopi, nie podpisujemy.

http://rcin.org.pl

— A ja jeszcze raz... i jeszcze raz proszę — odezwał się artylerzysta — ażeby pan powiedział: gdzie pan był w środę wieczorem, kiedy na ulicy Starej zabijano Szmakowa i Fomeńkę?...

— Nie pamiętam.

— Mam honor zwrócić uwagę, że to już ostatnia chwila — nalegał artylerzysta.

— Mówię panu, że nikogo nie zabiłem i nawet nie byłem w tym czasie na ulicy Starej... — odparł zuchwale Jędrzejczak.

Oficerowie wyszli, kazali zamknąć drzwi, lecz zatrzymali się w końcu długiego korytarza.

— Aleksandrze Pawłowiczu — rzekł artylerzysta — a ja zawsze będę twierdził, że nie on zabił. On jest jakiś nienormalny człowiek, ale na zbrodniarza nie wygląda...

— A ja wam mówię, Leonie Konstantynowiczu, że to wytrawny zbrodniarz — odpowiedział zawsze spokojnym tonem starszy oficer żandarmeryi. — Ja takich samych widywałem w Warszawie... Jeden miał siedmnaście lat i zastrzelił rewirowego. Kiedy pytaliśmy: co zrobiłby, gdyby go uwolniono?... odpowiedział, że teraz zabijałby komisarzy i żandarmów. Pod szubienicą krzyczał: niech żyje rewolucya!... Padlec...

— Japończyki! — mruknął artylerzysta.

— Wściekłe psy, Leonie Konstantynowiczu, których trzeba tępić, ażeby nas nie gryźli...

Po wyjściu oficerów Jędrzejczak rzucił się na tapczan. Ile to razy straszono go dzisiaj śmier-



http://rcin.org.pl

cią!... Ten artylerzysta i ten podoficer żandarmski, który powiedział, że kazano szyć koszulę?... Jędrzejczak roześmiał się. Przecież nigdzie na świecie nie posłaliby na śmierć niewinnego człowieka. Przecież nie było sądu, świadków, nikt go nie bronił...

A zresztą niechby skazali go na śmierć, więc co?... Czyliż od roku on i jego koledzy, Rycerze Wolności, nie rozprawiali codzień o śmierci, o tem, że nie należy się jej bać, że trzeba umierać po bohatersku, że tylko ten jest naprawdę wolny, ten może mieć władzę nad innymi, kto gardzi śmiercią... Umrzeć... umrzeć bez zblednięcia, śmiejąc się na rusztowaniu, oto był najmilszy temat ich rozmów młodzieńczych... Tylko Świrski lubił rozmawiać o taktyce i strategii, co nawet nie dla wszystkich było dostępne. To jedno rozumieli, że, kto chce być prawdziwym Rycerzem Wolności, ten musi gardzić śmiercią, musi umierać, jak Brydziński...

Inni w ich wieku przez całe wieczory rozprawiali o kobietach... Oni o śmierci!...

Pod wpływem tych wspomnień Jędrzejczak zerwał się z wązkiego siennika i zaśpiewał fałszywym barytonem, który niekiedy przechodził w tenor, jeżeli nie w dyszkant:

— Jak nie mamy żyć wesoło, gdy nie wiemy, gdzie nasz grób... Lada kulka gwiźnie w czoło, i na ziemię runie trup... Taki los wypadł nam, że dziś tu, jutro tam. Taki los wypadł nam, że

http://rcin.org.pl

dziś tu, a juuuutro taaaam!... — zakończył niemożliwie fałszywym dyszkantem.

W tej chwili za zakratowanem oknem zamajaczyło parę cieniów, i Jędrzejczak usłyszał głos kobiecy, mówiący po rosyjsku:

— Cześć bohaterowi!...

— Idźcie stąd... idźcie — odezwał się głos szyldwacha.

Jędrzejczak był zachwycony i jeszcze fałszywszym głosem zaczął śpiewać:

— Niedługo przyjdzie spłacić krwią... nieszczęsną miłość mą... Oh, Eleeonoro, żegnam cię... Eleonoro!... — w tem miejscu zabrakło mu nawet dyszkantu.

Jędrzejczak poprostu upajał się, odurzał swojem położeniem. Śmierci nie bał się, nie wolno mu było lękać się takiego głupstwa. Nie wierzył, nie przypuszczał, ażeby można było skazać człowieka niewinnego, w dodatku bez sądu. A nareszcie — przekonał się, że jakieś kobiety czuwają nad nim i nazywają bohaterem.

Takiego uczucia dumy, tryumfu, takiego szczęścia Jędrzejczak jeszcze nigdy nie doświadczył.

— Bać się śmierci? — myślał podniecony... — Ależ choćby zaraz zaprowadźcie mię na śmierć, a pokażę wam, jak się umiera. Czemże miałbym być gorszy od Brydzińskiego?...

Myśląc tak, zaciskał pięści, wyprężał ręce, pochylał głowę, jak gdyby mocował się z kimś bardzo silnym i za wszelką cenę postanowił go



http://rcin.org.pl

zwyciężyć. Potem legł na tapczanie i, jeżeli nie zasnął, to przynajmniej nie zdawał sobie sprawy z tego, gdzie jest. Tylko ciągle marzył, że mocuje się z kimś, wobec którego nie wolno mu ustąpić. Raczej odebrać sobie życie, aniżeli ustąpić.

Około drugiej po północy zbudził go łoskot otwieranych drzwi. Przy słabem świetle lampki zobaczył żandarma, który wnet cofnął się, wpuścił człowieka w czarnym płaszczu i zamknął drzwi. Jędrzejczak przypatrzył się lepiej i poznał księdza, wikarego z katedry. Przybysz, blady, jak płótno, chwilę stał bez ruchu: nagle zrzucił płaszcz i, w białej komeżce, prędko przybiegł do Jędrzejczaka. Objął go za szyję, ściskał i, drżąc całem ciałem, szeptał:

— Bracie... bracie...

Jędrzejczak poczuł jakby lód w piersiach. W tej chwili jednak przyszedł mu na myśl okrzyk kobiety za oknem: »Cześć bohaterowi!...« i opanował się.

»Piękny ze mnie bohater!« — rzekł w sobie.

— Adwokaci wysłali depeszę do Petersburga... doktór Dębowski do Warszawy... — szeptał ksiądz. — Zrana powinna być odpowiedź, a tymczasem jeden tutaj... pułkownik artyleryi wyjednał zwłokę do dziewiątej...

— Czego zwłokę?... — zapytał zmienionym głosem Jędrzejczak.

http://rcin.org.pl

— No... wyroku... którego, zdaje się, nie wykonają... — odparł zdziwiony ksiądz.

— Jakiego wyroku?... mnie przecież nikt nie sądził!... A jeżeli bez sądu zechcą mię zakantopić, to i owszem... Zobaczą, jak nasz umiera... Już nawet nie wiem, od ilu godzin straszą mię śmiercią — mówił Jędrzejczak coraz głośniej. — Ale przekonają się, że ja nie boję się śmierci... nie boję... nie!... — dokończył krzykiem.

— Masz słuszność, mój bracie... — wtrącił ksiądz trochę spokojniej. — Dobry Polak, katolik, nie powinien się bać śmierci...

— O tak!... — mówił rozżalony Jędrzejczak.— Polak i katolik nie powinien bać się śmierci, ale wy, księża, robicie wszystko, ażeby się bał... Katafalki z trupiemi głowami, na chorągwiach kościotrupy... Konających straszycie okropnemi modlitwami, a żyjącym wyśpiewujecie żałobne pieśni, od których wyłby człowiek...

— Co mówisz, bracie?... Przecie chyba wierzysz?...

— W nic nie wierzę!... — odparł Jędrzejczak. — I właśnie dlatego nie boję się śmierci... Kiedy człowiek zginie i zgnije, z jego ciała robi się piasek, a z kości kamień... Wszyscy znamy kamienie i piasek, ale nikt nie słyszał, ażeby one skarżyły się na swój byt... Kamień nie jest głodny, nie zimno mu, nie musi ciężko pracować, nie zamykają go do więzienia i nie straszą śmiercią. A choćby nawet straszył jaki głupiec, to ka-

http://rcin.org.pl

mień w nos mu się rozśmieje... Niech spróbują mię zabić, a pokażę im...

Jędrzejczakowi na twarz wystąpiły silne rumieńce, ale w piersiach czuł przejmujący chłód.

— Mój bracie — rzekł ksiądz — mam w Bogu nadzieję, że ten nieludzki wyrok nie będzie wykonany, że oddadzą cię pod sąd, który uwzględni twoją młodość... W każdym razie złagodziłbyś sobie godziny oczekiwania, uprosiwszy Boga o odpuszczenie ciężkiego grzechu...

Jędrzejczak skoczył z tapczana, zaciskając pięści.

— Czy i ksiądz myśli — zawołał — że ja należałem do zabicia tych durniów?... Jak rodziców... jak Polskę kocham, nawet nie wiedziałem o tem...

— Jakto?... — spytał ksiądz, patrząc na niego przerażony.

— No tak to... Nikogo nie zabiłem... nic nie wiem... A teraz niech mię wieszają...

Ksiądz zachwiał się i schwycił rękoma za głowę.

— Męko Chrystusowa!... — krzyknął — zabijają niewinnego...

Począł kołatać do drzwi, a gdy je otworzono, wybiegł bez płaszcza i czapki.

Po chwili wrócił, odział się i zniknął.

— A to księżyna wyskakuje... ha!... ha!... ha!...— śmiał się Jędrzejczak. Nagle schwycił się za

http://rcin.org.pl

piersi i, zataczając się, pobiegł w stronę kubła. Porwały go silne wymioty.

Szyldwach, stojący za oknem, krzyknął, do izby wpadło paru żołnierzy, później ukazał się felczer z wódką i gorącą herbatą.

— Nic mi nie jest — mówił Jędrzejczak — tylko dajcie mi czem mordę wypłukać... Co za gorycz... psiakrew!...

— Bądźcie spokojni!... bądźcie spokojni!... — szeptał pochylony nad nim felczer. — Pani pułkownikowa mówi wam, bądźcie spokojni!... Oni tylko tak straszą was... Choć was ubiorą w koszulę, choć postawią pod słupem, nie bójcie się... Z tego nic nie będzie...

Jędrzejczak był tak osłabiony, że ledwie dowlókł się do tapczana. Upadł na siennik i zasnął twardo, jak pod chloroformem.

Tymczasem ksiądz, mimo późnej nocy, obiegł całe miasto. Był u biskupa, od którego dostał list, później poszedł do gubernatora, do naczelnika wojennego, do prokuratora, lecz nigdzie go nie przyjęto.

Gdy około piątej rano ksiądz wyszedł od policmajstra, zastąpił mu drogę jakiś człowiek z przysłoniętą szalikiem twarzą i rzekł zniżonym głosem:

— Ani depesza adwokatów do Petersburga, ani depesza Dębowskiego do Warszawy nie została wysłana z biura telegraficznego...

Przed szóstą ksiądz wrócił do koszar i jesz-

http://rcin.org.pl

cze raz zobaczył się z pułkownikiem artyleryi, który asystował przy badaniu Jędrzejczaka. Pułkownik, wysłuchawszy relacyi, odparł:

— Ja zrobię, co będzie można, dla skazanego, ale muszę powiedzieć, że koła wojskowe są bardzo rozjątrzone, a to nie wróży nic dobrego.

Jędrzejczak spał snem kamiennym do godziny siódmej. Nagle ocknął się, usiadł na pościeli i zobaczył przed sobą księdza. W jednej chwili zbudziło mu się w pamięci całe jego życie: chata, w której się urodził, rodzice i rodzeństwo, dwór, gdzie nauczono go czytać i pisać, majster w mieście, dokąd oddano go na naukę stolarki, uczniowie, którzy przygotowali go do klasy wstępnej, dyrektor szkoły prywatnej, który przyjął go bez zapłacenia wpisu... Potem lata w szkole handlowej... spiski... wprawianie się w odwagę i pogardę dla śmierci...

Cały ten obraz, dokładny w najdrobniejszych szczegółach, trwał zaledwie kilka sekund.

— Bracie — rzekł ksiądz — zmówmy pacierz...

Ksiądz ukląkł, Jędrzejczak wzruszył wprawdzie ramionami, ale także ukląkł i machinalnie powtarzał: »Ojcze nasz«...

— Pojednaj się, bracie, z Bogiem, to ci doda męstwa...

Ksiądz usiadł na tapczanie, zasłonił twarz stułą, a Jędrzejczak ukląkł przy nim i wyspowia-

http://rcin.org.pl

dał się. Kiedy bił się w piersi, mówiąc: »Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu...« w tej samej chwili pomyślał: »Po co ja to wszystko robię?...« Instynktownie jednak czuł, że na spieranie się z tym dobrym księdzem nie warto tracić sił, które mu jeszcze będą potrzebne.

Po spowiedzi zażądał wody do umycia, a w kilka minut przyniesiono mu ogromną srebrną miednicę letniej wody, pachnące mydło, kubek, szczoteczkę do zębów i duży ręcznik z kolorowym szlakiem u dołu. Jędrzejczak rozebrał się, umył głowę i piersi i poczuł jakby świeży zapas energii.

— Znowu mi raźno!... — rzekł, śmiejąc się, do księdza. — A już myślałem, że skapcanieję...

— Spowiedź orzeźwiła cię, bracie... — odparł ksiądz.

Jędrzejczak zażądał herbaty, którą mu wnet podano. Ledwie zaczął pić, w korytarzu rozległ się głos kroków wielu ludzi i stukanie o podłogę ciężkich przedmiotów.

— Co to?... — spytał Jędrzejczak.

Twarz jego zrobiła się szara, i usiadł ciężko na tapczanie. W tej chwili ogarnęła go tak bezdenna trwoga, że zdawało mu się, iż straci rozum. Ale dostał czkawki, i to go otrzeźwiło.

Drzwi otworzyły się szeroko i z hałasem. Na progu stanął oficer i krzyknął na cały głos wysokim tenorem:

— Marcin Jędrzejczak, zbieraj się!...

http://rcin.org.pl

Ksiądz zaczął drżeć, ale Jędrzejczak odzyskał panowanie nad sobą. Wolałby umrzeć, aniżeli okazać oficerowi, że się lęka. Zresztą nic mu naprawdę nie grozi: nie był pod sądem... pułkownikowa mówiła, że go tylko straszą...

— Niech straszą!... — pomyślał.

Prędko włożył wytarty paltocik, czapkę na bakier, nie przyjął ręki księdza, który chciał go podeprzeć, i z zuchwałą miną wyszedł na korytarz między dwa szeregi żołnierzy. Męczyła go czkawka, ale uśmiechał się, patrząc na martwe twarze, które go otaczały.

Gdy znalazł się na dziedzińcu, aż zamknął oczy przed potokami słonecznego światła, które odbijało się od śniegu. Podjechała kibitka, ktoś podsadził Jędrzejczaka, obok niego usiadł ksiądz, któremu co chwilę łzy wymykały się z pod powiek, odezwały się bębny, i orszak ruszył. Przed kibitką szedł oddział piechoty, kibitkę otaczali żandarmi z obnażonemi szablami, za nimi jechał oddział kozaków. Bębny warczały, nie milknąc ani na chwilę.

Orszak, nie śpiesząc się, wyszedł z koszar na przedmieście. Ponieważ rozpędzano, więc na ulicach snuło się niewiele osób; za to w każdem oknie widać było pełno głów...

— Ojcze litościwy... — mówił ksiądz zmienionym głosem — oto stoję przed Tobą z sercem skruszonem... Polecam ci moją ostatnią go-

http://rcin.org.pl

dzinę i to, co po niej nastąpi... Miłosierny Jezu, zmiłuj się nademną...

— Miłosierny Jezu, zmiłuj się nademną... — powtórzył machinalnie Jędrzejczak.

Siedząc na trzęsącej kibitce, skazaniec widział każdy dom, każde okno, każdą latarnię, każdego człowieka. Tędy chodził na spacery za miasto... Na tym parkanie Adamski wyrysował w lecie bardzo zabawnego mężczyznę z fajką... O, idą i patrzą na niego dwaj koledzy szkolni: Rzeszotarski, z którym onegdaj przerabiał buchalteryę, i Klim, przezwany Organistą...

— Patrzcie na mnie!... — myślał Jędrzejczak.— I powiedźcie Świrskiemu, Lisowskiemu, czy się bałem...

— Gdy nędzne serce moje — mówił ksiądz łkającym głosem — trwogą śmierci znużone, upadać zacznie z wysileń przeciw nieprzyjaciołom zbawienia... miłosierny Jezu, zmiłuj się nademną...

— Zmiłuj się nademną... — powtórzył Jędrzejczak tylko dlatego, ażeby nie robić przykrości księdzu.

Jeszcze nigdy w życiu... nigdy... nie czuł się tak dziwnie podnieconym, jak w tej chwili, i nie zamieniłby swej kibitki na tryumfalny wóz Cezarów. Wciąż widział każdy najdrobniejszy szczegół drogi, każdego przelęknionego Żyda, każdego kolegę, każdą przerażoną albo zapłakaną kobietę... Jednocześnie przypominał sobie wszy-

http://rcin.org.pl

stko, o czem myślał, z kim rozmawiał w tych miejscach, przez które przejeżdżali... I jednocześnie widział całe dzieciństwo swoje, czasy szkolne, wszystko, co kiedy czytał, o czem rozprawiał... Ani jedna myśl, ani jedno uczucie nie pozostały w ukryciu: wszystko rozwijało się przed nim, tworząc jeden wielki obraz, na którym wypadki nowsze miały żywe barwy, wypukłość i jakby mięsistość, wypadki dalsze mieniły się kolorami mgieł i obłoków.

Nigdy nie był tak szczęśliwym, nigdy nie czuł się tak dobrym, tak wyrozumiałym i skłonnym do przebaczenia, jak w tej chwili. I czy podobna, ażeby właśnie teraz ludzie chcieli zrobić mu co złego?...

Kibitka wjechała w kwadrat, którego najdalszym bokiem był stary mur. Naprzeciw muru stał szereg żołnierzy, dwa zaś inne boki tworzyli widzowie. Jędrzejczak spostrzegł między nimi Pędzelka, który dał mu jakiś znak... Było jeszcze kilku kolegów ze szkoły handlowej i młoda kobieta, czarno ubrana, należąca do kierowników miejscowej organizacyi socyalistycznej.

Jędrzejczak jedną ręką oparł się o szyję konia żandarmskiego i lekko zeskoczył na ziemię. Potem, nie czekając na księdza, śmiałym krokiem podszedł do grupy oficerów. Teraz spostrzegł, że pod murem stoi słup, przed którym, na tle śniegu, widać świeżo wykopany dół i kupkę ciemnożółtej gliny.

http://rcin.org.pl

Warczące bębny nagle ucichły. Jeden z oficerów, człowiek siwy i zgarbiony, rozwinął papier i bardzo niewyraźnie, głosem bełkocącym coś przeczytał.

Jędrzejczakowi krwią nabiegły oczy. Jak nieprzytomny, zaczął wygrażać pięściami i krzyknął:

— Teraz ja panu coś przeczytam... Niech żyje wolność!...

— O Matko, cudami płynąca!... — odezwał się zdaleka jękliwy głos kobiecy.

Bębny znowu zawarczały, dwaj żandarmi schwycili Jędrzejczaka za ręce i poczęli wciągać na niego przestronną, białą, z bardzo długimi rękawami, koszulę. Nie bronił się, owszem pomagał, ażeby czemprędzej usunąć płótno z przed oczu. Kiedy wydobył głowę ze zwojów koszuli, uśmiechnął się, lecz w tej chwili spadł mu na oczy płócienny kaptur, i żandarmi pociągnęli go w stronę słupa. Szedł, potykając się. Potem uczuł, że go długimi rękawami koszuli przywiązują...

— Niech żyje wolność!... — zawołał ochrypniętym głosem.

W tej chwili doleciał odgłos dzwonów cerkwi: »Jestem tu... jestem tu... jestem tu!...«

Zatrzeszczały karabiny, ale żadna kula nie trafiła Jędrzejczaka.

— Niech żyje rewolucya!...

Nowa salwa. Jędrzejczakowi opadła głowa na piersi, i ugięły się kolana. Nie słyszał wystrza-

http://rcin.org.pl

łów, nic go nie bolało, lecz w ustach poczuł ciepło i słony smak, a na białej koszuli ukazała się czerwona plama. Uderzyła go tylko jedna kula, rozdarła płuca i złamała kręgosłup. Kiedy przybiegł lekarz i podoficer z rewolwerem w ręce, Jędrzejczak już nie żył. Ciało szybko odwiązano od słupa i zepchnięto do grobu.

Po egzekucyi oficer żandarmski, który badał Jędrzejczaka, i pułkownik artyleryi, który chłopca starał się obronić, wracali konno do miasta.

— Wasza żona i siostrzenica, Leonie Konstantynowiczu, zanadto interesowały się zbrodniarzem... — mówił do artylerzysty żandarm, podkręcając jasnego wąsa.

— No, już pozwólcie, Aleksandrze Pawłowiczu, ale moja żona ma prawo nakarmić głodnego, szczególniej, gdy skarb o nim nie pamięta...

— Prawda... No, ale bez potrzeby te panie chodziły pod okno zbrodniarza i jeszcze coś do niego mówiły...

— Głupie plotki...

— Ja także myślę, że to plotki... Damy jednak powinny być ostrożniejsze.

W tej chwili tęgim kłusem od strony miasta nadjechał adjutant.

— Późno?... — spytał, zrównawszy się z oficerami.

— Albo co?...

— Zabójcy strażników złapani...

http://rcin.org.pl

Artylerzysta zaklął i, zwróciwszy się do oficera żandarmskiego, spytał:

— A teraz co będzie?...

— Ale czy nie krzyczał: niech żyje rewolucya?... Taki był podlec, jak inni...

Artylerzysta wzruszył ramionami, spiął konia i, nie pożegnawszy się z towarzyszem, pojechał naprzód. Gdy na przedmieściu wymijał stary parkan, wyleciał z poza niego czarny przedmiot wielkości buraka i trafił w siodło. Rozległ się huk, od którego zadrżało miasto i — pułkownik spadł z konia, rozszarpany przez bombę.

## VIII.

Linowski najgorzej miał się w sobotę, po powrocie z Żelaznych Hut: chwilami nie wiedział, że jest w domu, nie poznawał otaczających, krzyczał, że nie odda pieniędzy rabusiom. A że lekarz fabryczny wyjechał na kilka dni do Warszawy, a Dębowski, pomimo telegramu, nie przyjeżdżał, więc kuracyą podleśnego zajęła się jego małżonka.

Położyła mu na karku synopizm, na głowie zimny okład, dała mu gorzkiej soli, kwiatu pomarańczowego, kropli laurowych, i w rezultacie ku wieczorowi chory — zaczął się uspokajać.

Nie mówił już o napadzie i pieniądzach, wiedział, gdzie jest, poznawał osoby otaczające, na-

http://rcin.org.pl

wet dziękował Świrskiemu za przywiezienie go do domu. Ale niepokój jeszcze go nie opuszczał. Podleśny nie chciał się rozebrać, nie kładł się na łóżku, tylko na kanapie, wstawał, chodził po pokoju, wyglądał na dwór... Stosunkowo czuł się najlepiej i najbezpieczniej, gdy, leżąc, mógł trzymać za rękę syna, albo Świrskiego.

Biedny Władek, patrząc na ojca, w ciągu doby pobladł; oczy mu podsiniały, nos jakby wydłużył się. Za to matka, pani Hanna Linowska, prędko odzyskała energię.

Co pół godziny wpadała do pokoju męża, a potem biegła do kuchni, do śpiżarni, do obory, do pokojów gościnnych, wszystko widziała, wszędzie wydawała rozporządzenia krótkie i jasne, pomimo, że z piątku na sobotę przez całą noc nie zmrużyła oka, nawet nie oparła głowy na poduszkach. Spostrzegłszy zaś, że Władek szlocha w kącie, zgromiła go:

— Nie bądź babą!... Zesłał Bóg na ojca chorobę, ale nie bój się, jeszcze godzina jego nie nadeszła...

— Ale po co ja... po co ja tam, w lesie... zawołałem na ojca?... On z tego rozchorował się!...

— Mówię ci: nie bądź babą!... — strofowała go matka. — Twój ojciec nie takie głupstwa przechodził... Wreszcie nie z tego on zachorował, że zastąpiliście mu drogę, ale że coś padło

http://rcin.org.pl

na niego i tyle... On akurat zląkłby się waszych rewolwerów... Głupi ty, Władziuś!

Tak uspokajała syna, ale gdy mrok zajrzał w okna, zamknęła się w swoim pokoiku i długą chwilę klęczała przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej... Gdy zaś nad wieczorem podleśny nieco uspokoił się, rzekła z naiwną prostotą:

— Wiedziałam, że tak będzie!... Nasza Królowa najlepszy doktór...

I znowu pobiegła do swoich zajęć i znowu, co pewien czas, zaglądała do pokoju męża.

Świrski był dziwnie nastrojony. W ciągu nocy z piątku na sobotę i przez połowę soboty zdawało się, że całkiem zapomniał przeszłości. Jego stryj, Świerki, szkoła handlowa, koledzy, spisek, a nareszcie piątkowa wyprawa, nie istniały dla niego. Kandydat na jednego z wodzów rewolucyi całą uwagę, uczucia i pragnienia przykuł do chorego Linowskiego i prawie nie mógł oderwać się od jego oczu, ciągle otwartych, w których widać było przerażenie. Świrskiego nie to dziwiło, że Linowski często zrywa się, ale raczej, że człowiek, mający tak osobliwy wzrok, nie ucieka z domu napół odziany, nie biega po lesie i nie krzyczy w niebogłosy...

— Umrze... czy zwaryuje?... — zapytywał siebie Świrski i czuł zimno w piersiach.

W sobotę około drugiej przyjechała do Leśniczówki panna Jadwiga, nauczycielka z po-



http://rcin.org.pl

blizkiej osady, a za nią niejaki pan Klemens, administrator sąsiedniego majątku.

Panna Jadwiga zaczęła rozmowę od tego, że, gdyby każdy człowiek inteligentny bodaj godzinę na dzień poświęcił uczeniu analfabetów, w kraju bardzo prędko wszyscy umieliby czytać i pisać... Zmiarkowawszy jednak, że Linowski jest ciężko chory, ubrała się w perkalowy szlafroczek i wzięła się pomagać gospodyni domu. Więc najpierw zaczęła coś szyć na maszynie, później wybiegła do śpichrza i pracującemu tam stolarzowi dała książkę do czytania, tudzież kajet z zadaniami arytmetycznemi, a wróciwszy stamtąd, zorganizowała opiekę nad pacyentem. Według jej rozporządzenia, każdy z obecnych miał trzy godziny z rzędu czuwać przy chorym. Naturalnie sama rozpoczęła służbę, a razem z nią pan Klemens, który ciągle miał coś jej do powiedzenia, ale nigdy nie mógł dokończyć. Zapewne skutkiem tego był smutny; gdy zaś spostrzegł, że na jasnowłosą panną Jadwigę kilka razy ciekawie spogląda Świrski, pan Klemens zaczął gryźć wąsy, jak człowiek, którego męczy zazdrość. Zdawało mu się, że jego cierpienia moralne są poważniejszemi od choroby Linowskiego i że to raczej on zasługiwałby na troskliwą opiekę panny Jadwigi.

Około siódmej wieczór Władek zaprowadził Świrskiego do pokoiku na górze, gdzie stały

http://rcin.org.pl

dwa czysto zasłane łóżka, i zaproponował mu, ażeby położył się spać.

— Mój drogi – rzekł Władek, składając przed nim ręce — przepraszam cię, żeś całą noc nie spał. Ale widzisz, w takiem nieszczęściu wszyscy potraciliśmy głowy...

Świrski poczuł ukłócie w sercu. Nieszczęściu przecież to on był winien. Bo, gdyby nie urządził tej szalonej wyprawy, Linowski byłby zdrów, a jego rodzina spokojną.

A dziś on, Świrski, mieszka w domu, jada w domu i ma spać w domu, któremu zrobił taką krzywdę!... Co o nim myśli i z jakiem obrzydzeniem musi na niego patrzeć poczciwa pani Linowska, której męża on, Świrski, postawił nad brzegiem grobu, albo szpitala obłąkanych?...

Zanim odpowiedział Władkowi, że spać nie będzie, usłyszał na dole ruch i podniesione głosy kobiece. Zbiegli obaj i trafili na taką scenę:

— No, powiedźcie państwo, gdzie ja mam głowę?... — zapytywała panna Jadwiga. — Przecie wszystkim wiadomo, że na rozdrażnienie najlepszem lekarstwem są silne dawki bromu!...

— To prawda! — zawołał Świrski, dziwiąc się, że i jemu taka prosta myśl nie przyszła do głowy.

— Ależ tak!... tak!... — powtarzali Władek i pan Klemens.

— Ja napiszę do aptekarza w Żelaznych Hu-



http://rcin.org.pl

tach — mówiła panna Jadwiga — ale kto pojedzie?... Możeby pan Klemens?...

— Ja pojadę... — odezwał się Świrski.

— Nie znasz drogi... — wtrącił Władek.

To możebyśmy... pojechali razem? — zwrócił się pan Klemens do Świrskiego.

Ale pani Linowska oświadczyła, że sprawę najlepiej załatwi parobek, który w chwilę później wyjechał do Hut, a w godzinę przywiózł sporą flaszkę bromu.

Panna Jadwiga nalała łyżkę lekarstwa i podała Linowskiemu.

— A jeżeli mu zaszkodzi? — zapytała z niepokojem pani Linowska.

— Ja odpowiadam!... — rzekła panna Jadwiga stanowczym głosem.

— Zaręczam... — dorzucił Świrski.

Przecież pan nie doktór?... — odezwał się cierpkim tonem pan Klemens.

Tymczasem chory zażył lekarstwo, mrucząc:

— Ciekawym, co teraz będzie?...

W oczach jego malowała się nieufność i trwoga.

— Ach, żeby nareszcie przyjechał Dębowski!... — szepnął Władek Świrskiemu, który także nie mógł otrząsnąć się z przykrego niepokoju.

Około północy dano Linowskiemu drugą łyżkę bromu. Chory już był spokojniejszy. Mówił, że rozumie leczniczą potęgę snu, że ogarnia go senność, lecz — że boi się zasnąć.

http://rcin.org.pl

— Ale gdyby tak pan Świrski był łaskaw posiedzieć przy mnie... i jeszcze pozwolił się za rękę... możebym i zasnął...

— Z największą chęcią!... — odparł wzruszony Świrski.

Usiadł przy Linowskim i ujął go za rękę. Z twarzy chorego począł ustępować wyraz obawy; lecz, ile razy podleśny zamknął oczy, rzucał się, jakby chciał wstawać. Po upływie kwadransa już nie zrywał się, tylko zaciskał rękę, a jeszcze później uspokoił się zupełnie, choć od czasu do czasu, przebiegały go krótkie dreszcze.

— Zaśnie!... — szepnął do siebie Świrski, czując, że i jego sen ogarnia.

Powiedział sobie jednak, że będzie czuwał i dla zabicia czasu począł marzyć. Więc znowu, po raz setny w życiu, ujrzał wielką zieloną równinę, na niej długi, aż do granic horyzontu sięgający, łańcuch tyralierów, za nimi, w tyle, małe kolumny podpór, o kilkaset kroków dalej większe kolumny rezerw i baterye dział na wzgórzach, a jeszcze dalej, ogromne masy wojsk, uszykowane w kilkadziesiąt szeregów.

— Ilu ich tu jest?... ilu ich tu jest?... — myślał. — Chyba korpus... dwa korpusy?...

Zwykle obraz tych wojsk, tych pułków... dywizyi... korpusów robił mu jak najprzyjemniejsze wrażenie, na ich widok przebiegały go dreszcze rozkoszne. Ale tym razem Świrski doznawał nieokreślonej przykrości. Ogarnął go chłód. Zielone

http://rcin.org.pl

pola zbielały: zamiast trawy leżał na nich śnieg głęboki, na którym ukazała się gromadka, może dwudziestu ludzi młodych, uzbrojonych tylko w rewolwery, źle odzianych... Ledwie kilku miało kożuchy, jeden był w cienkim paltocie, innemu z pod krótkich spodni wyglądały cholewki kamaszów...

Teraz Świrski spostrzegł, że owa wielka, doskonale uzbrojona i we wszystko zaopatrzona armia to były jego kilkuletnie marzenia. A zaś ta garstka, źle odzianych i prawie bezbronnych, to ów rzeczywisty oddział, który w piątek zebrał się pod Słomiankami. I że tę garść szkolnych kolegów, tak rozbrojonych, tak obdartych, on, Kazimierz Świrski, on sam przez parę lat namawiał, a teraz wyprowadził przeciw pułkom, dywizyom i korpusom!

I na co?... Na mróz, na głód, na śmierć, na rany, na haniebne ucieczki i straszną niewolę... Bo przecież nie na zwycięstwo!

— Co ja zrobiłem?... — co ja zrobiłem!... — jęknął Świrski i — ocknął się.

Stary podleśny mocno ściskał go za rękę i, już przytomnie patrząc w oczy, pytał:

— Pan jesteś dowódcą jakiejś partyi?...

— Tak...

— Wy zabijaliście strażników?... rabowaliście monopole?...

— Co też pan mówi!... — oburzył się Świrski, usuwając rękę. — Nasza partya protesto-

http://rcin.org.pl

wała przeciw zabójstwom... miała być zawiązkiem regularnego wojska...

— I nikogo nie zabiliście?... słowo?... — nalegał Linowski.

— Ależ daję panu słowo honoru, że nie zrobiliśmy nic podobnego, nigdy... Nawet nigdy nie mieliśmy takiego zamiaru...

Linowski usiadł na posłaniu, złożył ręce i, podniósłszy oczy, szeptał:

— Chwała Ci Boże!... chwała Ci, Boże!... To mnie truło... To mnie doprowadzało do obłędu... Bo czy pan wiesz, co myślałem?... Z początku, że jesteście rabusiami, naturalnie dla celów politycznych, a później... że to wy spełniacie zabójstwa polityczne... Mój Władek i zabójstwa... Boże miłosierny!...

— No, ale chyba teraz czuje się pan lepiej?...— zapytał podleśnego Świrski, spostrzegłszy zmianę w jego twarzy. Z oczu zniknął obłęd, z ust uciekł smutek.

— Bo ja jestem naprawdę zdrów i... pan mię wyleczyłeś... Bo tylko zastanów się, co działo się we mnie i ze mną, kiedym pomyślał (a myśl ta nie opuszczała mnie od nieszczęsnego spotkania!), że mój Władek jest albo rabusiem, albo czemś w rodzaju sztyletnika?... Czy pan wiesz, że w sześćdziesiątym trzecim roku, jeżeli o kimś w oddziale dowiedziano się, że był sztyletnikiem, to go wypędzali koledzy, powstańcy?... A przecie większość ich to byli prości

http://rcin.org.pl

ludzie... swego chowu... Mój syn sztyletnik!... W łeb strzeliłbym sobie, gdybym się o tem przekonał!...

Była już trzecia po północy, kiedy do pokoju chorego weszła panna Jadwiga, a za nią pani Linowska. Obie spostrzegły w pacyencie korzystną zmianę, a panienka zawołała:

— A co?... nie mówiłam, że brom pomoże?...

— To nie wasze mikstury, panno Jadziu... to nasza kochana Matka Boska cud sprawiła... — rzekła podleśna.

— Wszyscyście pomogli... — odezwał się Linowski. — Niech wszystkim Bóg zapłaci... Ale bodaj czy nie najbardziej uspokoił mię ten oto kochany pan Świrski...

I mocno uścisnął go za rękę. Ale po ustach pani Linowskiej przemknął nieznacznie gorzki uśmiech.

Teraz dopiero Świrski uczuł znużenie; poszedł zataczając się na górę, ledwie zdjął buty i surdut, rzucił się na łóżko i zasnął twardo. Zbudził się około dziesiątej i spostrzegł, że siedzi przy nim Władek, tym razem uśmiechnięty.

— Wiesz, że ojcu jest lepiej?... — zawołał młody Linowski. — Nie masz pojęcia, jak staruszek rozczula się nad tobą!... Powiada, żeś ty go wyleczył...

Świrski uniósł się na poduszce, przetarł oczy i ziewnął.

http://rcin.org.pl

— Ale, czy wiesz — odpowiedział — że twój ojciec posądzał naszą partyę o rabunki i morderstwa?... Pięknie musieliśmy wyglądać tam... w lesie, co?...

Władek zarumienił się i spuścił głowę.

— Ja już chyba wycofam się z partyi — rzekł niepewnym głosem. — Kiedy przypomnę sobie nasz spacer po lesie, aż mnie ciarki przechodzą... brrr! Śnieg po kolana... zimno... niema co jeść... niema gdzie spać... I w dodatku, Boże miłosierny! takie nieszczęście z ojcem... Ja wprawdzie w Boga nie wierzę, ale musisz przyznać, że jest coś w naturze, co jakby ostrzegało nas...

— Myślisz, że ja zostanę w związku?... — odpowiedział Świrski. — Jeżeli nawet połowa uczestników nie zebrała się na spacer do lasu, więc ilu stanęłoby w razie napadu na kasę gubernialną?...

— No, między rzemieślnikami było kilku dzielnych... — wtrącił Władek.

— Dziękuję ci!... — wybuchnął Świrski, zrywając się z łóżka. — Szczególniej dzielny był ten... ten... Zając, który nietylko radził zagarnąć pieniądze, wiezione przez twego ojca, ale na godzinę przedtem szepnął mi, ażebyśmy rozstrzelali tych tam przejeżdżających Żydków, około mostu...

— Co?... — krzyknął Władek — on ci to mówił, kiedy odeszliście na bok?...

— On... on!... A kiedy oświadczyłem, że nie

http://rcin.org.pl

wolno zabijać ludzi bezbronnych i niewinnych, wiesz, co odpowiedział?... Że taki interes mocniej nas wiąże, aniżeli przysięga... Bo przecież wiadomo, że, kto przeleje krew, już nie ma po co wracać między burżujów...

— Niechże piorun trzaśnie tego Zajączka!...— mruknął Władek.

— Oto widzisz, z kim mieliśmy rozpocząć wojnę o wolność, równość, braterstwo i sprawiedliwość!... A teraz weź z drugiej strony — Starkę, ambitnego kandydata na dowódcę. Miał zająć się żywnością, a co zakupił?... flaszkę wódki, tuzin bułek i tuzin serdelków... Ja, jak Boga kocham, poprostu nie rozumiem: co może się dziać w podobnej mózgownicy?... Dla kilkudziesięciu ludzi, na kilka dni, tuzin bułek!...

— On tak widać zbaraniał — rzekł Władek.

— Przepraszam, ale cóż to za oficer, który już na początku baranieje, choć nie było ani cienia niebezpieczeństwa... A tak lubi krytykować innych... tak rwie się do władzy!...

— Więc co myślisz zrobić?... — zapytał Władek.

— Planu jeszcze nie mam... Najpierw pojadę do domu i stanowczo poproszę stryja o pieniądze. Po świętach wrócę do X., zwołam zgromadzenie ogólne, złożę rachunki i podam się do dymisyi.

— A jeżeli nasz związek upadnie?... — wtrącił Władek.

http://rcin.org.pl

— Nie stanie się nic złego!... — odpowiedział Świrski, machając niedbale ręką. Spokojniejsi wezmą się do książki, a inni wstąpią do innych partyi. Cóż to, czy już niema Pędzelka, niema Vogla?...

— No, ale co będzie z tobą?... — nalegał Władek.

— Spodziewają się rewolucyi w Rosyi lada dzień — mówił Świrski – więc tam pojadę i wstąpię do regularnego wojska.

— Zaczniesz od porucznikostwa, jak Bonaparte... — szepnął Władek.

— Bonaparte od pasania świń!... — odparł niecierpliwie Świrski i zarumienił się. — Gdybyśmy nie mieli obowiązku popierania rosyjskiej rewolucyi, rzuciłbym wszystko i wyjechał zagranicę. Ale dzisiaj ich wolność to nasza wolność.

## IX.

W niedzielę rozdrażnienie Linowskiego ustąpiło stanowczo. Oczy straciły blask niezdrowy, zniknęły wypieki, puls wyrównał się, zmiękł i zwolniał. Chory zaczął ziewać i powiedział, że ogarnia go senność. Żona dała mu świeżą bieliznę i powlokła pościel.

— Ach, jak mi tu dobrze!... — mruknął pacyent, przeciągając się.

http://rcin.org.pl

W kilka minut zasnął, a panna Jadwiga oświadczyła Świrskiemu i Władkowi, że już nie potrzebuje ich pomocy.

— Ale ty nie odjedziesz?... — zapytał z niepokojem Władek kolegę. — Zmiłuj się, zostań, choć do przyjazdu Dębowskiego, który będzie tu lada chwilę...

— Co prawda, nie mam nic lepszego do roboty — odpowiedział Świrski i obiecał zostać bodajby na całe święta.

— Akurat!... A twój stryj?...

— Wytrzyma!... — rzekł Świrski. W rzeczy samej nieprzyjemnie było mu myśleć o powrocie do domu i rozmowie ze stryjem, przed którym już nie wypadało ukrywać ani dziecinnego spisku, ani nieszczęśliwej wyprawy na... Linowskiego!...

Świrski teraz dopiero zaczął przypatrywać się gospodarstwu podleśnego, które go zdziwiło. Przy domu rozciągał się, dziś zasypany śniegiem, ogromny ogród owocowy, jarzynowy i kwiatowy, a w nim pasieka z kilkudziesięciu pni. Stodoła, obora, stajenka, chlewy i kurniki były doskonale utrzymane i wypełnione. Obok domu stała oddzielnie kuchnia, a zarazem mieszkanie służby.

Nareszcie dom państwa podleśnych był tak wielki, że mieścił na górze i na dole z dziesięć pokoi, wygodnych i umeblowanych przyzwoicie, choć poprostu.

http://rcin.org.pl

— Mój drogi — rzekł Świrski — ależ wy jesteście ludzie zamożni!...

— Choć mój ojciec bierze niewielką pensyę? — zapytał Władek, rumieniąc się. — Widzisz, jest tak. Najprzód od zarządu dostaliśmy trzydzieści morgów, prawo zbierania płodów leśnych i trzymania takiej menażeryi, jaka nam się podoba... Następnie matka moja wniosła ojcu pięć tysięcy rubli posagu, który, co prawda, został nietknięty do dziś dnia. Ale najważniejsze to, że matka jest znakomitą gospodynią... Przecie do nas już od sześciu lat zjeżdżają się na naukę gospodarstwa wiejskie panienki... takie sobie, skromne: córki rządców, dzierżawców i mniej zamożnych dziedziców... W tym roku mieszka ich u nas cztery, tylko wyjechały na święta... No i płacą matusi... niewiele, ale płacą...

I w dalszym ciągu zaczął pokazywać Świrskiemu rozmaite urządzenia wewnętrzne. Więc dwa pokoiki, zajęte przez panny, gdzie stała spora szafka książek, maszyna do szycia, krosna, kołowrotek... Potem zaprowadził go do wielkiej izby za kuchnią, gdzie były przęśnice i warsztat tkacki. Tu dziewczęta z sąsiedniej wsi uczyły się bezpłatnie szyć i tkać, a także czytania, pisania i najłatwiejszych rachunków.

— A czego się uczą panienki?... — zapytał Świrski.

— Wszystkiego: tkactwa, przędzenia, szycia, gotowania, hodowli wszelkiego zwierza domo-

http://rcin.org.pl

wego, które beczy, ryczy, chrząka, gdacze i kwacze, a nareszcie chodzenia około ogrodu i pasieki...

— Bój się Boga, na cóż im tyle wiadomości?... — zawołał Świrski.

— Właśnie na to, ażeby były gospodyniami, jak mamusia, i ażeby umiały inne uczyć...

— Ale gdzież pani Linowska nauczyła się tego?

— Mój kochany... mamusia to jest cud!... Jak się trochę uspokoi, a ty lepiej ją poznasz, zaraz ci powie: mężczyźni zmarnowali Polskę, a baby ją odkupią...

Koroną gospodarstwa pani Linowskiej była śpiżarnia. Tam stały beczułki i kamienne garnki z powidłami, miodem, borówkami, marynowanymi rydzami i grzybami... Tam słoje konfitur, butelki soków, gąsiory starych wódek, pitnych miodów i nalewek. Tam wisiały wieńce grzybów suszonych i śliwek na rożenkach. Tam wreszcie czekały na swoją kolej doskonałe wędliny pani Linowskiej, sławne w całej okolicy...

— Wiesz, mój drogi — rzekł Świrski — że my ze stryjem, choć mamy sto razy więcej od was ziemi i pieniędzy, o takiej śpiżarni nie śmielibyśmy marzyć!...

— Za to musi być koło was z kilkanaście śpiżarni, przypuśćmy... cokolwiek mniejszych od naszej...

Obaj zaczęli się śmiać i rzucać na siebie bry-

http://rcin.org.pl

łami śniegu. Nagle Świrski sposępniał i rzekł, że pójdzie położyć się.

Istotnie poszedł na górę, położył się, ale nie myślał o spaniu. Był zadowolony, że w chorobie Linowskiego nastąpiło przesilenie; zachwycał się gospodarstwem pani Linowskiej; podziwiał jej energię, ale, wśród zadowoleń, zachwytów i podziwów, czuł w sercu niepokój, niesłychanie malutki, nie większy od ukłucia szpilką, a jednak dokuczliwy.

»Co to może być?... skąd to może być?... — zapytywał siebie. — Prawda, zrobiło się świństwo z tym napadem na Linowskiego... pani spogląda na mnie, mimo całej uprzejmości, jak na zdechłego psa... No, ale choroba kończy się, a już moją rzeczą będzie wypłacić się tak, ażeby nie żałowali nieszczęścia...

Głupstwo też zrobiłem, żem posłuchał tego bydlaka Vogla i wyprowadziłem chłopców, licho wie po co, do lasu... No, ale przespacerowali się na świeżem powietrzu i zostali na zawsze zwolnieni... Już ja ich drugi raz nigdzie nie poprowadzę!...

Może wypadałoby pojechać teraz do miasta?... Po co?... Studenterya rozbiegła się na święta... mieszczanie wrócili do warsztatów... Ci chyba krzywdy nie mają... dostali po sześć rubli z góry na chłopa, a nie wydali nawet na furmanki...

W dodatku poznałem niesłychany dom i nadzwyczajną gospodynią... Namówię stryja, ażeby

http://rcin.org.pl

tu kiedy przyjechał. A gdyby tak staremu Linowskiemu wydzierżawić folwarczek, a panią poprosić o urządzenie podobnego ładu u nas, rozumie się, za odpowiedniem wynagrodzeniem?... Ośle jakiś, zwymyślają cię i starzy, i młody i zerwą wszelkie stosunki... Nie będzie łatwo wynaleźć dla nich prezent...«

Tak myśląc, starał się rozweselić, uśmiechał się, a jednak czuł, że coś mu dolega...

»Oprócz Linowskiego — mówił do siebie — krzywdy nie zrobiłem nikomu... Owszem, odciągnąłem ich od napadu na kasy, co niejednego mogłoby zaprowadzić na szubienicę... Który z nich zechce wojować w taki sposób, może połączyć się z Pędzelkiem; inni nie stracą, zaczekawszy do wybuchu rewolucyi w Rosyi...«

Nagle zerwał się z łóżka... Już wie, co go dręczyło!... Przypomniał sobie odczyt, na którym on sam, nie kto inny, publicznie wykładał, że: dowódca jest, jak człowiek pojedynkujący się, a jego oddział to niby broń, której nie wolno porzucać na drodze!...

»Zrobić dobry plan i wykonać bez wahania, bez względu, co będzie kosztował, oto zasadnicze obowiązki wodza...« Czyliż to nie jego słowa?... I czy nie przy każdej sposobności powtarzał kolegom, że: wojsko regularne różni się od band rozbójniczych nietylko szlachetnymi celami, ale poświęceniem żołnierzy, rozwagą wodza i nieograniczoną solidarnością obu stron? Czem

http://rcin.org.pl

jest wojsko bez dowódcy?... Chaotyczną kupą ludzi... A czem bez wojska staje się dowódca, jeszcze taki, który podkomendnych opuścił w lesie i... odjechał pielęgnować chorego?...

Z kolei przypłynął nowy prąd myśli. Z jakiej racyi Świrski oskarża się tak niesłusznie?... Czy nie powiedział Voglowi, że: pod żadnym pozorem nie obowiązuje się nietylko zdobyć kas, ale nawet napadać na nie, ponieważ nie ma sił odpowiednich?... A czy równie jasno nie oświadczył kolegom, że wyjście do lasu jest dopiero próbą, w której można brać, a można nie brać udziału?... Jeżeli zaś uwolnił ich bez wielkiej ceremonii, czyliż nie oszczędził kompromitacyi tym, którzy nie przybyli na stanowisko?...

Prawda, że w lesie działał bez namysłu, pod wpływem współczucia; ale czy ono nie wskazało mu drogi najwłaściwszej? »Nic z was nie będzie, więc — możecie się rozejść!...« oto sens jego zachowania się wobec zebranych. On nie rzucił broni, tylko pozbył się drewnianego pałasika, który los podsuwał mu zamiast rzeczywistego oręża...

»Gdybym mógł przewidzieć zakończenie, nie wdałbym się w podobną awanturę!« — rzekł Świrski do siebie.

Już nie czuł wyrzutów, ale niesmak i gniew niewiadomo na kogo.

Tak medytował Świrski, ale z dumań swoich nie zwierzał się Władkowi. Ciągle byli razem,



http://rcin.org.pl

bądź chodząc po lesie, bądź oglądając nowe szczegóły gospodarstwa pani Linowskiej, ale Władek nawet nie przeczuwał walki, toczącej się w sercu przyjaciela. Tylko w poniedziałek po obiedzie Świrski odezwał się tonem rozdrażnionym:

— Może pojechalibyśmy do Słomianek?...

— Owszem — odparł Władek i kazał zaprządz konia.

W pół godziny stanęli na miejscu i od gajowego, który był wtajemniczony, dowiedzieli się, że w piątek wieczorem wszystko odbyło się dobrze. Zebrani rozjechali się, jedni w stronę miasta, inni w kierunku Żelaznych Hut.

— Broń oddali?... — zapytał Świrski.

— Nie wszyscy — odpowiedział gajowy. — Studenci oddali, ale trzech z miasta to wzięli ze sobą brauningi i karabinek...

— Kto wziął karabinek?... — przerwał z gniewem Świrski.

— Taki wysoki... tęgi... Pan naczelnik z nim najwięcej gadał... (Gajowy Świrskiego tytułował: naczelnikiem).

— Czy nie Zając?... — wtrącił Linowski.

— On... on!... — odpowiedział zamyślony Świrski. — Tylko... po co on wziął... do czego zresztą nie miał prawa?...

»A co zrobić z pozostałą bronią?... — zapytał samego siebie. — Trzeba jak najprędzej darować ją Voglowi albo Pędzelkowi i zatrzeć ma-

http://rcin.org.pl

teryalny ślad związku Rycerzy Wolności... Nieszczęśliwych rycerzy jeszcze nieszczęśliwszej wolności...«

W drodze do Leśniczówki Władek już był wesoły, Świrski wciąż zamyślony.

— Muszę — odezwał się — napisać kartkę do stryja... Nie znajdziesz jakiego posłańca?...

— Sprowadzimy ze wsi Kobielaka, albo Nowackiego — odrzekł Władek. — To nasi...

Po powrocie na Leśniczówkę Świrski przygotował list do stryja, zawiadamiający, że przyjedzie dopiero za parę dni. Tymczasem sprowadzono Kobielaka, który przed godziną wrócił z miasta powiatowego i przywiózł nowiny.

— Po drodze spotkało mnie jakichś dwóch i kazali się podwieźć do lasu żabiańskiego. Mówili, że w gubernii coś się stało i że niedługo dowiemy się ciekawych rzeczy. Najwięcej obeszło mię, że wspomnieli o panu Świrskim... Ale bałem się ich wypytywać, bo czy to człowiek wie, na kogo się natknie?

Ani Świrski, ani Władek nie zainteresowali się opowiadaniem chłopa. Nieznajomi mogli rozmawiać o stryju Świrskiego, a w mieście X. mogło zdarzyć się nowe zabójstwo, co już nie dziwiło nikogo.

Nareszcie we wtorek po południu przyjechał niecierpliwie oczekiwany doktór Dębowski. Wszyscy wybiegli naprzeciw niego z wymówkami, że



http://rcin.org.pl

tak długo kazał czekać na siebie, choć telegram o chorobie Linowskiego wysłano w sobotę.

— Dopiero w Żelaznych Hutach dowiedziałem się, że Józef naprawdę chory — odpowiedział doktór. — A do waszego telegramu nie przywiązywałem wagi, gdyż umówiliśmy się jeszcze w piątek z Józefem, że wezwie mnie telegraficznie... Ja także — szepnął pani Linowskiej — przywiozłem około trzydziestu tysięcy rubli do Hut, ale bez wypadku. Cóż to się stalo mężowi?...

Pani Linowska w niewielu słowach opowiedziała historyę napadu w lesie i dziwnego zachowania męża, który wyglądał, jak gdyby (Boże, odpuść!) miał bzika, albo był pijany...

Dębowski targnął się za brodę.

— Aha!... czekajno pani dobrodziejka... zaraz się to wyjaśni...

Pobiegł do pokoju Linowskiego i po krótkiem przywitaniu zapytał:

— Słuchajno, stary, a coś ty zrobił z wódką, którą ci dałem na drogę?...

— No... wypiłem... — odparł zdziwiony, ale już całkiem przytomny podleśny. — Cóż? miałem wylać?...

— Bój się Boga!... — stęknął doktór — toż to była pięćdziesięcioletnia starka, którą pije się po kropelce... Masz głowę, jak żelazna kufa!... Ale nie dziw się, że ci trochę padło na mózg i żeś wyrabiał brewerye...

http://rcin.org.pl

— Wiesz, kolego... prawda!... A ja myślałem, żem zwaryował... Bo pomyśl: napada mnie banda, a na czele jej kto?... mój Władek... Czy nie można było zwaryować?...

Dębowski przerwał mu i wziął się do badania. Po kwadransie oglądań i opukiwań powiedział, że jest wszystko dobrze, ale że podleśny powinien na parę tygodni wyjechać z domu, najlepiej z Władkiem i najlepiej do zięcia Linowskiego, który trzymał dzierżawę nad granicą austryacką.

— Dlaczego ja mam wyjeżdżać i jeszcze przed samemi świętami?... — zdziwił się podleśny.

— Dla trzech powodów: najprzód, że ja ci tak radzę... powtóre, że musisz odpocząć, zaś w tych stronach niema spokoju, a po trzecie — ażeby Władka nie capnęli do kozy. Zrozumiałeś?...

— Jezus!... Marya!... za cóż Władka?... — krzyknął Linowski, a w oczach znowu zamigotało mu przerażenie.

— No!... no!... — wesoło przerwał Dębowski, klepiąc go po ręku. — Nie masz się czego niepokoić, choćby chłopca, razem ze Świrskim, wzięli na parę dni do kozy... Dlaczegóż on miałby być gorszy od swoich kolegów, a choćby i od nas, starych?... U nas przecie każde pokolenie musi odsiedzieć w kozie...

http://rcin.org.pl

— Dobrze... niechby posiedział... jeszcze ze Świrskim... Ale za co?...

— Mój drogi, ja przedewszystkiem nie twierdzę, że będzie siedział... Tylko, że w niedzielę aresztowali kilku siódmoklasistów, pewnie za jakieś głupstwo, więc zaraz pomyślałem, czy i twój nie wplątał się... Ale może z tego nic nie być...

— Parę tygodni niechby posiedział — mruknął Linowski, machając ręką. — Owszem, w zimie może nawet byłoby znośniej, aniżeli w lecie. Ale, że dziwne w naszym kraju stosunki, to dziwne!... My robiliśmy powstanie bez wiedzy, wbrew naszym ojcom, a teraz synowie coś przędą w sekrecie przed nami...

— Niedojrzałe społeczeństwo! — odpowiedział w zamyśleniu Dębowski. — Chłop nie czuje wspólności ze szlachcicem, ani mieszczanin z chłopem... Syn odrywa się od ojca, a wnuk od dziada... Jesteśmy pocięci na kawałki, wzdłuż i wszerz, jak biedna glista ziemna, którą łobuzy przygotowują do osadzenia na haczyku wędki... Więc wyjedziesz do zięcia z Władkiem?...

— Jeżeli potrzeba, to wyjadę... — odparł już weselej Linowski.

— Więc teraz śpij, a ja pójdę co przekąsić...

Jakby na komendę ukazała sią pani Linowska, z zapytaniem: co będzie jadł pan konsyliarz? Dębowski poprosił o piwo ze śmietaną.

— Będzie za kwadrans... — odpowiedziała gospodyni.

http://rcin.org.pl

— A ja tymczasem pogadam z paniczami — rzekł doktór i wyszedł do chłopców, rozmawiających na podwórzu.

— Przejdźmy się — rzekł, uścisnąwszy im ręce na powitanie.

Obaj młodzieńcy spostrzegli, że Dębowski, zazwyczaj wesoły i żartobliwy, wygląda ponuro, więc zaniepokoili się o zdrowie Linowskiego.

Szli w stronę lasu. Gdy minęli ogród, Dębowski zatrzymał sią na śniegu i spytał:

— Słyszeliście co z miasta, albo ze szkoły?...

— Nic... Ani słówka...

— W takim razie, moi panowie, przywożę wam niespodziewane i złe wiadomości.

Chłopcy spojrzeli na niego ciekawie. Dębowski przetarł chustką okulary i rzekł nieco zmienionym głosem.

— Zatem nie wiecie, że... Jędrzejczak rozstrzelany?...

Usłyszawszy to, Władek Linowski zarumienił się i uśmiechnął, potem zbladł, i usta ułożyły mu się jakby do płaczu. A nareszcie uczuł, że drżą pod nim nogi i mąci mu się w głowie.

Świrski zachował się spokojniej. Nie wątpił, że Jędrzejczak — nie żyje... Ale nie dość rozumiał: co się z nim stało?

— Jędrzejczak zastrzelił się, czy go zastrzelili?... — spytał doktora. — A może to awantura partyjna?... — dodał, blednąc. Przypomniał sobie, że w piątek, przed wyjazdem do Słomianek,

http://rcin.org.pl

niektórzy koledzy traktowali Jędrzejczaka, jak odstępcę, i... zląkł się. Może go który z kolegów zabił?...

Dębowski przypatrywał im się ze współczuciem. Wreszcie rzekł powoli i dobitnie:

— Jędrzejczak nie zastrzelił się, tylko — został rozstrzelany. W niedzielę rano... pod starą rajtszulą...

— Za co? — wyszeptał Świrski.

— Posądzono go, że należał do zabicia dwóch strażników — odrzekł doktór i opowiedział historyę aresztowania, tudzież stracenia Jędrzejczaka.

Obaj chłopcy odzyskali zimną krew.

— No, przynajmniej mężnie umarł!... — odezwał się z fanfaronadą Władek.

— Ale tego nie można darować!... — wtrącił Świrski. — Za taką zbrodnię ktoś musi zapłacić...

— Uspokój się pan, już zapłacił... — rzekł Dębowski. — Kiedy oficerowie wracali z egzekucyi, ktoś rzucił bombę i trafił... pułkownika Miednikowa...

— Przecież to był uczciwy człowiek!... — zawołał Świrski.

— Otóż widzi pan... Chciano niby zapłacić komuś, a naprawdę do niesprawiedliwości dodano drugą niesprawiedliwość, do nieszczęścia dorzucono drugie nieszczęście... Miednikow, on jeden, bronił Jędrzejczaka, i właśnie jego za-

http://rcin.org.pl

bili!... Ma pan naukę, że nie należy śpieszyć się z zemstą...

— Wypadek!... — mruknął Świrski. — Ciekawym, kto rzucił bombę?...

— Może Starka?... — odezwał się Władek.

— Podobno jakiś czeladnik kowalski Zając... — rzekł Dębowski.

— Słyszałeś?... — zawołał Świrski.

— Znaliście go?...

— Był z nami w piątek w lesie... — szepnął Władek.

— Krwawa bestya!... — dodał Świrski.

— Jeszcze wam wszystkiego nie powiedziałem — ciągnął doktór. — Po zabiciu Miednikowa zrobiono rewizyą u niektórych uczniów siódmej klasy waszej szkoły... Wogóle nie znaleziono nic, w każdym razie aresztowano jakiegoś Starkę, Lisowskiego i Chrzanowskiego...

— Psia krew!... — syknął Świrski, Władek pobladł.

— I to jeszcze nie wszystko — mówił doktór. — W poniedziałek, nad wieczorem, przeprowadzano tych trzech uczniów z koszar do ratusza, prawdopodobnie w tym celu, ażeby ich dziś — jutro uwolnić... Asystował strażnik i dwóch żołnierzy pieszych. Nagle na targu kilku ludzi napadlo konwój. Ranili strażnika, pozabijali żołnierzy i odbili owego Starkę, Lisowskiego i Chrzanowskiego... Rezultat zaś jest taki, że na wszystkie strony rozesłano pogoń; więc, gdy chłopa-

http://rcin.org.pl

ków złapią, wypuszczą ich nieprędko. W dodatku wydano rozkaz aresztowania jeszcze paru innych, a między nimi i pana... panie Świrski...

— Mnie nie wezmą żywcem!... — rzekł spokojnie Świrski.

— Panie... jakże ci na imię?

— Kazimierz... — wtrącił Władek.

— Panie Kazimierzu... — mówił Dębowski śpiewającym głosem — kochany panie Kazimierzu, nie bądź... to jest... nie zróbże nowego głupstwa. Bo i tych, które już porobiono, jest dosyć... jest zanadto.

To powiedziawszy, doktór ucałował Świrskiego w oba policzki.

— Więc cóż robić?... — spytał zirytowany chłopak. — Kolegów, którzy mi zaufali, aresztują... ścigają... rozstrzeliwają, a ja mam z założonemi rękoma patrzyć na to?...

— Władek i pan, według mego zdania, powinniście wyjechać zagranicę. Na jakiś czas, rozumie się. Gdy wszystko ucichnie, powrócicie.

— Władek niech jedzie, ja nie mogę. Przecież to ja tych ściganych wciągnąłem do spisku!... — odparł Świrski.

— Doskonale... — mówił doktór. — Więc i im ułatwisz wyjazd zagranicę i, o ile który będzie potrzebował, pomożesz do utrzymania się... do nauki. Dla pana to nie nowina, panie Świrski?... Ciągle pomagałeś kolegom.

http://rcin.org.pl

— Owszem, co do nich... Ale sam nie wyjadę.

— Mówmy otwarcie. Dlaczegóż to?...

— Lada dzień... lada tydzień wybuchnie rewolucya w Rosyi, której my mamy obowiązek pomagać — odpowiedział Świrski.

Doktór schwycił go za obie ręce i, potrząsając niemi, mówił:

— Ani w Rosyi nie będzie rewolucyi, ani my nie mamy obowiązku pomagać jej.

— Ciekawym?...

— Naprzód — ciągnął doktór — w Rosyi nie będzie rewolucyi w znaczeniu europejskiem, w formie wybuchu, gdyż tamtejsi rewolucyoniści nie mają sił.

— O, za pozwoleniem!

— Za pozwoleniem!... Dowiedli tego przed rokiem, w Moskwie... wywoławszy wybuch, który kosztował mnóstwo ofiar, a był błędem, grubym błędem... Tam niema armii rewolucyjnej, tam jest tylko garstka zdecydowanych na wszystko, którzy umieją poświęcić się, ale nie umieją robić planów na dalszą metę, a bodaj czy wiedzą, czego chcą.

— Co pan doktór wygaduje?...

— Mówię, jak przyjaciel wolności naszej i rosyjskiej, o której partye rewolucyjne stanowczo zapomniały... Do ogłoszenia manifestu październikowego można było burzyć się... stawiać ba-

http://rcin.org.pl

rykady... zabijać i ginąć... Ale po manifeście październikowym należało zmienić taktykę.

— I co robić, według pana?... — spytał impertynencko Świrski.

— Przedewszystkiem, jak najpiękniej podziękować za manifest, czego nie zrobiono, a następnie — wziąć się do wykonania zasad manifestu... A więc do zaprowadzenia: wolności osobistej, wolności wyznaniowej, wolności słowa, wolności zebrań i stowarzyszeń... A więc do wybierania na posłów ludzi możliwie najlepszych i najmędrszych. Słowem, należało wziąć się do pracy cywilizacyjnej, budującej, nie zaś burzącej.

— Mówi pan, jak burżuj...

— Myli się pan. Mówię, jak człowiek, który nietylko wolność kocha, ale dla niej pracował... I nietylko dla wolności pracował, lecz nad nią przez wiele... wiele lat rozmyślał. Co nie wszyscy umieją...

— Kaziu — nieśmiało odezwał się Linowski — trzeba zastanowić się nad tem, co mówi pan doktór... On bił się, o czem my dopiero marzymy...

— Przepraszam... — zabrał głos Świrski. — Więc pan, panie doktorze, mówi, że my nie mamy obowiązku pomagać innym w walce o wolność? Czy może pan objaśnić...

— Na czem opieram to przekonanie?... Naj-

http://rcin.org.pl

przód na tem, że dzisiejszy zamęt, który bynajmniej nie jest rewolucyą, jest — niepotrzebny.

— Przypuśćmy. Ale jest — wtrącił Świrski.

— Oto powód! — zawołał doktór. — Kiedy my, prawda że nie w porę, walczyliśmy za ich i za naszą wolnosć, wówczas jedna część rosyjskiej opinii potępiała nas bez miłosierdzia, a druga lepsza i rozsądniejsza, dowodziła, że: błądziliśmy, walcząc, że zaszkodziliśmy sprawie wolności. Bóg zapłać za dobrą radę! Dziś zmieniły się role... Dzisiaj my, Polacy, mówimy, że należy skończyć z fermentem rewolucyjnym, a wziąć się do roboty nad wolnością. Tak, panie, gdyż wolność, jak wszystko na tym świecie, nie tyle zdobywa się walką, ile mądrością i pracą... My, powtarzam, nie mamy interesu w ruchawce, tylko w pracy kulturalnej: w szkołach, fabrykach, folwarkach, warsztatach, sejmikach, kościołach. A jeżeli ruchawka szkodzi naszym interesom, dlaczego ją podtrzymywać? Czy to nie szaleństwo i zbrodnia?

— Więc, według pana, powinniśmy opuścić sprzymierzeńców?

— Odtrącając akt konstytucyjny, oni nas opuścili, nie my ich... Zresztą Rosya w porównaniu z nami jest tak ludna i tak silna, że, o ile potrzebuje rewolucyi, sama da sobie radę. Kto z naszych pragnie wojować, niech idzie tam; ale niech zostawi w spokoju kraj, który nie chce walki.

http://rcin.org.pl

— Pańska teorya naraziłaby nas na nienawiść całej Rosyi liberalnej!... — przerwał Świrski.

— My Rosyi liberalnej sto razy więcej usług oddamy w parlamencie, aniżeli gdy będziemy zabijali z poza węgła sołdatów, albo takich Miednikowych... Finlandya nie urządzała ruchawki, ale jej wolność jest tym płomykiem, od którego łatwiej zapalą się swobody rosyjskie, aniżeli od waszych bomb i brauningów... Mojem zdaniem, powinniśmy naśladować Finlandyę, nie Kaukaz. W rzeczywistości zaś, jeżeli tak dłużej potrwa, staniemy się poprawną edycyą Kaukazu. Rosyi nie pomożemy, a sobie zgotujemy piekło...

— Jakim sposobem?... — zapytał Świrski.

— Bardzo prostym. Rząd, zdusiwszy niby rewolucyę, może, co najwyżej, nie dać Rosyi tych, czy owych swobód; ale nad nami będzie się mścił... On przecie swemu narodowi nie będzie narzucał obcych wierzeń, obcego języka, obcych urzędników i instytucyi... My, popierając rewolucyę rosyjską, postawilibyśmy na kartę byt narodowy, porządek społeczny. Czy więc mogą uczciwi Rosyanie żądać od nas podobnej ofiary?... I jeszcze dlaczego?... Dla podtrzymania ruchu, który samejże Rosyi szkody przynosi.

— Mnie się zdaje, Kaziu, że pan doktór dobrze mówi... — wtrącił znowu Linowski.

— Nie czuję tego!... — odpowiedział Świrski, wstrząsając głową.

— Więc co pan chcesz robić?... — zapytał

http://rcin.org.pl

doktór. — Bo przypominam, że na coś trzeba się zdecydować, i to prędko. Przecie szukają pana!...

— Niech szukają! — oddarł z zaciętością Świrski. — A ja zrobię to, co powinian robić każdy Polak, gdy zbliża się dzień wolności...

Dębowski wyrzucił do góry obie ręce i zacisnął pięści.

— Dzień wolności... dzień wolności!... — wykrzykiwał doktór z gniewem. — Ja zaś, jeżeli mamy bawić się w metafory, ja wcale nie widzę dnia... zaledwie świt, i to jeszcze krwawy... A jaki po nim dzień nastąpi — dyabli wiedzą... Zresztą, zrobisz pan, jak ci się podoba, byleś Władka nie ciągnął za sobą...

— Władek powinien jechać z ojcem, choćby do Galicyi... — odpowiedział Świrski.

— A pan nie możesz tam pojechać?... Chcesz pomagać rewolucyi rosyjskiej, na zdrowie!... Ale pierwej musi ona wybuchnąć, na ten zaś wybuch daleko łatwiej zaczekać w jakimś bezpiecznym kącie, aniżeli tutaj, gdzie lada chwila mogą cię złapać i ciupasem odesłać do najbliższego więzienia. Nie rozumiem zaś, co na tem zyska wolność, jeżeli i na pańskiej skórze będą się pasły wszy...

— Powtarzam panu, że mnie ciupasem nie odeślą!... — przerwał Świrski.

— A ja powtarzam panu, że, jeżeli ci się podoba, możesz sobie kark skręcić... Tylko nie

http://rcin.org.pl

opowiadaj później, że ci brakowało przestróg i dobrej rady!...

— O przestrogi zawsze łatwo... szczególniej spóźnione... — mruknął Świrski.

Doktór popatrzył na niego ze złością, nasunął mocniej czapkę i — prędko poszedł do domu.

— Wszyscy mądrzy, kiedy im nic nie grozi... — rzekł Świrski do Władka. — Ale dlaczego ci mędrcy... ci... ludzie doświadczeni... nie występowali z podobnemi radami na wiecach, gdzie można było dostać pięścią, albo i nożem?... A ja wówczas radziłem... wówczas, kiedy naprawdę był dopiero świt dzisiejszego stanu...

— No, na wiecach starzy nie mogli przemawiać, bośmy ich tam nie wzywali... — wtrącił Władek.

— A dzisiaj zapóźno!... — przerwał Świrski ze złym śmiechem i także zawrócił w stronę domu.

## X.

We środę, około dziewiątej, rodzina Linowskich, doktór, panna Jadwiga i Świrski siedzieli przy śniadaniu. Panie raczyły się kawą zbożową, doktór i młodzi pili herbatę, a podleśny gorącą wodę z mlekiem. Dzień był mroźny, ale słoneczny, stary Linowski czuł się znakomicie zdrow-

http://rcin.org.pl

szym, więc wszyscy byli w doskonałych humorach, wszyscy, z wyjątkiem Dębowskiego, który krzywił się, że nie pozwolono mu wrócić do miasta.

— A zatem po śniadaniu zabieracie się panie do pierogów... — rzekł Linowski. — Bardzom ciekaw, jak udadzą się pannie Jadwidze...

— Przecież ja nie będę ich piekła sama... — odpowiedziała, wskazując na siebe paluszkiem. Gest był tak ładny, że Świrski zarumienił się, niewiadomo z czego.

— Ani ty nie będziesz ich jadł, panie ex-poruczniku — mruknął doktór.

— Dlaczego?... — oburzył się Linowski. — Wigilia w sobotę...

— Ale wy powinniście jechać jak najprędzej, a zatem przed wigilią.

— Czy to konieczne?... — zapytała Linowska, a wielkie jej oczy straciły blask.

Niby w odpowiedzi, krótko zaszczekały psy podwórzowe, a na ganku rozległo się uderzanie nóg o podłogę.

— Ktoś znajomy?... — rzekł Linowski, podnosząc głowę i nasłuchując.

Otworzyły się drzwi, i stanął na progu chłop szpakowaty, w wielkim kożuchu.

— Pochwalony!... — odezwał się przybysz, obcierając zmarznięte wąsy.

— Kobielak!... — zawołał Świrski i zerwał się od stołu. — Macie list od stryja?...



http://rcin.org.pl

Chłop milczał, zakłopotany.

— Przynieśliście odpowiedź?... — zapytał Władek.

— Kiedy nie wiem, jak mam rzec?... — odparł chłop, namyślając się.

— Najlepiej prosto z mostu — wtrącił Dębowski.

— Może i tak... Ja nie oddałem listu.

— A to znowu co?... — zdziwił się Władek.

— We Świrkach, we dworze, pełno wojska... Nie dopuścili mnie... Wreszcie mówili ludzie ze wsi, że pan dziedzic, niby pan Świrski starszy, zachorował...

— Stryj zachorował?... — odezwał się Kazimierz zmienionym głosem.

— A cóż we dworze robi wojsko?... — zapytał Dębowski.

Chłop oglądał się... wahał...

— O, mój Walenty, nie marudźcie!... — wtrąciła pani Linowska. — Siadajcie... naleję wam herbaty... Tu wszyscy swoi, mówić można.

— Ha, kiedy można... Sałdaty i strażniki przyszli aresztować pana naczel... niby panicza Świrskiego...

Panna Jadwiga zbladła i podniosła oczy na Świrskiego, który, pod jej spojrzeniem, znowu zarumienił się.

— Pan doktór — rzekł młody chłopak — już mnie uprzedził, że jestem poszukiwany. — I uśmiechnął się.

http://rcin.org.pl

— Ależ, panie... oni rozstrzelali kolegę pańskiego... — szepnęła Jadwiga.

— I my potrafimy umrzeć!... — odezwał się Władek, kładąc rękę na piersi, niby aktor.

Doktór spojrzał na panią Linowską, która rzekła półgłosem:

— A niech już sobie jadą... choćby i zaraz!...

— Wyjechawszy stąd o jedenastej, na czwartą byliby w Grudzie, a o wpół do piątej nawet zagranicą, gdyby okazała się potrzeba — dodał doktór.

— Jednego mogłabym ukryć, nawet przed najściślejszą rewizyą... Ale trzech nie potrafię!... — zwróciła się pani Linowska do męża.

— O jedenastej wyjeżdżacie!... — rzekł Dębowski, patrząc na zegarek.

— Jak trzeba, to trzeba... — odpowiedział Linowski, ciężko podnosząc się od stołu.

Władek bladł i rumienił się, ale patrzył na ojca.

— Pan jedzie z nimi?... — zapytał Dębowski Świrskiego.

— Nie!... Ja pójdę z Kobielakiem na wieś — odparł Świrski. I wykonał ruch, jakby miał zamiar pożegnać się.

Linowska szybko zbliżyła się do niego, a ująwszy za rękę, rzekła stanowczym głosem:

— Nigdy!... Powiedziałam, że jednego potrafię schować przed rewizyą i — schowam. Pan zostaniesz u nas tak długo, dopóki nie wyjaśni



http://rcin.org.pl

się pańska sprawa, albo dopóki nie otoczą nas tak, że trzeba będzie uciekać...

Zmusiła Świrskiego, że znowu usiadł, i chciała nalać herbaty Kobielakowi. Ale ręce jej drżały, więc wyręczyła ją panna Jadwiga, choć i tej szło niesporo.

— Za przeproszeniem państwa — odezwał się Kobielak — panicz Świrski powinien się schować na ten czas...

Obecni zwrócili się do niego.

— Bo we wsi mówili — ciągnął chłop — że w partyi Zajączkowskiego to panicz rozkazuje, a Zajączkowski tylko spełnia przykazy... Ja się z tego roześmiałem, ale we wsi powiedzieli, żebym się nie śmiał, bo strażniki mówią, że, gdyby złapali panicza, to byłoby źle...

— Powtórzcie, co mówią... powtórzcie!... — uśmiechnął się Kazimierz.

— Kiedy pan sam chce, to powtórzę, choć ony głupie są... Ony, niby strażniki mówią, że sąd wojenny powiesiłby panicza na najwyższej szubienicy...

Pannie Jadwidze omało nie upadła szklanka z herbatą.

— Powaryowali!... powściekali się!... — zawołał Władek.

— Ony tak mówią — ciągnął chłop — bo ony myślą, że panicz radzi Zajączkowskiemu...

— Aha!... — wtrącił Dębowski. — Więc

http://rcin.org.pl

z Zająca już po kilku dniach zrobił się Zajączkowski.

— To nie Zając, panie, to wilk!... — prawił Kobielak. — Przecie niema dnia ani nocy, ażeby nie robił wojny... Wczoraj w Mokradłach napadli gminę i monopol... Zabrali pieniądze... zniszczyli wszystkie papiery i wódkę, a najgorzej, że poranili kozaków. Kozacy wyjechali łapać ich do Mokradeł, oni zaś furami naprzeciw i napadli kozuniów niedaleko Sosnowicy... A onegdaj to znowu Żydów na szosie zaczepili, zabrali ze sto rubli i jeszcze chcieli ich wieszać...

— W tym Zającu, czy Zajączkowskim zawsze siedział rozbójnik — wtrącił Świrski.

— Nie można lada komu dawać broni i wypuszczać bez surowego zwierzchnictwa... — odezwał się Dębowski. — Nawet żołnierz regularny łatwo zostaje maruderem, a później rozbójnikiem, nie dopiero jakiś tam amator partyzancki!

Tymczasem stary Linowski strzelał z palców i patrzył w zamarznięte okna.

— Więc mówi doktór, że musimy jechać do Grudy?...

— I to zaraz, o jedenastej!... — odpowiedział Dębowski.

— A pan Kazimierz — zwrócił się podleśny do Świrskiego — a pan Kazimierz nie mógłby to z nami pofrunąć w tamtą stronę?... Tam nikt nie posądzi o stosunki z rozbójnikami czy partyzantami... Zresztą granica pod bokiem. Dwa

http://rcin.org.pl

razy dziennie można być w Galicyi i z powrotem...

— Za przeproszeniem... — odezwał się Kobielak — pan podleśny dobrze mówi. Powiesić to oni panicza nie powieszą, choćby złapali...

— Nie złapią mnie... — szepnął Świrski.

Panna Jadwiga spojrzała na niego z nieopisanym żalem.

— Panie Kazimierzu — wtrącił Dębowski — słuchaj Kobielaka, bo przez jego usta mówi chłopski rozsądek... głos natury... Nie szukaj guza, kiedy możesz go uniknąć...

— Panie doktorze, tyle razy już tłómaczyłem się: dlaczego Władek musi jechać do jakiegoś bezpiecznego kąta, a ja — jeszcze nie mogę... Kiedy Władek wyjedzie, mnie jeden ciężar spadnie z serca, ale zostaną jeszcze trzy: Starka... Chrzanowski... Lisowski... Dopóki ich nie znajdę, dopóki ich nie wyprawię, nie mogę ruszyć się stąd. Nie wolno mi...

Stary Linowski, słuchając tego, podniósł ramiona i rozłożył ręce... Ale doktór nie dał za wygraną...

— Najprzód nie ma pan pewności, że owi trzej młodzieńcy nie uciekli, bo u nas już nie mają nic do roboty. A następnie, przypuściwszy, że ich aresztowano, co zyska wtedy nasz kraj i rewolucya w Rosyi, gdybyś za swoimi kolegami i pan poszedł do kozy?...

Świrski potrząsnął głową i rzekł:

http://rcin.org.pl

— Mnie do kozy pójść nie wolno... prawda, Władku?... Ale i nie wolno mi porzucać ludzi, których namawiałem... poniekąd kształciłem... którzy zresztą na moje wezwanie poszli...

Głos załamał mu się i umilkł.

— Więc niech nas kobiety rozsądzą — odezwał się z gniewem doktór. — Pani Linowska dobrodziejko: czy Świrski ma zostać, czy jechać do Galicyi?...

— W imieniu jego matki, powiedziałabym: jedź, synu, bo tu dziś nic nie zrobisz!... A jeżeli chce być w kraju, proszę, ażeby został u nas... Już ja go przechowam.

— I my wszyscy!... — odezwał się Kobie-.lak — Prędzej strażnicy wyłapią wiewiórki z naszych lasów, aniżeli znajdą panicza, jak się między chłopów dostanie...

Dębowski niecierpliwie machnął ręką.

— No, a teraz panna Jadzia ma głos!... Powinien Świrski zostać?...

Panience oczy jakby powiększyły się. Splotła ręce i ledwie dosłyszalnym głosem odpowiedziała:

— Pan Świrski musi zostać, dopóki jego koledzy...

Nie dokończyła i wybiegła z pokoju.

— Władek — syknął doktór — idź do stajni i każ zaprzęgać... A Kobielak niech sprowadzi swego konia, to odwiezie mnie do Hut... Cho-

http://rcin.org.pl

lera z temi apostołłłłkami... z temi uświadomionemi działaczkami!...

Kobielak podniósł się z krzesła i podziękował pani Linowskiej za traktament. Dębowski zirytowany zaczął kręcić się po pokoju, a znalazłszy swoją bobrową czapkę, wybiegł z pokoju razem z Władkiem.

Gdy znaleźli się na dziedzińcu i chłód ich ogarnął, rzekł doktór:

— Świrski zgubiony... Stryj, o ile mógł, przewracał mu we łbie... rewolucya jeszcze lepiej przewróciła mu we łbie, a teraz panny dorżną go...

— A ja mam dobre przeczucia i wiem, że wszystko skończyłoby się jak najlepiej, gdyby...

— Utrzyj psu nos przeczuciami!... — odparł doktór. — A cóż to za g d y b y?...

Władek spochmurniał.

— Pan doktór żartuje, a według mnie jest to najgorsze, że... Kazio nie ma pieniędzy...

Doktór zatrzymał się obok zamarzniętej studni z żórawiem.

— Nic nie ma?... — zapytał. — Więc z czemże wybieraliście się na wojnę?

— Kazio w piątek rozdał prawie wszystkie pieniądze — odparł wciąż obrażony Władek, stojąc bokiem do Dębowskiego.

— Ładnieby wyglądał — mruczał doktór. — Bo przecież chłopi i nawet Żydzi ukryją go, to pewne, ale... albo musi im grozić, albo musi płacić... Dobrze, żeś mi o tem powiedział...

http://rcin.org.pl

— Więc pan doktór...

— No, pieniędzy mu nie dam, bo sam ich nie mam, ale zaciągnę pożyczkę w Hutach, zresztą powiem Weintraubowi...

— Kochany... złoty pan doktór!... — zawołał Władek.

— Idź do stajni... idź... i każ zaprzęgać...

W kwadrans później Linowska, usiłując hamować łzy, pakowała rzeczy męża i syna, a panna Jadwiga w mały koszyczek układała zapasy żywności na drogę.

A tymczasem czterej mężczyźni odbyli w pokoju Linowskiego krótką naradę, której ostateczny wynik tak sformułował Dębowski:

— Uważaj, panie Kazimierzu, co ci będę mówił, bo od tego odstąpić nie wolno, rozumiesz?...

— To zależy... — wtrącił Świrski.

— Przepraszam... tu niema żadnego zależy... Do pańskiej gry angażuję się ja, o co mniejsza, ale i angażuje się pani Linowska, której narażać nie mamy prawa.

— Ależ wolałbym umrzeć!...—przerwał z wybuchem Świrski.

— Proszę cię, Kaziu, wysłuchaj!... — szeptał Władek, ściskając przyjaciela za rękę.

— Panie Kazimierzu — odezwał się Linowski — od piątku jesteś dla nas niby drugim synem... Nie obrażaj się, że cię chce usynowić biedny podleśny...

Tu Świrski nagle pochylił się i pocałował

http://rcin.org.pl

w rękę Linowskiego, któremu oczy zaszły łzami. Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie doktór wytarł okulary i mówił niezwykle łagodnym, jak na niego tonem:

— Nie czas rozczulać się... Tylko wiedz o tem, panie Świrski, że, kiedy dostałeś się pomiędzy nasze serca, obchodzi nas nietylko twoje bezpieczeństwo, ale i twój honor... Wierzysz?...

— O... tak...

— No, więc posłuchaj i usłuchaj... Jak powiedziała Linowska, musisz zostać tutaj, a przynajmniej tu mieć główną kwaterę. Tej okolicy musisz się pilnować, bo tu i ukryjesz się najłatwiej, i tu możesz odbierać wiadomości...

— Od kogo tam!... — szepnął Świrski, wzruszając ramionami.

— Choćby odemnie — mówił Dębowski. — Naprzód wystawisz mi kwit na sto rubli, a ja ci je przyślę od Weintrauba, a może jeszcze z Żelaznych Hut. Następnie dam ci wiadomość o tych trzech Robinsonach czy Rynaldinich: o Starce, Chrzanowskim i Lisowskim... (Nieźle jeszcze pamiętam nazwiska, co?...). Dam ci znać, czy nie siedzą w kozie, albo czy nie wiedzą czego o nich wasi koledzy... Jeśli siedzą w kozie, trzeba im wyrobić jakieś ulgi: tytuń... lepsze jedzenie i tak dalej, na co ty, kochanku, dasz pieniędzy...

— Rozumie się!... — wtrącił Świrski.

http://rcin.org.pl

— Doskonale! Następnie dam ci wiadomość: jak mnie twój stryj przyjmie...

— Pan będzie u stryja?... — zawołał Świrski. — Ach, jaki pan dobry!...

— Paradny sobie ten młody szlachcic!... Przecież twój stryj musi dostarczyć pieniędzy na rozmaite nasze przedsięwzięcia, i nie wątpię, że zrobi to z impetem, właściwym rodzinie Świrskich...

— Ja myślę!... — mruknął Linowski.

— A teraz słuchaj mnie panie Kazimierzu — ciągnął doktór. — Ja ci ręczę słowem, że twoich kolegów nic złego nie spotka, choćby wpadli do kozy... Ja ci ręczę, że w onej kozie będą mieli opiekę, rozumie się, za twoje pieniądze, a nawet choćby ich zesłano, także będą mieli opiekę i także za twoje pieniądze... Ale w zamian daj mi słowo, że — gdy ci powiem: wszystko jest dobrze! ty, jakeś Świrski, wyjedziesz do Galicyi i tam posiedzisz — miesiąc. Czy powrócisz do kraju, czy wyjedziesz do Rosyi, aby wojować na współkę z nieistniejącą armią rewolucyjną, to już nie należy do mnie. Ale miesiąc musisz przesiedzieć w Galicyi i ochłonąć... Mam twoje słowo?...

Świrski pomyślał i podał mu rękę.

— Ma pan racyę — rzekł — jestem głupi i powinienem wrócić do sztuby...

— Do uniwersytetu, kochany panie! — rzekł doktór. — I ja od karabina powróciłem do s

http://rcin.org.pl

nej ławy, a jakem się uczył!... jak mi się chciało uczyć!...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Doktór wyszedł z pokoju, a w kilka minut później wbiegła zaczerwieniona od mrozu służąca, mówiąc:

— Paweł już zaprzęga i kazał spytać, co pójdzie do sanek?

Pani Linowska chwyciła się oburącz za głowę.

— Bójcie się Boga — zawołała — ależ ja jeszcze nie skończyłam pakować!...

— A ja idę przebrać się — rzekł Linowski. — Jak trzeba, to trzeba...

— Prędzej śmierci spodziewałabym się, aniżeli takich świąt... — szepnęła Linowska. — Każdej wigilii bywało u nas po kilkanaście osób, a dziś nawet mąż i chłopak wyjeżdżają!...

Świrski zarumienił się, a Władek szybko wtrącił:

— Mamusia nazywała mnie babą, kiedy niepokoiłem się o tatkę, a dzisiaj sama babieje na myśl, że na wigilią trzeba będzie mniej ryb ugotować...

— Nie o ryby mi chodzi, ale o tę drogę waszą, która wcale nie jest bezpieczna...

— Dla tatki i dla mnie?... — zaśmiał się Władek. — Tatko ma ze dwadzieścia strzałów, a ja ze sto. Wreszcie kto nas może napaść?

— Choćby ten Zając, czy Zajączkowski, o którym wszyscy mówią.

http://rcin.org.pl

— Zajączkowski nic Władkowi nie zrobi, za to ręczę — wtrącił Świrski.

— A czy niema innych bandytów? — zapytała Linowska.

Świrski pomyślał i szepnął do Władka:

— Twój brauning w pokoju, tam?... Obejrzę go. — I wyszedł.

Tymczasem dwie silne dziewczyny wniosły do pokoju ogromny kosz i walizę, do której pani Linowska zaczęła układać bieliznę z komody i garderobę z szafy.

— Daję wam — mówiła do syna — trykotowe kaftaniki i resztę... Proszę cię, pilnuj ojca, ażeby nigdy bez trykotów nie chodził. I ty także...

— Rozumie się! — wtrącił Władek. — Przecież, kiedyśmy szli pod Słomianki, wziąłem trykoty na siebie i do rańca...

— Ach te Słomianki nieszczęśliwe!... — westchnęła matka. — Spodziewam się, że już drugi raz takiego głupstwa nie zrobisz...

— Naturalnie, że, jak będzie spokój, wstąpię na uniwersytet, albo do politechniki... Ale jeżeli wybuchnie rewolucya i wojna z Niemcami...

— Jeszcze pleciesz o rewolucyi?... Ileż razy mówił ojciec, a teraz i poczciwy doktór, że to nie jest żadna rewolucya, tylko zamieszki...

— Ale te zamieszki odciągają wojsko z głębi Rosyi do nas i pozwalają organizować się rewolucyonistom... Moja mamusiu, to dopiero początek początku!... I ja tylko dlatego wyjeżdżam

http://rcin.org.pl

do Galicyi i gotów jestem wziąć się do nauki. Ale kiedy wybuchnie prawdziwa rewolucya... kiedy wkroczą Prusacy, których będziemy musieli wyrzucić stąd i jeszcze pójść do nich...

Mówiąc to, Władek wywijał pięściami, oczy iskrzyły mu się a twarz silnie poczerwieniała.

— I tybyś poszedł?... — spytała Linowska, splatając ręce.

— Ja?... — zdziwił się Władek. — Przecież gdybym nie poszedł, mamusia sama wyparłaby mnie się, a tatko chyba plunąłby mi w oczy...

— Mój Boże!... mój Boże!... — szeptała Linowska. — Jakie szczęście, że nie będzie tej waszej rewolucyi... Proszę cię, nie myśl o głupstwach... Zosi i dzieciom posyłam dwa pierniki i trochę makagig... Pamiętaj, powiedz im, że to mojej roboty... Sewerynowi daję trzy butelki miodu i dwie nalewki wiśniowej, pięcioletniej... Tylko ojciec niech żadnego trunku nie bierze do ust... Dębowski jak najsurowiej zakazał... O, ojca bardzo pilnuj, ażeby nie męczył się, nie zaziębił, dużo sypiał, na noc nie wiele jadał...

Ciepło odziane i ciężko stąpające dziewuchy znowu weszły do pokoju, niosąc butelki i paczki z rozmaitymi śpiżarnianymi produktami.

— Zostawcie to, ułożę sama... — rzekła pani Linowska. — Biedny ten Świrski, jeżeli go już ściga policya... Gdyby tak ciebie... o Jezu!... nie pozwoliłabym ci jechać...

http://rcin.org.pl

— Więc wolałaby mamusia, ażeby mnie w domu aresztowali?...

— Nie gadaj głupstw, proszę cię... Naturalnie, że w końcu wysłałabym cię do Grudy, ze względu na blizkość Galicyi; ale pojechałbyś z jakim chłopem i przebrałabym cię za dziewczynę...

— Co też mamusia mówi!... — oburzył się Władek. — Ja za dziewczynę!... Piękna dziewczyna z brauningiem i stoma nabojami... Jakbym zaczął do nich kropić!...

— W imię Ojca i Syna... — przeżegnała się Linowska. — Władek, co ty pleciesz? Czy ty nie wiesz, co robią takim, którzy do policyi strzelają?... Władek!... Wolałbyś odrazu zabić mnie i ojca... Boże miłosierny, ten Jędrzejczak może zostawił rodziców, a oni zapewne i nie domyślają się, co spotkało ich syna...

— Każdego może spotkać to samo. Świrskiego... mnie...

— Boże!... — wołała matka, chwytając go za szyję. — Gdybyś ty miał... gdyby ciebie...

— Mamusiu — rzekł Władek, uwalniając się z jej objęć — wy oboje z ojcem nie tak uczyliście mnie... A gdyby Ojczyzna zażądała od was mojej śmierci?...

— Co mówisz?... przecie ty bluźnisz... przecie Ojczyzna to matka... słyszysz: matka, więc jakimże sposobem mogłaby żądać od rodziców śmierci dziecka?...

— A przypomnij sobie, matusiu, wszystkie

http://rcin.org.pl

nasze bitwy od stu kilkudziesięciu lat. Te Raszyny, Somosiery, Olszynki...

Pani Linowska oparła łokcie na stole, ukryła twarz w rękach i cicho szlochała.

— Co on mówi!... co on mówi!...

Władek objął ją za szyję i szeptał:

— To ty — co mówisz, matuniu?... Przecie tyś mnie tego uczyła... wy oboje... A dziś, gdy ukazuje się ledwie cień ofiary dla Ojczyzny, już chciałabyś mnie powstrzymać...

— Ja? — zapytała Linowska nieswoim głosem. Podniosła się, otarła oczy i znowu zaczęła pakować.

— Ale mamuchna nie gniewa się na mnie?— rzekł po chwili przymilając się, Władek.

— Powinnabym, ale nie będę, jeżeli obiecasz mi jak najczęściej pisywać listy...

— A to dobre! Rozumie się, że będę pisywał...

— Codzień?...

— O, zaraz codzień... Daj Boże, ażeby z Grudy okazya trafiła się choć raz na tydzień...

— Ale ja proszę ciebie, ażebyś pisał codzień... parę wierszy... To tak łatwo. Weź arkusz papieru i codzień zanotuj choćby kilka wyrazów... To a to zdarzyło się nam... to robiłem... to myślałem... ojciec był w takiem a takiem usposobieniu... z tym a tym widziałem się... Ty nie wiesz, jak nudno w Leśniczówce, szczególniej gdy wszyscy wyjadą, więc mógłbyś osłodzić

http://rcin.org.pl

matce samotność i pisać, jak ci powiedziałam... Przecież wiele nie wymagam... kilka wyrazów... dwa... trzy wiersze... A gdy się trafi okazya, wyślesz to...

Tak mówiła, uśmiechając się, a z oczu płynęły jej ciche łzy.

Zapukano do drzwi i wszedł Świrski, wysoki, jak zwykle wyprostowany, chowając coś poza plecami.

— Już gotów?... Dziękuję ci Kaziu, i przepraszam!... — rzekł Władek. Odebrał od Świrskiego ukrywany przedmiot i, rozpiąwszy marynarkę, opasał się czarnym rzemieniem, z którego ciężko zwieszała się pochwa rewolweru.

— Zawsze to samo!... — westchnęła Linowska, z desperackim ruchem ręki. — Zawsze pali się w tej dziecinnej głowinie...

— Dziecinnej!... — przedrzeźniał ją Władek.— W życiu naszego pokolenia każdy miesiąc znaczy rok. Czy wreszcie wolałaby mama, ażebyśmy pojechali z tatkiem bez żadnej broni i wszystkie te pakunki z miodami, nalewkami, makagigami a nawet... nasze trykoty oddali pierwszemu lepszemu złodziejowi, któryby nas zaczepił?

— Ale czy ty masz medalik, który ci dałam, kiedyś wyjeżdżał do szkół?...

Władek milczał, zmieszany.

— Widzisz, i nic mi nie powiedziałeś, choć sam wiesz, że na tę podróż trzeba ci najlepszej broni...



http://rcin.org.pl

Odpięła sobie kołnierzyk, zdjęła złoty medalik na czarnym, jedwabnym sznureczku i zarzuciła go na szyję synowi.

— To Matka Boska Częstochowska — mówiła półgłosem — poświęcona u matki Boskiej Ostrobramskiej... Wielu cudów... wielu łask doznałam od Niej... Teraz niech ciebie ratuje...

— A ty, mamusiu, zostaniesz bez opieki?...— spytał Władek.

— Matka Bolesna i tak będzie czuwała nad matką smutną...

Władek ucałował jej obie ręce, oczy, usta i rzekł:

— Dość tego!... Gdybym tak dłużej rozmawiał, naprawdę zostałbym babą, za co mamusia pierwsza wyśmiałaby mnie i wykrzyczała... Prawda, mamo? Chodźmy, Kaziu, obejrzeć konie.

Właśnie przed dom zajechały duże sanki, ciągnione przez parę tęgich siwków. U dyszla wisiał głośny dzwonek.

— A odwiążże mi to zaraz, do paralusza!...— wołał doktór. — Cóż to, chcesz tym dzwonem z całej gubernii zwabić złodziejów?

Paweł leniwie zlazł z kozła i, śmiejąc się, odpowiedział:

— Umyślnie przywiązało się takie wielkie dzwonisko, ażeby psiekrwie bojały się, a wielmożny pan myśli, że chciałbym ich zwabić.

I powoli odwiązał dzwonek, rzeczywiście imponujących rozmiarów.

http://rcin.org.pl

Dziewuchy wyniosły na ganek kosz, walizkę i pudełko, na widok czego furman zaczął skrobać się w głowę, myśląc, gdzie to wszystko pomieści?

Doktór naglił o pośpiech, na ganku ukazał się stary Linowski w swojej lisiurce, na której szarem tle wyraźnie odbijał zielony sznur rewolweru.

— Jedziemy, jak do powstania — śmiał się Władek.

— Dam ja ci powstanie... — rzekł Dębowski. — A tymczasem ubieraj się, bo szkoda czasu...

— Aj, do licha!... — zawołał Linowski — na śmierć zapomniałem prosić o urlop... To dopiero awantura!... Oczywiście, tracę pamięć...

— Bądź spokojny o pamięć i urlop. O twoim wyjeździe już mówiłem z dyrektorem...

— I zgodził się?... — zapytał z dziecinną ciekawością Linowski.

— Za to, co zrobiłeś dla nich, na cały rok daliby ci urlop z pensyą i gratyfikacyą — odparł Dębowski.

— Istny palec Boży!... — mówił jakby do siebie podleśny. — Ocaliłem trochę pieniędzy fabryce... zdobyłem sobie dobrą kreskę u zarządu i kto wie, czy nie uratowałem paru chłopaków od kozy, a może i od szubienicy. A to wszystko za parę dni choroby, nie tyle ciężkiej, ile śmiesznej.

12*

http://rcin.org.pl

— No, no... już daj spokój filozofii, a zabieraj się do podróży — przerwał Dębowski.

— Więc siadajmy...

— Ależ na Boga stójcie!... — zawołała Linowska. — Zapomniałam o najważniejszych rzeczach...

— Cóż to za ważności? — spytał doktór.

— Nie dałam kociołka na herbatę... Franusia, biegnij do kuchni i przynieś ten mniejszy imbryk blaszany... Po drugie — całkiem zapomniałam o opłatkach dla Zosi i was wszystkich...

— Opłatki do proszków?... — zapytał doktór.

Linowska ze zgrozą popatrzyła mu w oczy i wzruszyła ramionami. Potem wbiegła do mieszkania i po chwili wyniosła stamtąd żelazny imbryk, tudzież pudełeczko z opłatkami.

— Siadajcie... siadajcie i jedźcie... O, już i mój Kobielak żegluje... zdaje się, niepodkutemi saniami...

— Bądź zdrowa, Haniu... do widzenia!... — rzekł Linowski, tuląc do piersi żonę.

— Władku — mówił Dębowski półgłosem — jeżeli masz trochę rozsądku i władzy nad samym sobą, ucz się... ucz się i jeszcze raz ucz się... Teraz wojny wychodzą z mody, a miejsce ich zajmuje rozum i praca... Wiek nie upłynie, kiedy zwycięstwa będą odnosili tylko ci, którzy lepiej i wytrwalej potrafią pracować... Zrozumiano?...

— Zrozumiano!... — odpowiedział wesoło

http://rcin.org.pl

Władek — a w każdym razie nie powstydzi się mnie pan doktór.

Potem, wziąwszy pod rękę Świrskiego, szepnął mu do ucha:

— Ze Lwowa, jeśli będzie rewolucya, przyprowadzę ci partyę... ale pamiętaj, zrobisz mnie swoim adjutantem, jak Napoleon Murata...

— A czy jesteś pewny, że się jeszcze spotkamy?...—zapytał go ze spokojną twarzą Świrski.

— Jestem tak pewny twojej gwiazdy, jak tego, że zwycięży rewolucya — odparł Władek.

— Rewolucya zwycięży, ale człowiek... Człowiek jest rzeczą bardzo kruchą! — odpowiedział w zamyśleniu Świrski. Ale pogodny spokój nie opuścił go ani na chwilę.

— Siadajcież nakoniec marudy! — wołał niecierpliwie Dębowski.

Podleśny już zajął miejsce w saniach, Władek żegnał się ze służbą.

— Jeszcze słówko!... — zawołała panna Jadwiga.—Panie Linowski, oto flaszeczka bromu...

— Czy pani, obok polityki, zajmuje się i medycyną?... — zapytał Dębowski.

— Wyręczam doktorów, którzy zapominają, że chorym potrzebne są lekarstwa na drogę — odcięła się panna Jadwiga. — Mam także interes do pana, panie Władysławie. Oto paczka książek: elementarze... broszurki o rolnictwie... geografii... astronomii... Niechże pan odda to w dobre ręce... Gdyby każdy inteligent nauczył

http://rcin.org.pl

choć trzech ludzi czytać i pisać, liczba analfabetów zmniejszyłaby się w naszym kraju...

— ...! teraz i zawsze i na wieki wieków amen!... — wtrącił Dębowski.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytała pogardliwym tonem Jadwiga.

— Pani cytuje aforyzmy ze wzorów kaligraficznych, a ja z Godzinek...

— Ruszaj!... — rzekł Linowski do Pawła.

— Władziu!... Właduchnu!... — zawołała bardzo wzruszona Linowska.

Chłopak zeskoczył z sanek i odszedł z matką o kilka kroków dalej.

— Przyrzeknij mi... przyrzeknij... że spełnisz moją prośbę... — mówiła, z trudnością hamując łzy.

— Wszystko zrobię, co mamusia każe — odpowiedział cichym głosem.

— Słuchaj... Wiem, że już się nie modlisz... trudna rada. Starzy żartują z opłatków, młodzi z pacierza... Ale proszę cię... błagam!... — szeptała. — Rano i wieczorem mów tylko te wyrazy: »Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko...« Pamiętasz tę modlitewkę?... A jeżeli kiedy będzie ci bardzo źle... bardzo ciężko... powiedz: »Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu...« Zapamiętasz?...

— Tak.

— I będziesz odmawiał... to przecie tak mało!...

— Będę...

http://rcin.org.pl

Stali obok Świrskiego, który wszystko słyszał.

— I pan, panie Kazimierzu, będziesz odmawiał te modlitwy?... Proszę o to w imieniu pańskiej matki...

— Jeżeli pani każe...

— Siadaj Władek!... — krzyknął już rozezłoszczony doktór.

Władek ucałował matce rękę, uścisnął Świrskiego, ukłonił się doktorowi i pannie Jadwidze i skoczył do sanek.

— Ruszaj!... — odezwały się dwa głosy.

— Z Bogiem! — zawołała Linowska.

Sanki ruszyły i niebawem znikły wśród lasu.

## X.

I pojechali. Dębowski do Żelaznych Hut, a potem do miasta X.; obaj Linowscy do Grudy, nad granicę galicyjską. W Leśniczówce została pani Linowska, Jadwiga i Świrski, który od chwili, gdy sanki z podróżnymi znikły na zakręcie leśnej drogi, miał takie wrażenie, jakby mu ziemia usunęła się z pod stóp.

— Niechże pan gospodaruje, jak u siebie — odezwała się Linowska. — W pokoju męża znajdzie pan trochę książek... nic osobliwego!... A u mnie, przy drzwiach, klucze od śpiżarni...

http://rcin.org.pl

Władek jest zawsze głodny... powietrze leśne wywołuje apetyt...

Mówiąc, uśmiechała się z wielką życzliwością; ale Świrski odczuł zmianę w jej głosie i dostrzegł, że śniada twarz podleśnej zbladła, a czarne, bystre oczy zamgliły się.

— Czy mogę przejść się?... — spytał onieśmielony Świrski.

— Niech się pan tak zachowuje, jak Władek — odrzekła Linowska, ściskając go za rękę.— Władek biega, jeździ, ślizga się, kładzie się, woła o jedzenie bez żadnej ceremonii; to samo zapewne robiłby u pana, więc pan niech naśladuje go tutaj...

Usta jej drgnęły, pobladła jeszcze wyraźniej i chwiejnym krokiem poszła do swego pokoju. Spostrzegła to panna Jadwiga i szepnęła do Świrskiego:

— Nasza mamusia wygląda, jak gdyby miała dostać ataku kamieni żółciowych...

— Czy to bardzo przykre?...

— Okropne bóle!... Niech pan jednak będzie spokojny, wiemy co robić...

— Może ja przydam się na co?... — spytał zakłopotany Świrski.

— Przyda się pan, ażeby... jak najdalej być od nas...

I pobiegła za Linowską. Kazimierz zrobił parę kroków w stronę lasu, wnet jednak zawrócił ku domowi i po skrzypiących schodach wszedł na

http://rcin.org.pl

górę do pokoiku Władka, który teraz zajmował sam. Położył się na łóżku i zamknął oczy, ale wnet zerwał się, usłyszawszy z dołu jęk stłumiony. Pochylił głowę, natężył uwagę... Niema kwestyi, ten nieludzki krzyk płynie z pokoju Linowskiej!...

— Co ja zrobiłem?... co ja zrobiłem!... — szepnął, wpijając ręce we włosy.

Na dole jęk wzmagał się.

— Z mojej to winy syn narażał się na śmierć, a przynajmniej na więzienie... ojciec zachorował, a teraz — matka...

Zbiegł na dół, wszedł do sieni i skierował się do pokoju Linowskiej. Potem stanął i czekał. Jęki chorej słabły, niekiedy cichnęły.

»Umiera, czy co?... — myślał. — Trzeba istotnie pecha, ażeby przed godziną wyjechał doktór!...«

Stał na środku kancelaryi Linowskiego, nie wiedząc, co robić. Nagle uchyliły się drzwi od pokoju chorej i ukazała się w nich Jadwiga z mokrym ręcznikiem.

— Gorzej? — spytał wylękniony Kazimierz.

— Lepiej... niech się pan nie boi... Przykładamy gorące okłady... zażyła opium... wszystko będzie dobrze... Ale też z pana wrażliwy!...

Świrski wzruszył ramionami i, wykręciwszy się na pięcie, poszedł w głąb lasu.

— Dyabli nadali z babami, czy co?... — mruczał, rozgniewany uwagą Jadwigi. — Ja i wra-

http://rcin.org.pl

żliwość!... — Niedawno oglądał siebie w lustrze pokoju jadalnego. Więc ten wysoki, barczysty, wyprostowany młodzieniec, w obcisłej kurtce, w butach z długiemi cholewami, a nadewszystko — z miną oficera, której mu wszyscy zazdrościli, więc on ma być tak wrażliwy na niewieście jęki, że aż spostrzegła to panna Jadwiga?...

— Oto wpadłem!...

Przyszedł mu na myśl pałac w Świerkach, ogromne pokoje, a potem cała gromada rządców, ekonomów, gorzelników, leśników... I to on, współwłaściciel tego pałacu, znalazł się w pokoikach, których sufitu dosięga ręka, a kiedy stanie przed oknem, to w mieszkaniu robi się ciemniej... I to on, któremu jego rządcy, ekonomowie, gorzelnicy i leśnicy kłaniają się z najwyższym szacunkiem, on dziś wystawał pode drzwiami pani podleśnej i tak zakłopotany, że posądzono go o nadmierną wrażliwość!...

— Tfy!... — mruknął. — Oczywiście musiałem w oczach tej pani mieć minę felczera albo pielęgniarki, kiedy aż roztkliwiła się nademną... A niech sobie chorują, niech się leczą... Jestem na kwaterze, dziś u podleśnego, jutro u księcia, pojutrze u żyda... Mam co innego na głowie, aniżeli ich dolegliwości... A Władek?... Cóż Władek! Jak zostanie moim adjutantem, będzie doświadczał tego samego, co i ja... Żołnierzowi nie wolno bawić się w sentymenty.

http://rcin.org.pl

Idąc lasem, marzył.

— Szkaradna droga dla artyleryi: nawet zimą i latem trzeba tu jechać ostrożnie, a po kilkodniowym deszczu można potopić armaty... Za to dla partyzantów uciecha!... W tych krzakach, na prawo, ukryłoby się ze dwustu ludzi... A tamto wzgórze?... Co za świetna pozycya dla kartaczownic!... Ani jeden wóz, ani jeden koń nie przeszedłby drogą... ani jeden człowiek nie zostałby przy życiu. Jakie sosny!... I wyobrazić sobie za każdą dobrego strzelca?... Gdyby nasi w 63-im roku posiadali dzisiejsze karabiny i armaty, a tamci broń ówczesną, nie nazywanoby nas buntownikami...

Potem już nie widział lasu, ale, przed oczyma jego duszy, na jakiemś ogromnem polu zaczęły rozwijać się kolumny wojsk nieznanych. Wszyscy byli odziani w bluzy, spodnie i czapki francuzkie-kepi barwy ciemno-szaraczkowej; lecz jeden pułk odznaczał się żółtymi kołnierzami, epoletami i lampasami u czapek, drugi — białymi, trzeci — amarantowymi, inne — zielonymi, szafirowymi... Wszyscy mieli na plecach czarne rańce, opasane szynelami, w ładownicach po sto ładunków i — pyszne karabiny z czworograniastymi bagnetami...

Za piechotą maszerowała konnica na wspaniałych koniach jednej maści, dalej — armaty z ciemno-szafirowemi lawetami, jaszczyki z nabojami, ambulanse. A wszystko to sunęło po-

http://rcin.org.pl

rządnie, podwójnym krokiem, w stronę lekkiej mgły, która rozciągała się na dalekim horyzoncie, skąd dolatywał gęsty grzechot karabinów i ciężkie stękania armat.

Świrski widział to wszystko: każdą maszerującą nogę, każdy szaraczkowy mundur, każdą twarz... Oto jeden szereg: młody oficer bez zarostu, obok niego żołnierz z ogromną kasztanowatą brodą, za nim trochę młodszy z ciemnymi wąsikami, potem chłopak z dużym nosem i wysokiem czołem, dalej chłopak z białą twarzą i jakby podpuchniętemi oczyma, potem znowu starszy blondyn z brodą podstrzyżoną...

Wszyscy poważni, surowi, zapatrzeni w ową daleką mgłę, którą szarpały błyskawice wystrzałów... Od czasu do czasu słychać komendę: marsz!... marsz!... albo półgłosy: pośpieszaj!... czego się plączesz!...

Jedna orkiestra skończyła marsza Garibaldiego, druga poczyna grać: »Do broni, ludy! powstańmy wraz...« Pomimo mrozu na dworze, w duszy Świrskiego upał; zdaje mu się, że w powietrzu czuć woń potu i prochu.

Naprzód!... naprzód!...

Nowa zmiana obrazów. Nieznane wojsko wchodzi do miasta X. Muzyki grają marsza z Aidy. Krzyczą żołnierze, krzyczy ludność, krzyczą domy i ziemia: niech żyje!... niech żyje!... A wśród gęsto skupionej publiczności Kazimierz

http://rcin.org.pl

dostrzega jakąś białą, zgrabną rękę kobiecą i parę wesołych oczu...

»Panna Jadwiga?... — mówi do siebie. — Ten jakiś pan Klemens waryuje za nią, ale Władek chyba nie kocha się w niej... To i dobrze: żołnierz niema czasu na amory...«

Potem przypomniał sobie jej spojrzenia, jej niepokój o niego i nagle czarowne wizye znikły. Znikły wojska zwycięskie, muzyka rozpłynęła się... Kazimierz znowu zobaczył las i rzekł do siebie:

— Przecież nie ożeniłbym się z nią!...

Obiad tego dnia był późny i Świrski jadł go sam; panna Jadwiga tylko nalała mu duży talerz powidlanki i poszła do chorej Linowskiej. Po obiedzie Świrski w kancelaryi podleśnego oglądał księgozbiórek. Znalazł powieści Sienkiewicza, »Bibliotekę Dzieł Wyborowych« i starannie oprawne komplety »Kuryera Polskiego«. Najbardziej jednak zajęły go mapy gubernii, wykonane przez topografów wojskowych i — szczegółowe karty lasów, należących do Hut Żelaznych.

— Oto dla mnie właściwa zabawa. — rzekł. — Zamiast poddawać się halucynacyom, albo marzyć o oczach panny Jadwigi, wolę rozejrzeć się w mapach. Kto wie, może kiedy w tych stronach będą odbywały się marsze i staczały bitwy?...

Zabrał mapy do swego pokoiku na górę, wziął pół libry papieru i ołówek i — cały długi wie-

http://rcin.org.pl

czór zimowy spędził na przypatrywaniu się i rysowaniu. Przy herbacie dowiedział się o zdrowie pani Linowskiej, a potem wrócił do siebie i znowu oglądał, mierzył, rysował, każdą ścieżką leśną, każdą kępę drzew, każdy jar i pagórek. Na drugi dzień wieczorem, już miał wcale dokładną mapę lasu i o tyle poznał go, że, przy pomocy notatek, nietylko nie zabłądziłby w nim, ale nawet — trafiłby do ważniejszych punktów.

— I taką mapę gubernii muszę kupić... — rzekł do siebie.

W piątek z rana furman, który odwoził Linowskich, powrócił z Grudy. Opowiedział, że podróż odbyła się bez żadnych przygód i oddał listy: pani Linowskiej, która ledwie podniosła się z łóżka, i Świrskiemu.

»Nie masz pojęcia — pisał Władek — jak mi doskonale zrobiła ta przejażdżka. Kilka godzin w dobrze znanych okolicach, niby to jedno z drugiem nic — a przecie!... Ach, Kaziu, gdybyś Ty do nas przyjechał choćby na parę dni, choć na parę godzin... Nie wiem, czy zmiana miejsca, czy zetknięcie się z nowymi ludźmi, ale... szczerze ci powiem, że — wiele, wiele poglądów zmieniło się we mnie, a im bardziej oddalałem się od naszego kochanego miasta X. i od Słomianek, tem więcej bieg moich myśli zbliżał się do przezacnego Dębowskiego. Boże, jaki to mądry człowiek!... Przyjedźże choć na jeden dzień...«

http://rcin.org.pl

Świrski schował do kieszeni list i pomyślał:

— »Władek jest bardzo wrażliwy... Bardzo mocno działa na niego otoczenie. Dziś gotów porozumiewać się z Dębowskim, ale gdy zobaczy rewolucyjne pułki, wyrzeknie się filisterskich poglądów...«

Przed południem, kiedy ludzie zaczęli zbierać się na obiad, a Świrski przechadzał się po dziedzińcu, zbliżył się do niego furman i, zdjąwszy czapkę, rzekł:

— Nasz panicz kazał się bardzo pięknie pokłonić jaśnie panu...

— Niby mnie?... — spytał zdziwiony Świrski.

— Jużci, że jaśnie panu... I jeszcze nasz panicz kazał prosić, ażeby jaśnie pan przyjechał do Grudy... Och, poszorowalibyśmy!...

I wpatrywał się w niego bardzo życzliwie. Świrskiemu krew uderzyła do głowy, ponieważ nagle zrozumiał, że ten wybuch tkliwości furmańskiej jest — delikatnem przypomnieniem o napiwku... Był tak zmieszany, że, zamiast powiedzieć wprost: mój drogi, oddam ci za parę dni, gdyż w tej chwili nie mam drobnych, czy nie mam pieniędzy, Świrski odwrócił się i — odszedł, zostawiając zdziwionego furmana z czapką w ręku.

Kazimierz po raz pierwszy znalazł się w podobnem położeniu. Dotychczas nigdy nie brakowało mu pieniędzy, nigdy nie był w gościnie czy na łasce ludzi, w dodatku — niższego sta-

http://rcin.org.pl

nowiska, i jeszcze żaden furman, żaden służący, nie potrzebował przypominać mu o napiwku. A tu jutro wigilia, więc wypadałoby obdarować wszystką służbę, dać im przynajmniej po rublu na osobę... Tymczasem, chociaż doktór wziął od niego kwit na sto rubli, pieniędzy nie było!...

— A niechże licho porwie Dębowskiego!...— mruknął.

Czuł się okropnie upokorzonym i nieszczęśliwym. Zdawało mu się, że każdy parobek, który mija go z ukłonem, każda dziewczyna, która spogląda na niego z półuśmiechem, pogardza nim i mówi do siebie:

— Taki to i jaśnie pan, co ludziom grosza żałuje!...

Kwadranse wydawały mu się godzinami, godziny dobami. Uciekł do swego pokoiku i coraz wyglądał przez zamrożone okno: czy nie jedzie kto z Żelaznych Hut albo z miasta?... Chwilami miał nadzieję, że przed wigilią dostanie pieniądze, chwilami znowu myślał, że ich nie doczeka nigdy. Może Dębowski zapomniał, może zgubił jego kwit, może nikt nie chce dać stu rubli Kazimierzowi Świrskiemu, którego ściga policya, a może... Może wiózł kto pieniądze do Leśniczówki, ale został napadnięty przez bandę choćby Zająca i ograbiony, jeżeli nie zamordowany!...

Lecz właśnie w chwili, kiedy ogarnęło go najwyższe zwątpienie, zajechał przed dom sekre-

http://rcin.org.pl

tarz dyrektora Żelaznych Hut i przywiózł Świrskiemu nie sto, ale dwieście rubli, wszelkiego rodzaju monetą papierową i metalową. Zwrócił kwit, wydany Dębowskiemu, a poprosił o nowy, na odpowiednią sumę.

Świrski odetchnął. Sekretarz Hut Żelaznych wydał mu się najprzyjemniejszym mężczyzną, Leśniczówka najpiękniejszym lasem, a służba Linowskich — zbiorem najzacniejszych dziewuch i parobków, jacy istnieli w kraju. W sobotę zrana dał każdemu i każdej po rublu, a furmanowi dwa ruble. Aż blada i osłabiona Linowska z uśmiechem prosiła go, ażeby nie psuł ludzi, a przed samą kolacyą panna Jadwiga zrobiła mu tę pełną znaczenia uwagę:

— Wie pan, o czem teraz mówi nasza służba?... Oho, musi być kiepsko ze szlachtą, kiedy panicz Świrski dał nam taką kolendę... Szczególna forma wdzięczności, nieprawdaż?...

Słowa te niemile dotknęły Kazimierza. Wnet jednak zapomniał o nich pod wpływem radości, jaką sprawiło mu otrzymanie pieniędzy. Na parę godzin przed kolacyą, którą zajmowała się panna Jadwiga pod kierunkiem Linowskiej, Świrski poszedł do lasu i znowu utonął w swoich ulubionych marzeniach. Liczba jego fantazyjnych pułków zwiększyła się, ich umundurowanie było jeszcze piękniejsze, broń idealnie doskonała, twarze i postawy jeszcze wyraźniejsze. Widział też i siebie samego na pysznym gniadym koniu,



http://rcin.org.pl

który niecierpliwie wyrzucał głową i, posuwając się bokiem, roztrącał konie sztabowych oficerów. Wizya była przedziwnie jasna. Świrski widział swoją pelerynę z kapturem, z pod której wyglądał koniec szabli w złoconej pochwie; na wędzidle niespokojnego rumaka bieliła się piana. W tej chwili czuł się wodzem jakiejś nieprzeliczonej armii, choć może był tylko poetą.

Niebawem w umyśle Kazimierza wizya armii skojarzyła się ze wspomnieniem braku pieniędzy i upokarzającemi uczuciami, jakich doznał. To zaś nadało nowy kierunek jego rozmyślaniom.

— »Jednak ważna rzecz pieniądze... — mówił do siebie. — Dziś dopiero zrozumiałem ich piekącą potrzebę!... A jeżeli na mnie brak pieniędzy zrobił takie podłe wrażenie, jeżeli mnie tak zdemoralizował, czemże staćby się mogły dziesiątki i setki tysięcy żołnierzy i oficerów, gdyby im nagle zabrakło marnego kruszcu?... Wszakże pieniądz to broń, pieniądz to amunicya, pieniądz to umundurowanie, żywność i obuwie... Pięknie wyglądałoby wojsko w dziurawych butach, przez parę dni nie karmione!...«

Pod wpływem tej nowej pobudki Kazimierz usiłował przedstawić sobie najogólniejsze warunki utworzenia i utrzymania wojska. Przedewszystkiem — naturalnie — pieniądze. Ileż też potrzebaby ich w przybliżeniu? Dobra broń i amunicya, z kosztami transportu, pochłonęłaby co najmniej ze sto pięćdziesiąt rubli na czło-

http://rcin.org.pl

wieka... Buty, na rok, chyba ze trzydzieści... Umundurowanie i bielizna około sześćdziesięciu... Żywność, lekarstwa, kwatery — ze trzysta rubli na rok. Słowem — jeden żołnierz z uzbrojeniem kosztowałby około pięciuset rubli. Tym sposobem, naprzykład, ja mógłbym wystawić ze czterystu ludzi pieszych, może pięciuset... stryj około tysiąca... A po roku coby się z nimi stało?... Musiałby ich utrzymywać kraj... A stutysięczna armia ileby kosztowała?... Chyba ze czterdzieści milionów rubli rocznie, z dodatkiem dziesięciu milionów na uzbrojenie...

A czy kraj mógłby tyle wydawać przez rok, przez dwa a może i więcej? Mógłby, przy dobrych urodzajach, no — i gdyby ludzie bogatsi łatwo mogli dostać gotówkę. Naprzykład stryj — musiałby sprzedać swoje dobra i moje, a gdzie kupcy?... Lecz pieniądz to nie wszystko. Oprócz pieniędzy, trzeba jeszcze ochoty; armia bowiem rewolucyjna musi składać się z ochotników... Lud dostarczy żołnierzy, inteligencya — oficerów, ale o żadnym przymusie nie może być mowy...

Dużo pieniędzy i dużo ochoty!... Dużo ludzi gotowych poświęcić cały majątek, ostatni grosz i mnóstwo takich, którzy bez wahania oddadzą życie za wolność...

O zmroku zaczęli zbierać się goście do uczty wigilijnej. Panna Jadwiga, w imieniu Linowskiej, zaprosiła wczoraj sekretarza zarządu, który, za-

13*

http://rcin.org.pl

raz po przybyciu, wdał się w żywą rozmowę ze Świrskim o polityce. Niebawem zajechał pan Klemens, chłodno przywitał Kazimierza a bardzo czule Jadwigę i tej już nie odstępował. Wnet zadzwoniły sanki podleśnych, państwa Opatowskich, którzy, straciwszy w jesieni dwoje dzieci, nie mieli odwagi na święta zostać w domu i wprosili się do Linowskiej. W końcu, chłopskie sanki przywiozły młodego praktykanta z Żelaznych Hut i księdza wikarego, który, pokłóciwszy się z proboszczem, przybył na wigilię do Leśniczówki.

Ostatnia ukazała się pani Linowska, osłabiona, mizerna, ale tak zadowolona z gości, że kolacya zeszła wszystkim bardzo wesoło. Przy gąsiorze starego miodu, siedzący obok Jadwigi pan Klemens promieniał, nawet rozpogodziły się twarze Opatowskich, którym ksiądz wikary opowiadał półgłosem jakąś dykteryjkę. Tylko Świrski był zamyślony, a energiczna fizyognomia młodego praktykanta nie przestała być ponurą.

Namówiona przez Jadwigę pani Linowska, umoczywszy usta w kieliszku, rzekła:

— Bodajbyśmy na rok przyszły zebrali się tu znowu wszyscy, w komplecie... I bodajbyśmy nareszcie doczekali tych lepszych czasów, na które od tak dawna czekamy...

*Opatowski.* Pani dobrodziejka będzie miała swój komplet: męża, dzieci, wnuczkę... My nie...

http://rcin.org.pl

*Praktykant.* Nie wiem, czy za rok już będą lepsze czasy...

*Wikary.* To prawda... Panno Jadwigo, proszę jeszcze o kieliszeczek...

*Świrski.* Kto ten rok przeżyje, napewno doczeka lepszych czasów. Chociaż... nie wiem, czy dla nas będą tak dobremi, jakbyśmy chcieli i — mieć mogli...

*Sekretarz.* Słyszę to od pana już po raz drugi, ale... nie dobrze rozumiem.

*Linowska.* Niechże pan i nam powie coś o swoich nadziejach.

*Świrski.* Moje przewidywania opierają się na bardzo prostej zasadzie. Od dziś za rok zwycięży rosyjska rewolucya i zaprowadzi swój system rządzenia, więc — będzie nam lepiej... Byłoby jednak bez porównania lepiej, gdybyśmy w tej ostatecznej walce, jaka się zbliża, odegrali rolę sprzymierzeńca, siły czynnej, nie zaś czekali z założonemi rękoma na to, co nam ofiaruje cudza praca i łaska...

*Opatowski.* (machając ręką). Jaką my tam siłę mamy!...

*Praktykant.* Odwagę i poświęcenie proletaryatu...

*Świrski.* Ma pan słuszność. Ale ta odwaga jest bezładna, nie uporządkowana, a poświęca się niewiele jednostek. Gdybyśmy zaś utworzyli armię, choćby stutysięczną...

http://rcin.org.pl

*Praktykant.* Czy dla obrony burżujowskich interesów, a dla zduszenia ludu?...

*Świrski.* (z zapałem). O — to — właśnie jest naszem nieszczęściem!... Dzielimy się na proletaryat i burżujów w chwili, kiedy powinniśmy zjednoczyć się jak najsilniej... Jedno ciało i jedna dusza...

*Sekretarz.* My tego zjednoczenia nie doczekamy.

*Praktykant.* Nawet nie rozumiem, jaki pożytek rewolucyi mogliby oddać burżuje?...

*Świrski.* Choćby swoimi pieniędzmi. Na utrzymanie, naprzykład, stutysięcznego wojska trzeba z pięćdziesiąt milionów rubli rocznie. Niech więc proletaryat dostarczy nieustraszonych żołnierzy, kapitaliści pieniędzy, a wówczas Polska, obok Rosyi, stanie jako sprzymierzeniec...

*Praktykant.* Przymierze jest i dzisiaj: proletaryat rosyjski i polski zjednoczył się przeciw polskim i rosyjskim wyzyskiwaczom...

*Świrski.* Burżujom nic nie zrobią, ale mogą zabić naszą narodową indywidualność...

*Praktykant.* Narodowość głupstwo, kolektywizm grunt...

*Sekretarz.* O, widzi pan! Ażeby zaś jak najprędzej dojść do owego kolektywizmu, przygotowuje się strajki w fabrykach...

*Klemens.* I na folwarkach.

*Sekretarz.* Stawia się zarządom fabryk niemo-

http://rcin.org.pl

żliwe do przyjęcia warunki, a tym, którzy odmawiają, przysyła się wyroki śmierci...

*Opatowski.* Więc już i na folwarkach urządzają strajki?... Nie wiedziałem.

*P. Klemens.* W Łubniach parobcy zażądali podwyższenia pensyi i ordynaryi, a ponieważ administrator zgodzić się na to nie mógł, więc zaprzestali karmić i poić bydło... Przejeżdżający szosą o wiorstę drogi słyszeli ryki...

*Opatowski.* O łajdaki!...

*Praktykant.* Głodnych parobków nikt nie słyszy... Nie umieli dotychczas ryczeć głośno.

*Świrski.* Gdyby taki nastrój panował w całym kraju, rewolucya nie przyniesie nam żadnego zysku.

*Sekretarz.* Dziękujmy Bogu, jeżeli nie wywoła wojny domowej!

*Linowska.* Duchowieństwo powinnoby wystąpić i załagodzić te stosunki.

*Wikary.* Duchowieństwo?... Czy to, które zaniedbuje kapłańskie obowiązki? Czy to, które, zamiast z ambony oświecać ludzi, straszy ich piekłem?... Czy może to duchowieństwo, które poluje, gra w karty i przy każdej sposobności łupi ze skóry swoje barany?...

*Praktykant* (z szyderczym uśmiechem). Brawo!... Księża są tacy sami burżuje, jak przemysłowcy i szlachta.

*Linowska.* Jadziu, poproś państwa do mego pokoju i zagraj co...

http://rcin.org.pl

Gdy goście ruszyli od stołu, pan Klemens nagle stanął przed Świrskim i rzekł:

— Wie pan, nie myślałem... bardzo zdziwiłem się tem, co pan mówił... Zdawało mi się, że pan trzyma z nimi...

— Niby z tymi, którzy chcą wojny domowej?... — odparł z uśmiechem Świrski.

— Bardzo pana przepraszam — mówił pan Klemens, ściskając go za rękę — i, jeżeli pan pozwoli, przyjadę kiedy na chwilę poufnej rozmowy.

— Jestem do usług — odpowiedział Świrski bez zapału. Myśl o tem, że pan Klemens przez całą kolacyę siedział obok Jadwigi, robiła mu przykrość. Od pierwszej chwili spotkania Jadwiga niepokoiła go w szczególny sposób: często myślał o niej, gniewały go umizgi Klemensa, cieszyło go, że Władek był dla niej obojętny, lecz niejednokrotnie powtarzał sobie w duszy:

»Przecież nie kocham się w niej... I nigdy nie ożeniłbym się...«

Po wigilii i wyjechaniu gości Świrski długo nie mógł zasnąć; stary miód ognistymi strumieniami rozlewał się po organizmie, zapalając w głowie nowe a przykre obrazy, których punktem środkowym była — twarz panny Jadwigi. Nie jest ona piękna, a jednak!... Jakie ona ma bujne włosy, jakie zęby gęste i białe... co za usta... oczy... Nadewszystko zaś — jak ona umie słuchać! Kiedy mówił Kazimierz, panna Jadwiga

http://rcin.org.pl

nietylko rozumiała, ale odczuwała każde zdanie i zachęcała go, podniecała spojrzeniami. A gdy odezwał się praktykant, twarz jej płonęła, a oczy zdawały się mówić: »Gotowa jestem pójść za tobą!...«

»Ależ to anarchista... wywłaszczyciel...« myślał Kazimierz. Nigdy on nie lubił wojującego socyalizmu, lecz ten praktykant socyalista, milcząco popierany przez pannę Jadwigę, budził w nim gniew i jakby odkrył nowe strony w znanej dotychczas agitacyi socyalistycznej.

— On drwi z narodowości, a już wcale nie dba o to, ażebyśmy, wobec Słowian, znaleźli się, jako równi i wolni obok równych i wolnych...— rzekł Świrski i, pomimo irytacyi, zasnął.

Sny miał bezładne i niespokojne. Marzył, że kłóci się z kimś, że się mocuje, że biegnie gdzieś na wyścigi... To znowu, że jedzie na rozhukanym koniu, który nagle stał się — wołem i wśród ciemności pędził czy też spadał na złamanie karku... Jazda na rozpędzonym wole, co za pomysły!... Kazimierz obudził się zmęczony, z ciężką głową i nieokreślonemi pretensyami do całego świata. Poprosił służącej, ażeby herbatę przyniosła mu do pokoju, wypił kilka szklanek, a potem przeglądał mapy lasów, należących do Żelaznej Huty, i mapy gubernii. Zatopiony w rysunkach, z przyjemnością wyobrażał sobie gościńce, wsie, ogrody, wzgórza, zarośla... Ale— już nie widział wojsk, odzianych w szaraczkowe

http://rcin.org.pl

uniformy z różnokolorowymi lampasami i epoletami, poprostu — nie miał ochoty wyobrażać ich sobie. Za to od czasu do czasu na tle map ukazywały się rozmarzone oczy panny Jadwigi, albo ponura twarz praktykanta, który gardził narodowością i narodowem wojskiem.

Około południa Świrski zeszedł na dół, do pokoju Linowskiego i spotkał tam pannę Jadwigę, która, podniósłszy do góry paluszek, rzekła z miną tajemniczą:

— Mieliśmy wczoraj gościa na wigilii i na noclegu...

— Czy nie jaki socyalista?...

W oczach Jadwigi na chwilę błysnęło zdziwienie, mówiła jednak dalej:

— Kto wie, czy pan nie zgadł?... Późnym wieczorem przyszedł do naszej służby podróżny, niby kaleka, obdarty... i prosił, ażeby, nie mówiąc państwu, przenocowali go... No i czy pan da wiarę, że służba zgodziła się i, gdyby nie Rózia, która mnie bardzo lubi i nic nie ukrywa przedemną, nawet nie wiedzielibyśmy o tem...

— Czy to raz nocuje ktoś u parobków, nie meldując się państwu! — wtrącił Kazimierz.

— Bywa tak, ale niech pan posłucha dalej... — ciągnęła podnieconym tonem. — Ten niby podróżny namawiał naszych ludzi, aby od świąt zażądali zwiększenia pensyi i ordynaryi, a zmniejszenia godzin pracy. A także zapewniał

http://rcin.org.pl

ich, że już w przyszłym roku wszystka ziemia szlachecka przejdzie do chłopów...

Świrski wzruszył ramionami.

— Tak mówił, proszę pana, ten podróżny — ciągnęła Jadwiga — a gdy furman odezwał się, że szlachta ziemi darmo nie odda, włóczęga odpowiedział mu: »Niech szlachta prędzej wynosi się zagranicę, gdyż będą ich rżnąć i palić...«

— A nie powiedział: czy będą rżnęli spalonych, czy też będą palili zarżniętych? — uśmiechnął się Kazimierz.

— Żartuje pan, a przecież te pogróżki pana więcej obchodzą, aniżeli mnie...

— A tak!... Wyobrażam sobie, jakby wyglądał parobek, który — naprzykład — memu stryjowi zaproponowałby oddanie majątku... — odpowiedział Świrski. — Bo nas, tutaj, może otoczy swoją opieką ten... praktykant z Żelaznych Hut... — dodał z ironicznym uśmiechem.

— Ach, jak ja go się wczoraj bałam!... — wtrąciła Jadwiga.

— Zdawało mi się, że pani z największą sympatyą słucha jego pogróżek...

— Ja?... Wyborny pan sobie!... Ja sympatyzuję tylko z takimi, którzy pracują dla ludu, którzy go oświecają, ale nie z tymi, którzy go bałamucą niewykonalnemi obietnicami...

— Słusznie!... Więc woli pani pana Klemensa?...

— Z pewnością!... On, równie dobrze jak

http://rcin.org.pl

i ja, rozumie, że przedewszystkiem trzeba nauczyć lud czytać i pisać. Bo tam, gdzie napełniają się szkoły, pustoszeją więzienia...

— Naprzykład, w naszem kochanem mieście X... są cztery szkoły średnie męskie, trzy żeńskie, z dziesięć elementarnych i... więzienie przepełnione...

— Winszuję!... — przerwała mu Jadwiga. — Zaczyna pan mówić, jak Dębowski...

Na tem przerwała się już nieco drażliwa pogadanka, a Świrski, ochłonąwszy, pomyślał:

»I cóż się stanie z mojem wojskiem, jeżeli szlachta będzie musiała uciekać, albo walczyć przeciw własnym parobkom, których podniecają praktykanci fabryczni, albo wędrowni agitatorowie?«

Na pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia nie przyjechał nikt z gości; Linowska po obiedzie położyła się, a Jadwiga czytała jej książkę. Około ósmej wieczorem zjawił się gajowy najbliższego posterunku, zmęczony i wylękniony, z zawiadomieniem, że — jakaś banda napadła go, zabrała mu rewolwer, dubeltówkę i nawet trzy ruble.

— Cóż to za ludzie?... — zapytała Linowska.

Gajowy rozłożył ręce i, spojrzawszy przelotnie na Świrskiego, odparł:

— Byli różni: jakby robociarze i jakby z mia-

http://rcin.org.pl

sta... Ale było też kilku niby paniczów... Nawet trzymali się z pańska i gadali po pańsku...

Świrski drgnął. A może to?... Wyszedł do sieni za gajowym i, podając mu trzyrublowy papierek, rzekł:

— Weźcie, poczciwy człowieku... Sumienia niema ten, kto obdarł takiego, jak wy, biedaka...

— A mówili, że tylko panom będą zabierać!... — mruknął gajowy, całując Kazimierza w rękaw.

Nazajutrz znowu nikt nie przyjechał do Leśniczówki. Świrski z paniami widział się tylko przy obiedzie, cały zaś dzień spędził na czytaniu »Ogniem i Mieczem«. Niekiedy machinalnie odkładał książkę i mówił do siebie:

— Kogo ten gajowus nazywał paniczami?... Rozumiem, że wzięli mu broń, choć i za nią powinni byli zapłacić... Ale trzy ruble!... Rewolucyoniści, którzy gajowemu zabierają trzy ruble!... No, ani Chrzanowski, ani Lisowski nie pozwoliliby na nic podobnego, więc owi panicze nie byli naszymi kolegami... Ależ ci rewolucyoniści, którzy nie gardzą trzema rublami od gajowego!...

Na drugi dzień po świętach przyjechało na Leśniczówkę aż pięciu gajowych z wiadomościami naprawdę niezwykłemi. Przedewszystkiem u każdego z nich, w czasie świąt, była jakaś banda, licząca kilkunastu ludzi, uzbrojona, jakby wymusztrowana i — zabierała dubeltówki, rewolwery, proch i naboje. W każdej bandzie za-

http://rcin.org.pl

uważono młodych ludzi, wyglądających na paniczów, którzy tłómaczyli gajowym, że ich broń potrzebna jest rewolucyonistom. Pieniędzy nie zabierali nikomu; gromadzili się na głos świstawek i, uszykowawszy się we dwójki, znikali wśród drzew i zarośli.

Oprócz tych, gajowi przynieśli jeszcze gorsze wieści. Począwszy od wigilii, przez dwa dni świąt jacyś ludzie zajeżdżali do lasu sankami i zabierali drzewo, stojące w sągach, albo przeznaczone na budulec. W jednem zaś miejscu ścięli sześć wspaniałych modrzewiów i wywieźli niewiadomo którędy i dokąd.

— Przepraszam was, mój Słowiku — odezwała się Linowska — ale o tem, dokąd wywieźli modrzewie, powinniście wiedzieć. Cóż to — zginęły ślady?...

— Ślady zatarły się na szosie — odparł gajowy — ale i sam pan podleśny nie prawowałby się z gromadą, gdzie prawie każdy miał dubeltówkę albo sztucer... Wreszcie zapowiedzieli, ażeby ich nie śledzić, bo inaczej... kula w łeb!...

Kilka następnych dni upłynęły w Leśniczówce cicho; Linowska powoli zaczęła wracać do zajęć gospodarskich, panna Jadwiga pomagała jej, a wieczorami urządzała wykłady dla służby. Świrski miał dużo czasu, to też nudził się bardziej, aniżeli przed świętami. Stracił gust do powieści wojennych i ochotę do spacerów, las bowiem przypominał mu jego marzenia, obrazy

http://rcin.org.pl

marszów, bitew i tryumfów, które w tych dniach uległy jakiejś zmianie: wyblakły, pękały, topniały, jak lód na słońcu.

Bo i jak tu myśleć o utworzeniu armii w kraju, gdzie między inteligencyą a klasami pracującemi istnieje nieufność i nienawiść?... Skąd wziąć pieniędzy na porządną wojnę tam, gdzie ustaje wszelka praca?...

A jednak te bandy, zabierające broń gajowym, czy nie świadczą o wzmaganiu się ruchu rewolucyjnego?... A ci »panicze« — nie jestże to młodzież inteligentna, która, pomimo zimy, śpieszy do szeregów?... Oczywiście, zapewniono ich o blizkim wybuchu rewolucyi w Rosyi...

Tylko... należeć do podobnej bandy, która — tymczasem — rozbija monopole, a chłopom rabuje trzyrublówki, do takiej bandy należeć Kazimierz dzisiaj już nie miał ochoty. On chciał walczyć w armii regularnej, która stacza decydujące bitwy, nie zaś potyczki, podobne do rozbojów... Pod wpływem tych uwag jego zapał do rewolucyi począł stygnąć, a przynajmniej już nie posiadał dawniejszego natężenia. I coraz częściej przychodziły mu na myśl niedawne słowa Dębowskiego, że obecny zamęt nie jest rewolucyą i nie może wywołać dobrych następstw politycznych. A niekiedy przypominał sobie nawet gniewne wybuchy stryja, który na wiele lat przed dzisiejszymi ruchami głosił, że rewolu-

http://rcin.org.pl

cye mogą wyhodować tylko zbrodnie i zbrodniarzy.

Wszystkie te jednak refleksye były zbyt świeże, aby Świrskiego mogły doprowadzić do jakichś nowych wniosków i postanowień.

Pewnego dnia przyjechał sekretarz dyrektora Hut Żelaznych i, przywitawszy się z paniami, poprosił Kazimierza o rozmowę w ważnej sprawie. Gość był zirytowany i wyglądał mizernie.

— Niech pan to z łaski swojej przeczyta — rzekł, podając Świrskiemu niewielką kartkę papieru.

Był to wyrok śmierci dla sekretarza; zapowiedziano mu, że zginie w ciągu kilku dni najbliższych.

— Takie przysmaki dostaliśmy wszyscy — mówił przybyły. — Ma być jeszcze zabity dyrektor, jego pomocnik, kasyer, buchalter, wszyscy inżynierowie i paru najlepszych majstrów. Niechże pan teraz powie: co mamy robić.

Świrski milcząc, zwrócił kartkę sekretarzowi.

— Przyjechałem do pana w imieniu wszystkich skazańców — mówił gość, a chwilami drgały mu pobladłe usta. — Wiemy, że w ruchu rewolucyjnym odegrywa pan ważną rolę...

— Myli się pan — przerwał mu Kazimierz.— Ja wprawdzie stykałem się z niektórymi wydatnymi rewolucyonistami, ale nasze towarzystwo Rycerzy Wolności działało niezależnie od nich, a niekiedy i wbrew ich żądaniom...

http://rcin.org.pl

— W każdym razie kieruje pan jakąś organizacyą...

— Żadną — odpowiedział Kazimierz — i gdyby tak dalej...

— Co, gdyby tak dalej?... — zapytał sekretarz.

— Nic... Tylko powtarzam, że nie mam i nigdy nie miałem związków z ludźmi, którzy wydają wyroki...

Sekretarz splótł dłonie, aż mu stawy zatrzeszczały, i mówił rozdrażnionym głosem:

— Niechże pan przynajmniej powie: co mamy robić?... do kogo udać się o radę? Wyjechać z fabryki niepodobna; nazwaliby nas tchórzami, co podkopałoby wszelką karność, a nawet mogłoby spowodować popsucie maszyn... Odwołać się do policyi i wymienić tych, na których mamy całkiem uzasadnione podejrzenia, także nie można... Nazwanoby nas szpiegami... Bronić się, nie wiem, czy potrafimy, gdyż panowie ci lubią napadać i mordować znienacka... Więc niby co nam pozostaje?...

— Możeby porozmawiać z najpoważniejszymi robotnikami, wreszcie... z tymi, których panowie podejrzewacie?... — wtrącił Świrski.

— To na nic!... Uczciwi robotnicy sami lękają się warchołów, sami otrzymują wyroki śmierci... A z tamtymi... Proszę pana, ja z nimi gadałem... choćby z naszym praktykantem, którego poznał pan w czasie wigilii... I wie pan, jakie odniosłem wrażenie, nietylko ja, ale my



http://rcin.org.pl

wszyscy, »lokaje kapitalizmu«, jak nas nazywają...

Odetchnął głęboko i po namyśle kończył:

— Mamy wrażenie, że poza naszymi warchołami i ewentualnymi zabójcami stoi ktoś inny, komu bardzo zależy na tem, ażeby w kraju upadł przemysł, rolnictwo, wszelki dobrobyt i ażeby stan wojenny trwał Bóg wie jak długo.

— Może wyższe władze fabryczne źle traktowały robotników, nie mówiąc już o wyzysku...— zapytał Świrski.

— Proszę pana — ciągnął sekretarz — zarząd fabryki, nietylko u nas, dba o interesa akcyonaryuszów, to samo jest wszędzie... Bywało źle... działy się niegodziwości... temu nie będę przeczył... Ale kiedy robotnicy pierwszy raz urządzili strajk, kiedy postawili żądania, aby im powiększyć płacę, zmniejszyć liczbę godzin pracy, urządzić łaźnię i ochronkę, opiekę na wypadek choroby, grzecznie traktować ich i tak dalej, i tak dalej, wszyscy — począwszy od dyrektora, skończywszy na obecnym tu słudze pańskim — przyznaliśmy im racyę i poparliśmy ich w radzie zarządzającej... Więcej panu powiem; w sekrecie zacieraliśmy ręce i szeptaliśmy między sobą: chwała Bogu, że nareszcie i w fabrykach skończą się obrzydliwe, pańszczyźniane stosunki.

— Tak, ruch ten zapowiadał się bardzo dobrze — wtrącił Świrski.

— A ciągnie się jak najgorzej — pochwycił

http://rcin.org.pl

sekretarz. — Bardzo prędko przekonaliśmy się, że robotnikom, a raczej menerom, nie chodzi o poprawę stosunków, ale o wywołanie zamętu... My pierwsze warunki robotników przyjęliśmy i gotowi byliśmy je wykonać, ale oni nietylko zaczęli stawiać coraz nowe, coraz niemożliwsze żądania, ale jeszcze pracowali niedbale, psuli materyały, kradli, zmuszali trzymać w fabrykach takie jednostki, które kwalifikują się w najlepszym razie do wyrzucenia, w najgorszym do kryminału... A gdy oświadczyliśmy, że dalszych ustępstw fabryka nie może robić, skazano nas na śmierć...

— Cóż oni naprzykład panu zarzucają?... — spytał Świrski.

— Nigdy pan nie uwierzy!... — zawołał sekretarz. — Mam zginąć za to, że kiedyś cieszyłem się zaufaniem robotników, że zachęcałem ich do uczenia się, do zawiązywania stowarzyszeń... że wreszcie w ostatnich czasach wyjaśniałem robotnikom niepraktyczność ich postępowania... A prawda!... parę razy odezwałem się, że nie polskie to ręce i nie polskie serca kierują ruchem, który może skończyć się ogólną nędzą i upadkiem naszego narodu na korzyść niewiadomo czyją...

Świrski zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju.

— Nie, panie... — rzekł. — Oni mogą pisać wyroki, przylepiać je choćby na parkanach, mogą



http://rcin.org.pl

niepokoić pana, ale zamordować... nie!... Najpodlejszy zbójca, jeżeli nie jest waryatem, musi miać jakiś powód do zabójstwa, a oni przecież nie mają żadnego... żadnego!...

— A gdyby kto wynajął mordercę?

— Zanadto czarno patrzy pan na świat — mówił Kazimierz. — Wreszcie na tego rodzaju wypadek każdy jest narażony, więc nosimy broń...

— Nosić broń... takie jest ostatnie pańskie słowo?... — zapytał sekretarz.

Świrski wzruszył ramionami.

— Proszę pana — mówił — radzić nie śmiem, ale powiem, w jaki sposób ja sam postępuję z ludźmi, tak zwanymi prostymi... Przedewszystkiem — nic nie biorę darmo, staram się każdą usługę należycie wynagrodzić, może nawet zanadto należycie... Powtóre — jestem z nimi grzeczny... Mówię im *wy*, albo *panie*... kłaniam się... witam pierwszy... podaję rękę... To też tak zwani proletaryusze lubią mnie i ufają, radzą się, niejednokrotnie ostrzegają... A spotykałem już i takich, którzy wręcz mówili, że, gdybym chciał, życie za mnie oddadzą...

— I pan im wierzy?...

— Rozumie się, że poświęcenia od nikogo nie przyjąłbym, ale... czuję się między nimi bezpiecznym i czułbym się bezpiecznym nawet wówczas, gdyby jaki z pod ciemnej gwiazdy komitet przysłał mi wyrok śmierci...

http://rcin.org.pl

— Dziękuję panu — rzekł sekretarz. Popatrzył mu w oczy i mocno uścisnął za rękę. — Sądzi pan, że nie mam się czego obawiać?...

— Jestem głęboko przekonany — odpowiedział Świrski.

Gdy sekretarz zeszedł na dół, zaciekawiona pani Linowska spytała go, o czem tak długo rozmawiali. Nie chcąc jej niepokoić, sekretarz zamilczał o głównym przedmiocie rozmowy, lecz odpowiedział:

— Pani dobrodziejko!... skończyłem czterdzieści pięć lat, dużo kręciłem się między ludźmi, kształciłem się zagranicą... Słowem, posiadam niejakie doświadczezie i trochę znajomości charakterów... Pomimo to, gdyby mi kiedy powiedziano, że będę spotykał taką młodzież, jaką widuję dzisiaj, roześmiałbym mu się w oczy.

— Mówi pan o Świrskim?... — wtrąciła. — I ja nie dziwię się, że przewrócił w głowie memu Władkowi...

— Osiemnastoletni chłopak — prawił sekretarz, wytrząsając ręką — osiemnastoletni, a daję pani słowo, że niekiedy odzywa się, jak dojrzały człowiek, jak polityk... Wprost mówię: nie wiem, co o tem myśleć i skąd tego rodzaju młodzież wzięła się u nas?... Proszę pani, to już nawet nie młodzież, to ludzie dojrzali, wytrawni, skończeni... Mnie poprostu wstyd, że muszę coś podobnego przyznawać...

— Ja już i nie dziwię się — odrzekła

http://rcin.org.pl

Linowska. — Przecież powiedział mój Władek, że dla ich pokolenia każdy miesiąc znaczy tyle, co rok... Koniec świata!

— Nie, pani... To tylko dowód, że my, starsi, jesteśmy bardzo zacofani — rzekł sekretarz.

— Albo że młodzi zanadto prędko dojrzeli... — odparła Linowska, smutnie potrząsając głową.

## XI.

Pewnego dnia, już po Nowym Roku, panna Jadwiga zaproponowała Świrskiemu spacer do lasu. Z początku szli drogą, gdzie po jednej stronie rosły wysokie jodły, po drugiej gęste świerki, zasypane śniegiem. Potem boczną ścieżką wydostali się na obszerną polanę, kędy nad zamarzłym strumieniem pochylały się wierzby, okryte niby białem listowiem. Wyglądało to, jak królestwo pustki, do której, z ukrytych między drzewami ścieżek, zagląda cisza.

— Brrr!... jakże tu smutno... — odezwał się Kazimierz.

— Doprawdy?... — spytała panna Jadwiga. — W lecie jest to najweselsza polanka... Ileż razy zbieraliśmy się tutaj na majówki, lipcówki, a nawet wrześniówki... Bywały tu, jak je nazywamy, pensyonarki pani Linowskiej, a także kawalerowie z Hut Żelaznych... Tu jadało się zebrane poziomki, tu piekliśmy rydze i kartofle...

http://rcin.org.pl

— Czy... i pan Klemens bywał na tych majówkach?

— Parę razy był. Ale on wolał ze starszymi panami oglądać drzewa, aniżeli, jak mówił pan Linowski, »bzikować« z młodzieżą. I pan zapewne wolałby towarzystwo poważniejsze?...

— O ile pani nie byłoby w mniej poważnem... — odpowiedział Świrski i, pomimo mrozu, zarumienił się.

— Proszę!... »Pan naczelnik« zaczyna bawić się w komplimenty?...

— Choćbym chciał, nie potrafiłbym... Ale jestem szczery, więc powiem, że nieraz żałowałem, iż znam panią tak niedawno. A nadewszystko żal mi owych wesołych majówek na tej smutnej polance.

— Smutnej!... — powtórzyła Jadwiga. — Nawet zdaje mi się, że jeszcze w tej chwili słyszę śmiechy i krzyki... Niech się pan nie obrazi, ale czasami myślę, że pan rzadko bywa w towarzystwie młodych panien...

— Prawie nigdy... A jeżeli znajdę się między pannami, jestem tak niezgrabny, że wszyscy ze mnie żartują...

— Z pana?... Nawet nie wyobrażam sobie... osoby, jako tako wychowanej, która nie podziwiałaby pana...

— Ostrożnie! — zawołał Świrski, chwytając za rękę pannę Jadwigę, która, pośliznąwszy się, omało nie upadła.

http://rcin.org.pl

— Dziękuję — rzekła, otrzepując śnieg z rękawów. — Jest pan dła mnie zanadto dobry...

— Jestem tylko wdzięczny. Pamięta pani chwilkę, kiedy to Dębowski zapytał, czy mam wyjechać do Galicyi, czy zostać?...

— No i cóż, powiedziałam, że powinien pan zostać... — odparła zmieszana Jadwiga.

— I wybiegła pani z pokoju... Tej łzy nie zapomnę pani...

— Tylko jednej?... — przerwała mu Jadwiga. — A ja rozpłakałam się wtedy, jak dziecko, bo przyszedł mi na myśl nieszczęśliwy Jędrzejczak... Boże, cóż to za bohater!... zginął, ażeby nie zdradzić waszych zebrań... I wobec ofiary Jędrzejczaka ten staruch Dębowski miał odwagę zachęcać pana do opuszczenia prześladowanych kolegów...

— Trudził się niepotrzebnie...

— Ja myślę!... — szepnęła Jadwiga. A po chwilowem milczeniu odezwała się głośno:

— Nie uwierzy pan, jak często łamałam głowę nad pytaniem: dlaczego tyle młodzieży inteligentnej przystąpiło do rewolucyi...

— Której niema!... jak twierdzi pan Dębowski...

— Ach, on! Mojem zdaniem młodzież ucząca się powinna była przedewszystkiem zająć się nauczaniem ludu.

— Byli tacy, którzy uczyli, a musieli być i tacy, dla których karabin wydaje się dziś już

http://rcin.org.pl

stosowniejszem narzędziem wolności, aniżeli książka... Ja bo już wychowywałem się na sołdata, ale niektórych z moich kolegów spisek rewolucyjny uchronił od wielkiej zbrodni, jeżeli nie podłości...

— Nie rozumiem!... — wtrąciła Jadwiga, ze zdziwieniem patrząc mu w oczy.

— Zaraz pani zrozumie — ciągnął Świrski. — Aż zimno mi się robi, kiedy mam mówić o podobnych szkaradzieństwach. W gimnazyum był inspektor, który ze szczególną nienawiścią prześladował Polaków. Podsłuchiwał polskich rozmów, zabierał polskie książki, język polski nazywał świńskim, a tak zwanych przez siebie »buntowników« pakował do kozy, psuł im sprawowania, zatrzymywał promocye, nawet wypędzał ze szkoły. Wszystko to uwieńczył zorganizowaniem szpiegostwa do takiego stopnia, że koledzy przestali ufać kolegom. Kształcił nas, jak pani widzi, na zdecydowanych spiskowców...

Teraz będę zwięzłym w opowiadaniu... Szanowny inspektor doprowadził młodzież do tego, że kilku desperatów utworzyło sprzysiężenie... A wie pani, w jakim celu?...

— Ażeby go zabić...

— Nie... Ażeby zabić — jego córkę, którą bardzo kochał...

— Jezus Marya!... — szepnęła panna Jadwiga.

http://rcin.org.pl

— Widzi pani, jak nas wykształcono w moralności... — ciągnął Świrski.

— I cóż się stało?...

— Na szczęście dowiedział się o tem pewien student uniwersytetu, Rosyanin, który spiskowcom powiedział krótko: »Głupcy jesteście!... Jeżeli zabijecie córkę, inspektor dostanie order, awans i pocieszy się prędko... Jeżeli zabijecie jego samego, na jego miejsce znajdzie się inny, jeszcze gorszy szubrawiec... Więc lepiej pomyślcie o obaleniu całego systemu, który takich ludzi hoduje...« No i w ten sposób wielka liczba naszych wciągnęła się do spisku, przeciw któremu wystąpił nasz związek: Rycerzy Wolności... My także chcemy walczyć, ale otwarcie i uczciwie... nie bombą albo brauningiem... nie znienacka...

— Ale czy taka walka jest dziś możliwa?... — spytała Jadwiga.

— Ja do innej nie będę należał... — odparł stanowczo Świrski.

Wrócili na gościniec. Gdy przeszli paręset kroków, usłyszeli szlochanie, a z pod krzaka jałowcu wypełznął do nich mały, bardzo mizerny i obdarty chłopiec, który z płaczem zaczął prosić ich o cośkolwiek do zjedzenia.

— Choćby skóreczkę chleba... choć łyżkę ciepłej wody!... — jęczał.

Panna Jadwiga kazała mu iść razem z nimi na Leśniczówkę. W drodze opowiedział, że po-

http://rcin.org.pl

chodzi z osady Głuskowa, że ojca wzięto do więzienia, matka chora, dzieci troje zostało w domu, a on idzie do Żelaznych Hut szukać pracy.

— Myślałem, że zmarznę — szlochał — ale Pan Bóg zesłał państwa, i może nie zginę...

— Gdybyśmy mieli inną gospodarkę, nie trafiałyby się takie rzeczy — szepnął Świrski.

— Dzieci, starcy, kalecy, którzy przez całe życie pracowali dla społeczeństwa, marnieją z nędzy — dodała Jadwiga. — Chwali pan wojsko, a mnie się zdaje, że, gdyby nie było wojsk, nie byłoby i nędzy, na jaką patrzymy bezradni...

Świrski milczał. Gdy doszli do Leśniczówki, Jadwiga powierzyła zbiedzonego chłopaka kucharce, nakazując go przekarmić, a sama udała się do Linowskiej z prośbą o jaką bieliznę. W godzinę mały tułacz, imieniem Stasiek, doskonale najadł się, został umyty, jako tako przyodziany i otrzymał wcale niezłe buty. Pozwolono mu przenocować, a Świrski dał mu rubla. Stasiek rozpływał się w podziękowaniach i błogosławieństwach, nie gorzej od fachowych żebraków.

Był to dzień pełen wypadków. Wieczorem przyjechał podleśny pan Wilczek, mieszkający w głębi lasów, i opowiedział, że na Nowy Rok miał u siebie niezwykłych gości. Odwiedzili go panowie z »oddziału«...

Obie panie i Świrski słuchali z wytężoną uwagą.

http://rcin.org.pl

— Było tak — opowiadał Wilczek. — Posłałem Frankę po Józka do stajni, czekam, niema ani Józka, ani Franki. Myślę: dobrze bestye zaczynają Nowy Rok!... i wychodzę przed dom. A tu, niby z pod ziemi, staje ogromny mężczyzna z rewolwerem w garści i mówi: dzień dobry panu podleśnemu!... Przyszliśmy powinszować, a pan podleśny za to ugości nas... Ale co mam dużo gadać; za pierwszym pokazało się trzech innych, same młode chłopaki; siedzieli u mnie cały dzień, jedli... pili... Prawda, że nie wzięli mi ani grosza, a nawet broń zostawili.

— Rozmawiał pan z nimi?... — spytała Linowska.

— Jak teraz z państwem. Opowiadali, że należą do wielkiego oddziału rewolucyjnego i że lada dzień... lada tydzień pójdą na gubernię, a stamtąd na fortecę... Już — mówili — większa część wojska jest za nimi, a w całej Rosyi rewolucya aż huczy... Palą dwory... zabierają szlachcie grunty...

— Piękna rewolucya! — wtrącił Świrski. — Mówi pan, że pierwszy, który się pokazał, był ogromnym mężczyzną... Nie pamięta pan: jak wyglądał z twarzy?...

— Oj... oj... jeszcze widzę go przed sobą. Twarz pełna, czerstwa, rumiana, zarost czarny, głos tęgi, mowa ordynarna, choć ubrany był, jak szlachcic...

http://rcin.org.pl

»Ten wygląda mi na Zająca...« — pomyślał Kazimierz. I dodał głośno:

— Czy i inne fizyognomie pamięta pan?...

— Bagatela!... zaraz państwu i o nich opowiem. Był jeden niewysoki, włosów kasztanowatych, z szafirowemi oczyma... ogromny zapaleniec... Nic, tylko biłby się!...

»Lisowski...« myślał Kazimierz.

— Drugi był trochę wyższy, szczupły, szatyn... Ten zachowywał się najstateczniej, i zauważyłem, przymykał jedno oko...

Kazimierz zerwał się z krzesełka... Chciał coś powiedzieć, lecz pohamował się nie bez wysiłku i tylko pomyślał:

»Albo to był Chrzanowski, albo... chyba rozum tracę...«

Linowska, nie podnosząc oczu, uważnie przypatrywała się Świrskiemu. Ale Wilczek nie spostrzegł wzruszenia swego słuchacza i prawił dalej:

— Najmniej... to jest wcale nie podobał mi się trzeci: wielki drab, z twarzą bladą, nalaną, ponuremi oczyma. Chwilami wydawał się ociężałym, a chwilami był gibki, jak kot... Tego migdałka, powiem państwu dobrodziejstwu, nie chciałbym sam na sam spotkać w lesie...

Na twarz Świrskiego wystąpiły mocne rumieńce. Prawie był pewien, że ów trzeci to — Starka, że wszyscy trzej byli tymi kolegami, o których troszczył się i dla których został

http://rcin.org.pl

w kraju. A z drugiej znowu strony przeraziły go obserwatorskie zdolności Wilczka.

»Ile ten człowiek nieszczęścia mógłby narobić, gdyby chciał...« pomyślał Kazimierz. Ale na łagodnej twarzy podleśnego prawie było napisane, że — on nikomu źle nie zrobi.

Podano herbatę, a jednocześnie okazya z Hut Żelaznych przyniosła listy od starego Linowskiego i Władka. Jeden z listów był adresowany do Świrskiego.

»Mój najmilszy — pisał Władek — jeszcze raz proszę, błagam cię, przyjedź do Grudy choćby na kilka godzin. Drogi są zupełnie bezpieczne w tej okolicy. Nasłuchałbyś się tu... nasłuchał!... Powiem Ci dwa słowa: Galicyanie są pewni, że cały ruch rewolucyjny i strajkowy u nas wywołują pruscy ajenci, ażeby albo zagarnąć nasz kraj pod niemieckie panowanie, albo przynajmniej zrujnować nas ekonomicznie i politycznie... Resztę sam sobie dopowiedz...«

Po wyjeździe Wilczka panna Jadwiga poszła do kuchni, skąd niebawem przybiegła zmieszana.

— Czy i do nas wpadł jaki oddział?... — zapytał Świrski z uśmiechem.

— A czy pan wie, że ten niby biedny chłopiec, ten Stasiek, uciekł?...

— I może ukradł co... — dorzucił Świrski.

— Gorzej, bo wypytywał naszych parobków: ilu jest mężczyzn w domu?... ile broni?... czy

http://rcin.org.pl

u nas nocują gajowi?... Ale co najgorsze — szeptała Jadwiga że nasza męska służba nic nam o tem nie wspomniała i — może nawet ułatwiła ucieczkę temu nicponiowi... który... niech pan tylko słucha... który częstował ich wódką!... Ten biedny żebrak... ten przygarnięty przez nas głodomór miał ze sobą wódkę!... Szczerze mówiąc, obawiam się, czy to nie był szpieg jakich zbójców i czy nas nie napadną?... To samo myśli i Rózia...

— W takim razie... może pozwolą mi panie... nocować w kancelaryi pana Linowskiego?... — rzekł zarumieniony Świrski.

Panna Jadwiga udała się na naradę do Linowskiej i wkrótce powróciła, donosząc Kazimierzowi, iż panie zgadzają się na jego projekt. Na dobranoc powiedziała mu kompliment:

— Wie pan, pan jest młody, a przecież my obie z panią Linowską czujemy się bezpieczniejszemi, kiedy pan jest na dole... Pan nie opuściłby nas...

— Wolałbym zginąć, aniżeli w niebezpieczeństwie opuścić panią... i panią Linowską, której mam obowiązek zastąpić syna — dodał szybko.

Zanim położył się spać, Świrski poszedł do kuchni, w celu dowiedzenia się czegoś o ucieczce Staśka; ale parobcy milczeli, a nawet ukradkiem wymieniali między sobą znaczące spojrzenia. Kandydat na wodza opuścił ich, gniewny; jasno bowiem w tej chwili zrozumiał, że — ani uprzej-

http://rcin.org.pl

mość, ani hojna kolenda nie zjednały mu zaufania służby. Oczywiście, musiały zajść od niedawna jakieś zmiany w ich usposobieniu. Zarówno bowiem Jadwiga, jak i pani Linowska, zgodnie twierdziły, że dotychczas tak dziewczęta, jak parobcy, w Leśniczówce odznaczali się nietylko uczciwością, lecz i szczerem przywiązaniem do swoich chlebodawców.

»Nie krzywdzili ich Linowscy — myślał Kazimierz — traktowali, niby członków rodziny, leczyli, nawet uczyli i pomimo wszystko — nie mogą rachować na ich wierność!...«

Wróciwszy do kancelaryi, gdzie posłano mu na obszernej kanapie, Świrski opatrzył brauning i wraz z kilkoma zapasowymi magazynami włożył go pod poduszkę. Na myśl, że bandyci mogą ich napaść, uczuł przyjemny dreszczyk; nareszcie raz znajdzie się wobec istotnego niebezpieczeństwa i posłyszy świst kul, wystrzelonych nie na żarty!... A gdyby nawet zginął, broniąc kobiet, gdyby zginął w obecności panny Jadwigi, czy nie byłaby to piękna śmierć?... Hej, śmierć! straszna dla tych, którzy się jej boją... Niech no przyjdzie, niech spojrzy mu w oczy, a wtedy zobaczymy, kto się ulęknie.

Zgasił światło. Gdzieś, w stronie wsi, zaczął ujadać jeden pies... drugi... Później głębokimi basami odezwały się psy podwórzowe... Na drodze słychać niby tętent koni, potem szelest kroków na dziedzińcu, potem niby ciche pukanie

http://rcin.org.pl

do drzwi... Świrski uniósł głowę nad poduszką, w ręku ścisnął brauning i czekał, czekał... pełen radosnego niepokoju...

»Gdybym trafił dwu albo trzech, reszta ucieknie — myślał. — A mogę trafić, bo nie będę strzelał na ślepo... A, a, a, niech żyje wojna... niech żyją bandyci!...«

I wśród tych przyjemnie drażniących wzruszeń — zasnął twardo, jak gdyby zgasł...

Gdy obudził się, był już wielki ranek, i kawa czekała na niego. Około południa przyszedł gajowy Łochowski i zameldował, że opowiadali mu Żydkowie, jakoby stało się coś niedobrego w Żelaznych Hutach. Po obiedzie zaś przyjechał chłopak z Żelaznych Hut i oddał Świrskiemu list, w którym kasyer fabryki nakreślił te słowa:

»Sekretarz zabity — piec wielki zgaszony — strajk...«

Kazimierz wybiegł na dziedziniec i oburącz schwycił za ramiona posłańca.

— Co się u was dzieje?... — spytał zdławionym głosem.

— Nic, proszę pana... — odpowiedział wylękniony chłopak.

— Czy prawda, że zabili sekretarza?...

— Ści prowda... Ale to było zapowiedziane. I piec zgasiły, bo też było zapowiedziane.

Świrski stał bez ruchu; chwilami zdawało mu się, że z głowy uciekły mu wszystkie myśli, to znowu czuł taki napływ pytań, obrazów,



http://rcin.org.pl

przewidywań, że zaczął obawiać się o swój rozum.

Sekretarz... sekretarz nie żyje!... Ten, który zachęcał robotników do nauki i zakładania stowarzyszeń, ten, który cieszył się ich zaufaniem... Ten sam, któremu on, Świrski, prawie zaręczył bezpieczeństwo!..

A jeżeli taki człowiek został zabity, więc kto dzisiaj będzie pewien życia? A jeżeli wszyscy stracą poczucie pewności, co stanie się z narodem?

Świrski czytał kiedyś, że jednem z najbardziej demoralizujących zjawisk natury jest trzęsienie ziemi. Okropną ma być owa utrata wiary w stałość gruntu, po którym chodzimy, na którym mieszkamy, który dotychczas wydawał się czemś najstalszem i najpewniejszem!... Podobnych uczuć doznawał on sam w tej chwili. I dotychczas wiedział i rozumiał, że w społeczeństwie można być obdartym, skrzywdzonym, zabitym, jak na twardej ziemi można przez nieuwagę potknąć się o kamień, albo wpaść w zagłębienie... Ale poza tego rodzaju przygodami gmach społeczny wydawał mu się czemś mocnem i trwałem, czemś zupełnie bezpiecznem, a ludzie, żyjący w społeczeństwie, istotami, godnemi zaufania. I dopiero niemożliwe, nieprawdopodobne, przynajmniej dla niego, zamordowanie sekretarza wywołało w Świrskim efekt wybuchu miny, która wstrząsnęła jego

http://rcin.org.pl

wiarę w społeczeństwo i coś poprzewracała, a nawet zupełnie zniszczyła w jego duszy.

Co mianowicie?... jeszcze nie zdawał sobie sprawy.

Poczuł zimno i spostrzegł, że stoi na dziedzińcu w kurtce, bez czapki. Zarazem przypomniał sobie, że trzeba w jakiś sposób o nieszczęściu zawiadomić kobiety. Ale jak tu powiedzieć Linowskiej, że człowiek, którego od kilku lat widywała, znała i lubiła, który przed dziesięcioma dniami był u niej na wigilii, a onegdaj rozmawiał z nią, że człowiek ten nie żyje; został bowiem zamordowany za wyrokiem jakiegoś politycznego czy zbójeckiego komitetu!...

Świrski nie poszedł do kancelaryi, sąsiadującej z pokojem Linowskiej, lecz na górę, gdzie poprzednio sypiał, a obecnie w dzień mieszkał. Panna Jadwiga zauważyła przez okno jego rozmowę z posłańcem z Hut; coś ją tknęło, więc pobiegła za Kazimierzem. Spotkali się w sieni. Świrski był tak zmieniony, że Jadwiga nie miała odwagi zadać mu pytania.

»Może z domu miał jaką niedobrą wiadomość — pomyślała — a może... z Grudy?«

Więc milczała i tylko patrzyła mu w oczy przerażona.

— Sekretarz zabity!... — szepnął Kazimierz — w Hutach strajk...

— Sekre... sekretarz?... — odpowiedziała tym samym tonem. — Ależ on był u nas...



http://rcin.org.pl

— Za—bi—ty!... — powtórzył Świrski.

Jadwiga, drżąc, schwyciła go za ręce.

— Ależ on był u nas... kiedyż to?... chyba onegdaj?...

— W jaki sposób zawiadomić o tem panią Linowską?... — spytał Kazimierz.

Jadwiga zamyśliła się, mocno ścisnęła rękami czoło i rzekła:

— Czy ja wiem?... Mnie się zdaje, że najwłaściwiej zawiadomić ją poprostu. Jeżeli kto, to z pewnością ona nie ma serca kruchego...

— Więc niech pani to zrobi... Ja nie mam odwagi i... uciekam na górę... A oto list kasyera...

Wcisnął Jadwidze kartkę w ręku i wbiegł na schody, nie oglądając się za siebie. W pokoju rzucił się na siennik, pokryty derką, i przez pewien czas starał się o niczem nie myśleć, czując, że myślenie czyni mu prawie ból fizyczny... Tak jest, w jego duszy zdarzyło się coś nakształt trzęsienia ziemi, które pochłonęło mnóstwo pojęć, mnóstwo wierzeń, mnóstwo nadziei, a przedewszystkiem... owe wielkie, piękne wojska, które wyhodował w swoich szczęśliwych snach na jawie!...

Już niema dzielnej piechoty w szaraczkowych bluzach, z żółtymi i amarantowymi epoletami, we francuskich czapkach, z wybornymi karabinami szybkostrzelnymi... Niema armat na szafirowych lawetach, ani orkiestr, które wygrywały:

http://rcin.org.pl

»Do broni, ludy!...« Niema nic, ponieważ w duszy Świrskiego w proch rozsypała się wiara w możliwość podobnych zdarzeń...

Leżąc, przymknął oczy i — nagle zdało mu się, że przy nim stanął ktoś, niby Dębowski... Kazimierz był bardzo odważny, ale tym razem ścisnął mocniej powieki; pomyślał bowiem, że, jeżeli naprawdę zobaczy kogoś w biały dzień i w pokoju, który powinien być pustym, to znaczy, że ma halucynacye, że wpadł w obłęd...

Tymczasem ów ktoś, bezkolorowy i bezkształtny, mówił głosem jednostajnym i nudnym:

»Jeżeli pani Linowska nie może rachować na swoich parobków, z którymi zżyła się od kilku lat, jakim sposobem twoi oficerowie będą mogli ufać nieznanym sobie żołnierzom?... Jeżeli służba ukrywa przed Linowską odwiedziny i namowy agitatorów, kto cię zapewni, że wasi żołnierze nie zechcą ukrywać w obozie zdrajców i obcych szpiegów?... Jeżeli robotnicy fabryczni zabijają uczciwych urzędników, kto zaręczy, że wasi żołnierze nie będą zabijali swoich oficerów?... co wtedy stanie się z wojskiem, które zamierzasz stworzyć: czy potrafi ono wygrywać bitwy i czy nie zamieni się w armię bandytów, którzy będą ograbiać i palić dwory, kraść drzewa z lasu i zabierać trzyrublówki biedakom gajowym?...

»A w takim razie ty, który chcesz sformować

http://rcin.org.pl

podobną armię, czy nie narażasz się na przekleństwa całego narodu i wieczną hańbę?... Bo zaprawdę, jeszcze nie było człowieka, który zebrałby, uzbroił i wymusztrował gromadę zbójów, ażeby wypuścić ich na własną ojczyznę!...«

— Ja przecież nie chciałem zbójów... — jęknął Świrski. — Ja formowałem zastęp Rycerzy Wolności, którzy dla kraju wywalczyliby swobodę i okryli go chwałą nieśmiertelną!... Chciałem stworzyć bohaterów, wobec których zbladłoby męstwo japońskie...

»Nie daje się byle komu oręża do rąk... Nie uczy się tajemnic sztuki wojennej ludzi, którzy jutro mogą posłużyć się nią do własnych celów: do zdobycia zarobku, posłuszeństwa, albo do nasycenia zemsty...«

Świrski zerwał się z pościeli. W pokoju nie było nikogo; za to w duszy młodego chłopca spełnił się wielki przewrót. Świrski czuł, że od tej chwili już nie potrafi marzyć o wojsku i że cała jego dotychczasowa działalność, niby polityczna, stanie się dla niego źródłem wyrzutów sumienia...

— Co ja zrobiłem?... co ja zrobiłem!... — szeptał z rozpaczą. — Brydziński i Jędrzejczak marnie zginęli... Starka, Chrzanowski i Lisowski tułają się pod grozą więzienia, może i stryczka... Linowski ciężko zachorował... A cóż mówić o tych rzemieślnikach, którzy razem ze mną byli

http://rcin.org.pl

w Słomiankach, a dziś może już są bandytami?... Przekleństwo nademną...

Nie myślał: co się z nim samym stanie? jaka oczekuje go przyszłość?... Czuł tylko dokoła siebie ciemność, a w sobie brak wszelkiej nadziei i poczynał zazdrościć Władkowi, że tak łatwo doszedł do nowych poglądów i zamiarów.

— Naturalnie, że on będzie się uczył, a ja?...

Szczęściem, zmęczony, zasnął na parę godzin, i to go uspokoiło.

Nad wieczorem przyjechał pan Klemens. Krótko przywitał się z Linowską i panną Jadwigą, a Świrskiego prosił o chwilę rozmowy przed herbatą. Usiedli w kancelaryi, z obu stron czarnego biurka. Przybyszowi jakoś trudno było zacząć; Świrski machinalnie przypatrywał mu się i, myśląc o czem innem, w przerwach zauważył, że jednak pan Klemens jest przystojny. Ma wprawdzie łysinę, ale niewielką, a obok tego regularne rysy, zgrabne wąsiki i niebieskie, chłodne oczy.

»Ożeni się z Jadwigą!...« — rzekł sobie Świrski i poczuł tępy ból serca.

— W Świerkach strajk... — zaczął zniżonym głosem pan Klemens.

— Doprawdy?... — odpowiedział Kazimierz tonem tak obojętnym, że jego współrozmówca zdziwił się.

— Strajk bardzo ostry — ciągnął pan Kle-

http://rcin.org.pl

mens. — Parobcy nie młócą, nie karmią i nie poją bydła... Spalono dwie sterty pszenicy...

— Aj!... — syknął Kazimierz. — Pojadę tam...

— Nie śmiałbym... to jest... nie życzę tam jechać... W każdym folwarku są kozacy i strażnicy...

— A oni co tam robią?...

— Karmią bydło... pilnują...

— Przecież oni są po to, ażeby mnie aresztować?... — rzekł głosem cokolwiek podniesionym.

— Nie. Ich wezwał pan Świrski...

— Mój stryj?... Dlaczego?...

— Pan Świrski postanowił, co nawet robi przykre wrażenie na sąsiadach, iż swojej służbie da warunki lepsze, aniżeli żądają, ale... pierwej musi przekonać ich, że on jest panem, a oni muszą go słuchać... A ponieważ zagrożono mu śmiercią, więc...

— Sprowadził strażników i kozaków?... — wtrącił Kazimierz. — Wolałbym, ażeby spór załatwił się w inny sposób...

— Ma pan słuszność — rzekł gość. — Ci kozacy — nie są potrzebni. Ja jutro będę w Świerkach, bo tam jest do sprzedania kocieł... Gdyby pan miał interes...

Kazimierz zerwał się z krzesełka.

— Może pan będzie tak dobrym i weźmie list?... — zapytał.

— Z największą chęcią.

http://rcin.org.pl

Pan Klemens odszedł do Linowskiej, a Świrski napisał do stryja:

»Kochany stryju! Przedewszystkiem ośmielam się błagać, ażeby stryj oświadczył służbie o swoich względem niej zamiarach, które są praktyczne i, jak zawsze, szlachetne, a następnie, ażeby kochany stryj pozbył się kozaków, przez których nawet nie mogę wpaść do Świerków, choć bardzo pragnąłbym tego. Druga prośba: najukochańszy!... proszę o pieniądze... Ale o dużo pieniędzy, o kilka tysięcy rubli... Zdaje się bowiem, iż będę musiał na pewien czas wyjechać z kraju, i to nie sam!... Całuję ręce kochanego stryja i polecam się jego łaskom.

*Kazio*«.

Gdy w czasie kolacyi Świrski oddał list, pan Klemens, namyśliwszy się, rzekł:

— Jutro będę w Świerkach... jeżeli i mnie kto nie zabije, jak poczciwego sekretarza... A pojutrze spodziewam się doręczyć panu odpowiedź...

— Bardzo jej potrzebuję... Niech pan powie to stryjowi...

Tę noc i dzień następny Świrski przepędził prawie w gorączce. Był pewien, że stryj przyśle ze trzy... cztery... tysiące rubli, które umożliwią mu wykonanie całkiem już nowych zamiarów.

Postanowił porozumieć się z oddziałem Za-

http://rcin.org.pl

jąca czy Zajączkowskiego, gdyż był prawie pewien, że tam znajdują się koledzy-tułacze, i jeszcze postanowił wezwać wszystkich, ażeby na pewien czas opuścili kraj, na co on dostarczy pieniędzy. Kto wyjedzie, tego Świrski będzie wspierał do czasu znalezienia pracy; kto nie chce — sam sobie winę przypisze... Po wykonaniu czego i Kazimierz miał przenieść się do Galicyi, a może i gdzieś dalej zagranicę.

— Wolę mój majątek obrócić na stypendya dla studentów i rzemieślników, aniżeli na tworzenie oddziałów niby wojskowych, które tylko nieszczęście przynoszą narodowi... — mówił do siebie.

Po tej uwadze — odetchnął. W ciągu doby przyjedzie pan Klemens, przywiezie od stryja pieniądze, a przynajmniej wskaże Świrskiemu: dokąd ma zgłosić się po nie?... W ciągu kilku dni dowie się o partyi Zająca czy Zajączkowskiego i porozumie się z kolegami. A za tydzień... za tydzień będzie zupełnie szczęśliwy!... Opuści fałszywą drogę, na którą wszedł nie wiadomo jakim sposobem, i sprowadzi z niej kolegów, których tam wciągnął...

Nagle odezwał się w nim protest.

— »Czy naprawdę ja ich wciągnąłem?... — pomyślał. — Nie jestem przecież starszy od nich i nie mogę powiedzieć, ażeby zawsze mnie słuchali... Umieli oni, kochankowie, oponować i jak jeszcze!... A taki Starka, ile on nawygadywał mi

http://rcin.org.pl

impertynencyi?... A Chrzanowski i Lisowski, wprawdzie życzliwiej traktowali mnie, niż Starka, ale bynajmniej nie pozwoliliby się wodzić za nos...«

Pod wpływem tych medytacyi uspokajał się z godziny na godzinę. Jego ulubione marzenia, aby stworzyć armię i na jej czele odnosić jakieś niebywałe zwycięstwa, bladły, rozpraszały się. Natomiast coraz żywiej zajmowały go plany odnalezienia kolegów i wysłania ich z kraju. Wyobrażał sobie, jak ich będzie szukać po lasach, w jaki sposób będzie ich przekonywał i jak pod wpływem jego wymowy nawet sam Zajączkowski odrzeknie się swego rzemiosła!

## XII.

Tymczasem w terminie oznaczonym pan Klemens — nie przyjechał do Leśniczówki, a w sercu Kazimierzu drgnął niepokój. Może pan Klemens nie był w Świerkach?... może zgubił list?... a może napadli go bandyci i zabrali pieniądze?... A może stryj?...

— »Ale cóż znowu!...« — rzekł do siebie. — Stryj może chwilowo nie mieć pieniędzy... może go zwymyślać listownie za wmieszanie się do podobnej awantury... Ale żeby stryj odmówił mu pieniędzy wówczas, gdy on dla bezpieczeństwa

http://rcin.org.pl

musi wyjechać zagranicę, to Kazimierzowi nigdy nie przyszłoby do głowy.

Dopiero trzeciego dnia w południe przyjechał pan Klemens z miną uroczystą. Ale ponieważ dzień był piękny, a Kazimierz przed półgodziną wrócił ze spaceru z panną Jadwigą, więc znajdował się w doskonałym humorze.

— Widział się pan ze stryjem? — zawołał wesoło. — Ma pan list?

— Mam — sucho odpowiedział pan Klemens i wydobył niewielką kwadratową kopertę z herbem.

Byli na dziedzińcu i weszli do kancelaryi Linowskiego. Kazimierz zaczął rozdzierać kopertę, lecz, przypatrzywszy się Klemensowi, zapytał nieśmiało:

— Przepraszam, ale... mam wrażenie, jak gdyby pan był niekontent... Sądzę, że nie z mego powodu?...

— Niech się pan nie gniewa — odpowiedział Klemens — ale już drugi raz nie podjąłbym się podobnej misyi. Pan hrabia (stryja Świrskiego nazywali hrabią oficyaliści z całej gubernii)... pan hrabia niekiedy umie być przykrym...

— Obraził pana?... z mojej winy?... — zapytał zmieszany Kazimierz.

— Eh, obraził... nie!... Zresztą ja dla pana zdecydowałbym się nie na takie nieprzyjemności, ponieważ mam nadzieję, że... zrobimy wspólnie interes...

http://rcin.org.pl

W kancelaryi Kazimierz zbliżył się do okna i rzekł:

— Owszem, spróbuję robić z panem interesy... Czy pozwoli pan? — dodał wydobywając list.

— Proszę, niech pan czyta... Ja pójdę przywitać się z paniami.

Kazimierz rozłożył papier i czytał:

»W sprawie strażników ziemskich, która tak oburza pana reformatora, pozwoli pan, że tyle razy będę odwoływał się do opieki policyi, ile razy ja sam uznam to za potrzebne, nie zaś moi pupile. Co się tyczy parobków, pan reformator tak będzie z nimi postępował i tak ich wynagradzał, jak mu się podoba, jednak nie wcześniej, aż gdy zarząd majątków przejdzie na jego imię i odpowiedzialność. Do tego czasu ja będę praktykował mój system, oparty nie na hasłach reformatorskich, ale na znajomości ludzi i wieloletniem doświadczeniu.

A nareszcie, co do pieniędzy — oddam panu reformatorowi nietylko żądanych parę tysięcy rubli, ale całą należną mu gotówkę, pod jednym wszakże warunkiem. Oto pan reformator raczy zgłosić się do mnie z aktem, uznającym go jako osobę pełnoletnią i zdolną do działań prawnych.

Muszę jednak przypomnieć panu reformatorowi, że do uzyskania podobnego aktu potrze-

http://rcin.org.pl

bna jest nietylko moja zgoda, której natychmiast udzielić jestem gotów, ale niezbędne też jest — ułagodzenie zatargu z władzami krajowemi, które od kilkunastu dni gorliwie poszukują pana reformatora, jako oskarżonego... o co?... nawet nie śmiem i nie chcę się domyślać.

Lekceważony stryj, *Wincenty Świrski*«.

Kazimierz raz i drugi przeczytał list, jak gdyby pod jego brutalną treścią ukrywała się tajemnica, której on chwilowo nie może odgadnąć. A kiedy po upływie kwadransa pan Klemens wszedł do kancelaryi, nie potrafił zapanować nad zdziwieniem. Zdawało mu się, że Świrski zmizerniał i oczy zapadły mu głęboko.

— Stryj zdrów jest?... — zapytał Kazimierz pana Klemensa.

— O i jaki!...

— A strażnicy siedzą jeszcze w Świrkach?...

— I kozacy... I ani myślą o wyjściu.

— A jaki interes miał pan do mnie?... — rzekł Kazimierz po chwili.

— To ze wszystkiego najważniejsze!... — odparł pan Klemens. Wyjrzał do pokoju jadalnego, wyjrzał do sieni, a potem przysunął Świrskiemu krzesło i sam usiadł na drugiem.

— Wie pan, jaki jest stan kraju — rzekł Klemens półgłosem. — Czeladź miejska nie chce pracować, robotnicy mówią, że będą właścicielami fabryk, a po wsiach tułają się agitatorowie,

http://rcin.org.pl

którzy chcą wywołać bezrobocie na folwarkach i podmawiają chłopów, ażeby opanowali grunty dworskie... Pan rozumie, do czego to nas doprowadzi?...

— Myślę o tem od świąt... — szepnął Świrski.

— A także wiadomo panu — ciągnął Klemens — że ci, którzy przeciwdziałają podłej robocie nieznanych agitatorów, ci narażają się na śmierć... Sekretarz dyrekcyi Hut Żelaznych... pan wie?...

— Wiem, dlaczego został zamordowany... Struchlałem, kiedym się dowiedział o tej bezecnej zbrodni...

— I pan na to nic?...

Świrski z krzesłem odwrócił się do niego.

— A cóż ja mogę poradzić?... — odparł zdumiony.

— Bardzo wiele... — mówił Klemens. — W naszej okolicy, zresztą w całym kraju, tworzy się związek samoobrony wszystkich ludzi uczciwych i Polaków... Pan, ze swoją odwagą, zdolnościami... pan mógłby oddać wiele usługi... Pan mógłby stanąć tymczasem na czele organizacyi naszego powiatu, a później i czegoś więcej... Zabity sekretarz wielkie w panu pokładał nadzieje, więc mnie zdaje się, że tylko pan mógł by go pomścić...

Świrski oparł łokieć na biurku i twarz zasłonił dłonią.

— Wiemy — ciągnął Klemens — że ma pan

http://rcin.org.pl

dzielnych kolegów... ma pan stronników po wsiach i miastach... ma pan broń... Co się tyczy pieniędzy, te złożymy, dodamy panu ludzi pewnych, a i broń znajdzie się... Byle jak najprędzej i najenergiczniej wziąć się do tępienia tej kanalii...

— Jakiej?... — spytał nagle Świrski.

— Rozumie się: bandytów i agitatorów... Mamy ślady, że poza jednymi i poza drugimi chowa się ktoś trzeci...

Świrski oparł się plecami o poręcz krzesła i obie dłonie położył na krawędzi stołu.

— Nie rozumiem mojej roli w tej sprawie — rzekł.

— To przecież bardzo łatwo... Naprzód — trzeba ich wyśledzić... — odparł Klemens.

— Aha!...

— A potem wytępić...

— O!... Czyli, najprzód być szpiegiem, a następnie katem?... — zapytał Świrski.

Pan Klemens rzucił się na krześle.

— Proszę pana, służba dla kraju bywa niekiedy ciężka... — rzekł.

— Wiem, ale do takiej — ja się nie nadaję... Niech pan tylko pomyśli: ja mam być albo... tem, albo... owem... I jeszcze mam do tego namawiać kolegów, którzy przez parę lat kształcili się w związku Rycerzy Wolności... Proszę pana, niech pan tylko pomyśli: ja... i Rycerze Wolności mamy być albo... tem, albo... tamtem?...

http://rcin.org.pl

I nawet niewiadomo, która z tych dwojga rzeczy jest gorsza, ponieważ obie należą do najgorszych...

Mówił to bez gniewu, jakby zmęczony, tylko chwilami głos mu się załamywał. Pan Klemens popatrzył na niego... Nagle wstał i uścisnął mu rękę.

— Proszę pana — rzekł — pan jest człowiek bardzo szlachetny, ale... straszny idealista!... No, a kto jest aż takim idealistą, nie powinien brać się do polityki, bo może zginąć bez potrzeby, nic nie zrobiwszy...

Powiedziawszy to, pan Klemens wyszedł z kancelaryi, ale Świrski siedział bez ruchu. Ten pan Klemens, skromny administrator cudzego majątku, nagle wyrósł w jego oczach na jakąś wielką figurę...

— Ciekawym, czem on jest?... — rzekł do siebie. — Po chwili jednak wzruszył ramionami, czując, że cała ta sprawa nic a nic go nie obchodzi. Pan Klemens, oczywiście jakiś dygnitarz powiatowy w partyi umiarkowanej, proponował mu urząd łapacza i zabijaki, jemu, który chciał być wodzem i wskrzesicielem narodu, następcą Kniaziewiczów, Chłopickich, Dąbrowskich, nawet Kościuszki... On, Świrski, który gardził pokątnemi zabójstwami, a już nigdy nawet nie pomyślałby o śledzeniu kogoś, on... miał zostać powiatowym... tropicielem, rodzajem, psa gończego, który od czasu do czasu będzie jeszcze



http://rcin.org.pl

miał prawo, czy obowiązek, mordować jakiegoś agitatora albo bandytę!...

W taki sposób czyjś rządca czy administrator z całą naiwnością znieważył go, jak nikt i nigdy. Ale — dziwna rzecz — Świrski przyjął to obojętnie, gdyż nawet niesłychana propozycya pana Klemensa bladła wobec listu stryja. Ten dopiero list był dla Kazimierza ciosem, po którym zdawało mu się, że zaczyna gdzieś spadać, bez możności zatrzymania się.

Jeszcze raz wydobył z kieszeni nieszczęsny papier i znowu zaczął go odczytywać, już nie dla zapoznania się z treścią, lecz dla sprawdzenia, że taka rzecz naprawdę istnieje, że jego stryj naprawdę coś podobnego napisał. On, Kazimierz, ma pogodzić się z władzami krajowemi, które go od kilkunastu dni poszukują...

W jakiż sposób ma się pogodzić z władzami człowiek, któremu grozi szubienica?... Chyba, że pójdzie do ochrany, opowie historyę założonego przez siebie związku Rycerzy Wolności, zadenuncyuje swoich kolegów i tych wszystkich kupczyków, majstrów, czeladników, pisarzy, gajowych, ekonomów, którzy mieli stworzyć armię pod jego rozkazami!...

Pan Klemens wprawdzie namawiał go do śledzenia i tępienia, ale — bandytów i ciemnych agitatorów; tymczasem stryj radzi mu, ażeby dla otrzymania swoich własnych kilku tysięcy rubli

http://rcin.org.pl

denuncyował ludzi, którzy mu nieograniczenie ufali. Tak radzi, tego żąda stryj!...

»On chyba dostał obłąkania... — myślał Kazimierz. — Albo może to list sfałszowany... Ale przez kogo sfałszowany?...«

Na chwilkę błysnęło w nim podejrzenie, że stryj chce zagarnąć jego majątek... Wnet jednak spostrzegł, że pomysł ten nie ma sensu. Stryj nietylko możliwie najoszczędniej i najdoskonalej administrował jego własnością, nietylko powiększył ją, ale bynajmniej nie krył się z tem, że wszystko, co posiada, po jego śmierci przejdzie na własność synowca Kazimierza. Wiedziała o tem rodzina Świrskich, a nawet niektórzy jej członkowie jawnie zazdrościli wychowańcowi pana Wincentego.

I otóż ten stryj, który go wychował, wymusztrował, nawet wypieścił, jak umiał, ten stryj, który, gdzie zdarzyła się okazya, walczył za wolność, ten ukochany, uwielbiony stryj każe mu »ułagodzić zatarg z władzami«, czyli — chyba zostać denuncyantem i zdrajcą!...

Skutkiem odmówienia pieniędzy, Kazimierz znalazł się w sytuacyi bez wyjścia: w jakiż bowiem sposób wydobędzie teraz swoich kolegów z oddziału Zająca, jeżeli tam są... I co w takim razie pozostaje do zrobienia jemu samemu? Ale zawód pieniężny i grożące niebezpieczeństwo były drobiazgami, wobec głównej propozycyi stryja. On — ma porozumieć się z władzami!...



http://rcin.org.pl

No, a gdyby też porozumiał się naprawdę, czy sam stryj nie wypędziłby go z domu?...

Gdy tak rozmyślał, oparty na biurku, oburącz ściskając głowę, cicho skrzypnęły drzwi, i weszła Linowska.

— Panu coś jest, panie Kazimierzu?... — odezwała się tonem współczucia.

Popatrzył na nią przygasłemi oczyma i po chwilowem wahaniu podał list.

Przeczytała i zwróciła papier spokojnie.

— Co pani myśli o tem?... — zapytał.

— Zapewne to samo, co i pan, że stryj jest bardzo rozgniewany i bardzo... bardzo rozżalony... Ale to przejdzie, jeżeli już nie przeszło...

— Nigdy nie przypuściłbym, ażeby stryj mógł coś podobnego napisać!...

— Nie obrazi się pan, panie Kazimierzu, jeżeli będę szczerą?... Powiem panu coś, jak matka twego najserdeczniejszego przyjaciela...

— Proszę... niech pani powie... Już nic gorszego nie usłyszę nad to, co mi proponował pan Klemens i co napisał stryj.

— A czy stryj pański przypuszczał kiedy, że ukochanego synowca i wychowańca będą ścigać?... że będzie groziło mu więzienie, jeżeli nie zsyłka... Człowiek może stracić panowanie nad sobą, gdy spotka go podobna niespodzianka!...

— Dla dobra kraju... — wtrącił Świrski.

— Przepraszam... ale zdaje mi się, że i pan i mój Władek i wy wszyscy wogóle jesteście

http://rcin.org.pl

w błędzie. Chyba zgodzi się pan, że ludzie starsi, doświadczeni, trochę lepiej od was rozumieją: co jest dobrem dla kraju? Jakże więc może być dobrem to, od czego oni nietylko odsuwają się, ale nawet was na wszelki sposób chcą odciągnąć?...

— Proszę pani, rewolucya byłaby dobrą, gdyby nie wmieszały się do niej jakieś podłe żywioły, które z jednej strony sieją niezgodę w narodzie, a z drugiej dopuszczają się zbrodni — przerwał Kazimierz.

— Nie potrafię na to odpowiedzieć — rzekła Linowska. — Wiem, że naprzykład Dębowski, a i starsi panowie w Hutach Żelaznych zawsze mówili, że ta rewolucya skończy się źle... Nie o nią jednak chodzi. Ma pan żal do stryja, że napisał list, według pana niedobry, a według mnie tylko rozpaczliwy... Wy, młodzi, nawet nie domyślacie się, czem jest dziecko dla rodziców, a choćby i dla opiekuna, który je wychował... Nie wiecie o tem, że w ciągu kilku czy kilkunastu lat wspólnego pożycia serce ludzkie tak przyrasta do dziecka, że, gdy ono zadrapie się w palec, nam kaleczy się dusza, gdy ono potknie się, my jesteśmy złamani, a gdy ono cierpi, gdy jest zagrożone, dla nas już niema szczęścia w życiu... Więc czy może się pan dziwić, że stryj napisał ostry list?... Przecież to nie on pisał, tylko ciężka jego boleść... Przecie to jemu robi się zimno, gdy pomyśli, że pan na mrozie

http://rcin.org.pl

będzie tułał się po lasach; przecie jego serce pójdzie za panem do więzienia, na wygnanie, nawet na śmierć...

W tej chwili Kazimierz schwycił jej rękę i mocno przycisnął do ust, cicho szlochając. Linowska objęła go za głowę i płakała razem z nim.

— Biedne, kochane dziecko!... — szeptała.

— Nędzny jestem!... — mówił Świrski. — Teraz rozumiem, jaką krzywdę zrobiłem państwu, przysięgam... mimowoli!... — Życie oddałbym, żeby to można było cofnąć...

Linowska otarła oczy.

— Myśli pan o Władku?... — rzekła. — Otóż, mówię panu, że, jak kocham go, nie mam najmniejszej pretensyi... Władek ma przecie swój rozum, robił to, co sam chciał, spostrzegł się w porę i dziś jest już nietylko bezpieczny, ale i zupełnie wyleczony z polityki... Sam to do mnie napisał... Twój los, panie Kazimierzu, więcej mnie niepokoi... U nas jesteś tu bezpieczny, potrafię cię przechować, ale... Ale co będzie, jeżeli rząd zechce skonfiskować twój majątek, albo jeżeli zaaresztują stryja?... No, stryj da sobie radę...

— Więc cóż mam robić?... — spytał Kazimierz, załamując ręce.

— Przedewszystkiem nie upadać na duchu... Ludzie miewają gorsze od naszych kłopoty, a przecież z nich wychodzą. A następnie czekać,

http://rcin.org.pl

aż Dębowski zobaczy się ze stryjem. Jestem pewna, że po tej wizycie stryj napisze do pana inny list i przyśle pieniądze... Zdaje mi się też, że sprawę kolegów, jakże im tam?...

— Chrzanowski, Lisowski, Starka...

— Otóż ich sprawę niech pan zostawi Dębowskiemu. On do nich trafi, pogada z nimi i w pańskiem imieniu ofiaruje pomoc... A tymczasem pan może najlepiej zrobiłby, gdyby po zobaczeniu się z Dębowskim wyjechał do Galicyi.

— I tych trzech zostawił?...

— Mnie się zdaje, że dziś nic pan im nie pomoże — odpowiedziała Linowska. — Zresztą kto ich tam wie... Może właśnie przypada im do gustu takie bezcelowe awanturowanie się...

Linowska podniosła się z krzesełka, Świrski znowu pocałował ją w rękę i rzekł:

— Jeżeli pani pozwala, będę jeszcze korzystał z gościnności, do przyjazdu pana Dębowskiego. A później — zobaczymy...

Rozmowa z Linowską, jej rozsądne, a nadewszystko pełne miłości zdania rozbudziły w Kazimierzu zachwianą energię. Przed kwadransem czuł, że stoi nad jakąś przepaścią, od której tylko w śmierci można znaleźć ucieczkę; obecnie zaczął rozumieć, że jego położenie nie o wiele się na gorsze zmieniło. Choćby mu skonfiskowano majątek, więc i cóż?... Będzie pracował i przy pomocy stryja zbierze nowy majątek.

http://rcin.org.pl

W obecnych zaś warunkach najlepiej będzie pilnować się projektu Dębowskiego: zaczekać na jego przyjazd i pieniądze i — na jakiś miesiąc wyjechać do Galicyi. Jeżeli wybuchnie w Rosyi rewolucya, pójść tam i walczyć »za ich i naszą wolność«; jeżeli nie będzie rewolucyi — wziąć się do nauki, ażeby zdobyć stanowisko i utrzymanie.

— »Biedny stryj! — rzekł nagle do siebie — jużci on mnie wychował i kochał«.

Nie miał jednak odwagi dłużej zastanawiać się nad swoim stosunkiem do stryja. To nie stryj jemu zrobił krzywdę, pisząc list może zanadto surowy; to raczej on skrzywdził stryja, gdyż obalił wszystkie jego nadzieje, naraził na żal, na niepokój, a może i na uwięzienie?...

A co się tyczy kolegów: Chrzanowskiego i Lisowskiego (Starka najmniej go interesował), co się tyczy kolegów, są oni przecież takimi samymi ludźmi, jak Władek Linowski, jak on... Jeżeli Władek przez miłość dla rodziców potrafił wycofać się ze związku, jeżeli on, Świrski, doszedł, patrząc na to, co się dzieje, do przekonania, że ich ruchawka powiększyłaby tylko zamęt w kraju i pomnożyła klęski, zamiast zdobyć wolność, to dlaczegóż do tych samych wniosków nie miałby dojść Chrzanowski albo Lisowski... Dziś jego rzeczą jest tylko ułatwić im opuszczenie oddziału i dostarczyć środków wyjazdu zagranicę; reszta należy do nich.

http://rcin.org.pl

Ileż to razy od kilku dni Świrski powtarzał, że jego odpowiedzialność wobec kolegów jest prawie żadna! Czy on winien, że z pod Słomianek wrócili do miasta?... Czy nie zawsze radził wszystkim, ażeby nie trzymali w domu nic kompromitującego? żadnych rewolwerów, nabojów, ani papierów?... Czy on kazał porozumiewać się z Zajączkowskim i uciekać z nim, gdy ten napadł i pozabijał straż, prowadzącą ich do ratusza?

Tego wieczora usłyszano w głębi lasu kilka wystrzałów; panna Jadwiga zbladła, Świrski zerwał się od stołu i przyniósł z kancelaryi brauning; ale uspokoiła ich Linowska, mówiąc, że prawdopodobnie chłopi polują.

— Uważam to za dobrą wróżbę — zakończyła. — Jeżeli polują nie w dzień, lecz w nocy, znaczy, że się boją. A jeżeli kłusownicy boją się, wówczas my możemy być spokojni.

W nocy nie zaszło nic osobliwego; nawet psy mniej szczekały, niż zwykle. To też, gdy rano wylękniona panna Jadwiga w wielkiej tajemnicy powiedziała Świrskiemu, że o świcie kręcił się między budynkami jakiś podejrzany człowiek, który twierdził, że szuka służby, Kazimierz uśmiechnął się lekceważąco:

— Już i ja zaczynam być pewien, że nas nikt nie napadnie... Lesniczówka leży na boku od rozmaitych traktów i chyba nie przedstawia nic ciekawego dla bandytów.

http://rcin.org.pl

— Cóż też pan mówi!... Okolica jest przekonana, że państwo Linowscy są bardzo zamożni... I obawiam się, że, jeżeli kogo, to ich najpierwej mogą napaść...

Cały dzień niebo wyglądało, jak szara płachta, po której od czasu do czasu przesuwały się ciemne obłoki, sypiące śniegiem. Około trzeciej uspokoiło się, i Jadwiga zaproponowała Świrskiemu przechadzkę.

— Dla mnie jest to największa uroczystość, kiedy pani bierze mnie ze sobą — rzekł Świrski.

— W takim razie powinnam była wczoraj wziąć pana ze sobą. Wyglądał pan na tak przygnębionego, że... otwarcie powiem: zrobiło mi się żal...

— Gdybym panią znał dawniej, albo... gdybym miał, naprzykład, siostrę podobną do pani... kto wie, czy nie ominęłaby mnie niejedna wielka przykrość, i — czy nie popełniłby mniej głupstw...

— Pan?... pan miałby popełniać głupstwa!...— zawołała zgorszona Jadwiga.

— Kto wie — mówił Kazimierz, spuściwszy głowę — kto wie, czy mój pobyt tutaj i wszystkie kłopoty, jakie spadły na mnie i na innych ludzi, a może i jeszcze spadną, nie są rezultatem wielkiego głupstwa, którego nie zrobiłbym, gdybym mógł naradzać się z kimś blizkim, gdybym musiał rachować się z kimś... kogo kocham.

— A pański stryj?...

http://rcin.org.pl

— Między stryjem a mną, pomimo wielkiego przywiązania, zawsze stał jakiś parkan. Ja z nim nigdy nie mógłbym rozmówić się tak szczerze, jak naprzykład... z siostrą... Słuchając pani Linowskiej, nieraz przekonałem się, że kobiety posiadają jakiś cudowny, proroczy instynkt... Moja siostra, czy też inna... osoba ukochana miałaby taki sam instynkt... radziłaby mi, a ja słuchałbym jej... Bo pani rozumie, że najchętniej słucha się tych, którym nie chcielibyśmy zrobić przykrości...

— Pańska siostra byłaby bardzo szczęśliwa! — szepnęła Jadwiga.

— A ja jeszcze bardziej... Nie męczyłyby mnie kwestye: co czynić?... Poprostu zapytałbym jej, a ona dałaby mi najlepszą radę... Nie zrobiłbym w życiu nic złego, bo zawsze myślałbym, ażeby jej nie wyrządzić przykrości... Ona dodawałaby mi odwagi w chwilach upadku ducha, a gdybym przyszedł do niej tak nieszczęśliwy, jak byłem wczoraj, uspokoiłoby mnie jedno dotknięcie jej rączki... jeden pocałunek...

— Pan ciągle myśli czekać na swoich kolegów?... i nie wyjechać zagranicę przed wyprawieniem ich?... — przerwała zmieszana Jadwiga.

— Wie pani, że zaczynam jakby zmieniać ten zamiar... Chyba już usłucham Dębowskiego, ponieważ przypuszczam, że on więcej potrafi zrobić dla ich ocalenia, aniżeli ja sam...

— Przyznam się panu, że i ja tak myślę —

http://rcin.org.pl

pochwyciła Jadwiga. — Dawniej, pamięta pan? byłam innego zdania... Ale dziś... kto wie, czy nie byłoby najlepiej, gdyby pan, choć na kilka tygodni, wyjechał do Galicyi... Zrobi pan to?...

— Jeżeli pani tego odemnie zażąda...

— Panie!... — krzyknęła nagle Jadwiga zmienionym głosem i konwulsyjnie schwyciła go za rękę. Usta jej pobladły, a w oczach widać było przerażenie.

— Co pani jest?... — zapytał zdziwiony Świrski.

— Tam... i tam!... — mówiła, wskazując w głąb lasu. — O, jeszcze i tam...

Tuliła się do jego ramienia, drżąc całem ciałem.

Była blizko czwarta po południu, w lesie rozścielał się zmrok. Świrski spojrzał z uwagą i o kilkadziesiąt kroków przed sobą spostrzegł jakąś postać ludzką, kryjącą się za drzewem. Po chwili za innem drzewem ujrzał kogoś drugiego, a na lewo ode drogi — znowu dwie ciemne postacie... Machinalnie wydobył brauning, ale Jadwiga przytuliła się do niego jeszcze mocniej i, prawie przyłożywszy mu usta do twarzy, szeptała drżącym głosem:

— Na miłość Boską, jeżeli pan strzeli... umrę!...

Świrski odsunął ją.

Więc cóż mam robić?... — zapytał niecierpliwie...

http://rcin.org.pl

— Uciekajmy... Idźmy do domu..

— Idźmy...

Zawrócili i szli w stronę Leśniczówki, nie śpiesząc. Gdy przeszli kilkaset kroków, postacie znikły.

— Widzi pani, że już niema nikogo...

Jadwiga uwiesiła mu się u ręki i zaczęła śmiać się nerwowo.

— Tchórz jestem, prawda?... Ale... ach!... — westchnęła — pan powinien mi wybaczyć... Tak często myślę o grożących panu niebezpieczeństwach i tak ich się lękam, że... już nie wiem, co się ze mną dzieje. Dawniej byłam odważniejsza...

Słaniała się tak, że Świrski musiał ją wpół objąć i prawie ciągnąć. Dopiero, gdy zbliżyli się do Leśniczówki, gdy zobaczyła furmana, parobka i gajowego, a nadewszystko — panią Linowską, uspokoiła się trochę.

— Ach, pani, cośmy widzieli!... — zawołała Jadwiga.

— Paru ludzi przeszło przez las... — pochwycił Świrski — a panna Jadwiga zlękła się...

W tej chwili rozległ się gwizd, a z poza domu, z poza kuchni, z poza budynków gospodarskich i z lasu wybiegło pędem kilkunastu ludzi, krzyczących:

— Stać!... ręce do góry!...

Parobcy, gajowy, nawet dziewczęta natychmiast spełniły rozkaz. Świrski w pierwszej chwili

http://rcin.org.pl

nie rozumiał, co się dzieje; lecz, gdy spostrzegł, że napastnicy pędzą w stronę Linowskiej i Jadwigi, stracił przytomność. Czuł, że spełnia coś niedorzecznego, czy niestosownego, lecz, nie mogąc powstrzymać się, nagłym ruchem wydobył z kieszeni brauning i zawołał:

— Kto przystąpi do kobiet, strzelę w łeb!...

Kilku najbliższych zatrzymało się, dalsi biegli... Teraz dopiero Świrski spostrzegł, że ludzie ci są uzbrojeni: jedni w krótkie karabinki, inni w rewolwery. Ogarnęła go rozpacz i jakiś szalony zapał, więc, nie namyślając się, zmierzył w gromadę i czekał. Na dziedzińcu było tak cicho, że wyraźnie słyszał bicie własnego serca.

»Otóż i śmierć...« — przemknęło mu przez głowę. Nagle usłyszał młodzieńczy głos znajomy:

— Kaziu, nie strzelaj... to my!...

Poczem huknął potężny bas:

— Chwat, psiakrew!... Stawaj we front!...

Gromada napastników w okamgnieniu uszykowała się we dwa szeregi. Naprzód wysunął się ogromny człowiek w burce i wołał w dalszym ciągu:

— Pan Świrski, nasz naczelnik, niech żyje!...

— Niech żyje!... niech żyje!... niech żyje!... — trzykrotnie powtórzyła banda.

— Jezus Marya!... Jezus Marya!... co oni mówią?... — szepnęła Linowska, zasłaniając uszy.

Z końca szeregów oderwało się dwu mło-

http://rcin.org.pl

dych ludzi i z wyciągniętemi rękoma przybiegli do Świrskiego.

— Kaziu... — wołali — to my... to my!...

Świrski schował brauning i zaczął ściskać się z nimi.

— To ty, Pawle?... ty, Waciu?... jakżeście się zmienili... co za tęgie chłopy!... Co tu robicie?...

— Jesteśmy w oddziale kapitana Zajączkowskiego...

Teraz zbliżył się do nich ogromny człowiek w burce; miał w rękach karabinek, a przy szerokim pasie dwa brauningi.

— To jestem ja, naczelniku... Zajączkowski, kapitan... Przypomina mnie pan sobie?... A to moi oficerowie: porucznik Gorczyca...

— Chrzanowski?... — szepnął Kazimierz.

— Podporucznik Szczurek... i mój adjutant... Adjutant!... psia twoja mać... do nogi! Teraz nazywa się Monopolka, dawniej zwał się inaczej...

— Starka?... — rzekł zdumiony Świrski. — Ale też... pan kapitan nie robisz sobie ceremonii ze swymi oficerami...

— Jak z którym... jak z kim!... — odparł Zajączkowski. — Gdybym nie trzymał draniów ostro, jużby wszyscy wisieli... Co nas i tak nie minie...

— No, zaraz kapitan wpada na smutne myśli... — wtrącił Lisowski.

— Wcale nie smutne!... Ale sam zobaczysz,

http://rcin.org.pl

że spotkamy się z kulą, albo ze szpagatem... Pal dyabli!... my jużeśmy na to przeznaczeni, byle innym było dobrze. A jeść u pana naczelnika nie dostaniemy?... — zwrócił się Zajączkowski do Świrskiego.

— Gospodynią i właścicielką jest tu szanowna pani Linowska... — rzekł Świrski.

— A wiem!... — wtrącił Zajączkowski. — Żona burżuja, co do Hut Żelaznych przewiózł taką kupę pieniędzy, że nam wystarczyłoby na pół roku...

— Oboje państwo Linowscy bardzo zacni, bardzo uczciwi ludzie... — rzekł Świrski.

— Nam wszystko jedno!... Gdyby to nie byli rodzice małego Linowskiego, którego lubią moi oficerowie, i gdyby starzy burżuje nie przyjęli gościnnie naczelnika, byłby tu fajer!... Cóż, nie da nam pani Linowska jeść?...

— Ależ proszę!... — odezwała się Linowska. — Jedzcie panowie, pijcie... cała śpiżarnia na wasze rozkazy...

— Wódka jest?... — po raz pierwszy odezwał się milczący dotychczas Starka.

— Wódka... miód... nalewki... wędliny... Wejdźcie panowie do domu...

— Oficerowie ze mną!... — komenderował Zajączkowski. — Żołnierzom wynieść na dziedziniec, a kiedy najedzą się, zmienić warty i tamtych nakarmić... Chodźta, chłopcy... chodź, na-

http://rcin.org.pl

czelniku Świrski... Ehe! i sikorka z nami?... Niczego, widzę, dziewuszka...

— To moja kuzynka, panna Jadwiga... — pośpiesznie odezwał się Świrski.

— Niechże nam da kolacyę, jeżeli nie chce czego innego...

Weszli w pięciu do kancelaryi, potem do jadalni, gdzie zapłakane i rozdrażnione dziewczęta przyniosły kilka flaszek, tudzież stos kiełbas, kiszek i salcesonów.

— Baby siądą przy nas — dysponował Zajączkowski — bo teraz po dziedzińcu szwędać się nie warto... Żołnierz wyposzczony, to jak wilk na Gromniczną... W twoje ręce, panie naczelniku!... — zawołał, wypijając kielich wódki do Świrskiego.

— Jaki ja tam naczelnik!... — mruknął Świrski.

— Ha!... ha!... a nie pamiętasz to, jakeś nas musztrował, jakeś uczył?... Ja na szubienicy jeszcze będę ci wdzięczny za twoje wykłady... Pamiętasz, jakeś mówił: tylko ten może rozkazywać innym, kto nie lęka się śmierci... Ten jest komendant, ten jest pan... A we mnie, kiedym to usłyszał, serce: puk!... puk!... Bo ja nigdy nie bałem się śmierci, ale dopiero po twoich naukach zrozumiałem, żem na to stworzony, ażeby komenderować innymi... Patrzajcie-no!... hycel Monopolka już trzeci kielich smoli...

— Bo nie mam szklanki... — mruknął ponuro Starka. — Położył ciężko pięść na stole i z pod



http://rcin.org.pl

brwi zmarszczonych patrzył na Świrskiego. — Ten zawsze elegant... zawsze chce przewodzić!...

— Mój drogi, ani myślę o przewodzeniu... odstępuję ci wszelkie prawa... — odrzekł Kazimierz.

— Nie swarz się, Monopolku!... pij ze mną!...— wołał Zajączkowski. — Niech tu przyjdzie Kot i Dziewiątka ze dworu!... Choć to tylko podoficery, ale tęgie chłopy... mogą wypić kwartę i nie upiją się!... Adjutant!... sprowadź ich tu...

Starka wybiegł i po chwili sprowadził dwóch wezwanych, z których jeden był garbaty, a drugi miał duże wąsy i bystre oczy. Gdy, ukłoniwszy się Zajączkowskiemu, usiedli przy stole i zaczęli pić na współkę z kapitanem i jego adjutantem, panie wyszły, a Świrski z Chrzanowskim i Lisowskim usunęli się w drugi koniec pokoju i tam, gryząc kiełbasę i popijając herbatą, zaczęli rozmawiać półgłosem. Czterej goście przy głównym stole nie zważali na nich, zajęci doskonałemi nalewkami i huczną gawędą, w której było więcej wymysłów, aniżeli sensu.

— Więc, moi drodzy, co się z wami dzieje?... co znaczą te stopnie oficerskie?... — zapytał Świrski.

Odpowiedział mu Lisowski, że, ponieważ są ścigani przez policyę i ponieważ Zajączkowski bodajże ocalił ich od śmierci, więc trochę przez wdzięczność, a bardziej z musu, zaciągnęli się do partyi.

http://rcin.org.pl

— I rozbijacie... na spółkę z nimi?... — przerwał Świrski.

— Wcale nie — rzekł Chrzanowski. — Nasz kapitan ma tyle delikatności, pomimo nieustannych wymyślań wszystkim, że podczas swoich niekoniecznie... rycerskich wypraw wysyła nas na zwiady. To też ja jeszcze ani razu nie strzelałem, a Lisek wprawdzie kilka razy huknął, ale w górę, dla wypróbowania brauninga.

— A Starka?...

Chrzanowski niechętnie wzruszył ramionami i mrugnął.

— Dobrze — mówił Świrski — ale do czego to wszystko prowadzi?...

— No, już o to nie powinienbyś pytać — wtrącił Lisowski. — W Rosyi aż kipi rewolucya... już mają dwieście tysięcy karabinów i miliony ładunków, i tylko patrzeć, jak stamtąd napłyną do nas oddziały... Wówczas ruszy się wojsko, a nasi dzisiejsi partyzanci...

— Bandyci — szepnął Świrski.

— Przypuśćmy... Jednak wówczas staną się regularnymi żołnierzami.

— A któż wam mówił o tych rosyjskich legionach, które niby do nas idą?

— Kto?... — zawołał zdziwiony Lisowski — naturalnie Iwanow... Nie znasz Iwanowa?...

— On przed świętami nazywał się Vogiel — poinformował Chrzanowski.

— A czy on nie łże?... — zapytał Świrski.



http://rcin.org.pl

— Dajże spokój!... — bronił Lisowski. — Vogiel czy Iwanow zawsze to wielka figura... On mianował kapitanem Zajączkowskiego... on nam dostarcza broni i amunicyi... on wyznacza oddziałowi, co i kiedy ma atakować.

— I wy go słuchacie?...

— Za nieposłuszeństwo kula w łeb... Widywaliśmy już takie rzeczy...

W tej chwili wbiegł jeden z partyzantów, donosząc, że złapano jakiegoś podejrzanego człowieka, a jednocześnie przyszła Linowska z prośbą do Zajączkowskiego, ażeby uwolnił Kobielaka.

— To znajomy nasz gospodarz — mówiła — podobno ma list do pana Świrskiego...

— Dać go tu!... — rzekł przywódca.

Wszedł Kobielak, powiedział, że przyjeżdża z Żelaznych Hut i że ma kartkę od kasyera. Kartkę tą wziął do rąk Starka i przeczytał:

»Oddział policyi i kozaków szuka pana Kazimierza. Jutro będą w Leśniczówce«.

— Pan Kazimierz musi natychmiast jechać do Grudy — rzekła Linowska. — Jeszcze się przemknie...

— Niech jedzie, gdzie chce... — rzekł Zajączkowski.

— Ależ, naczelniku — odezwał się gniewnie Starka — jeżeli koledzy Świrskiego mogą służyć pod pańskimi rozkazami, to i on...

— Stul pysk, Monopolka... pod ławę — hu-

http://rcin.org.pl

knął Zajączkowski, uderzając pięścią w stół. — Pan Świrski pojedzie, gdzie chce, a my odprowadzimy go, gdzie nam każe.

Świrski spojrzał na Linowską, na Chrzanowskiego i Lisowskiego, pomyślał i rzekł:

— Idę z wami...

— Panie Kazimierzu... — zawołała Linowska, składając ręce. — Panie Kazimierzu... co pan robi?... Przecież umowa z Dębowskim... pańskie słowo...

— Idę z wami... — powtórzył Świrski do Zajączkowskiego. — Nie mogę opuścić kolegów, ani narażać domu państwa...

Ucałował obie ręce Linowskiej i pobiegł na górę upakować swój raniec.

Zajączkowski podniósł się, kilka razy, niby kapelmajster, machnął ręką, a po chwili sześć męskich, niezbyt dobranych głosów zaśpiewało:

Wstańmy, bracia, wraz, ilu jest tu nas...
Wstańmy, bracia, wraz, ilu jest tu nas!...
Zróbmy przyjacielskie koło i zaśpiewajmy wesoło,
Póki jeszcze czas...
Póki jeszcze czas!...

Ta pobudka odśpiewana w takich warunkach, wydała się Linowskiej świętokradztwem.

Do pokoju wbiegł kilkunastoletni chłopak, w którym Linowska poznała owego Staśka, co to udawał sierotę i parobków częstował wódką.

http://rcin.org.pl

— Dajcie co zjeść!... — zawołał chłopak. — Kozaki i strażniki we wsi...

Zajączkowski i jego towarzysze wybiegli na dziedziniec. Rozległo się gwizdanie, tupot nóg, szmer głosów... Linowska stanęła na ganku i wśród nocnej ciemności dostrzegła wysoki cień, który krył się od blasku, padającego z okien.

— Panie Kazimierzu — zawołała — panie Kazimierzu!... zastanów się, co robisz?...

Cień zniknął, i tylko słychać było prędkie skrzypienie śniegu.

— Panie Kazimierzu!... na jedno słówko... na chwilkę!...

— Do szeregu!... — zawołał bas. — Do szeregu i maaarsz!...

W parę minut wszystko ucichło. Drżąca ze wzruszenia Linowska powróciła do pokoju i znalazła Jadwigę, która, oparłszy głowę na stole, zasłoniła twarz rękoma.

— Co on zrobił?... co on zrobił?... Boże, zmiłuj się nad nami! — biadała Linowska.

Odpowiedział jej cichy płacz.

## XIII.

Prawie o ósmej wieczorem Świrski opuścił Leśniczówkę. Po nierównej drodze, wśród ciemności i chłodu, oddział Zajączkowskiego ma-

http://rcin.org.pl

szerował tak prędko, jak gdyby przewodniczył mu ktoś, doskonale znający okolicę. Kazimierz w pierwszej chwili nie widział nic, później niewyraźnie zaczął odróżniać piramidalne jodły, niby wieże kościelne, i — poznał drogę, którą zazwyczaj chodzili z Jadwigą na spacer... Nagle uczuł, jakby mu serce ściśnięto obcęgami. Przywidziało mu się, że wchodzi do wpół oświetlonej kancelaryi Linowskiego, i spadł na niego tak straszny atak tęsknoty, nie wiadomo za kim, czy za czem, że, gdyby to potrwało dłużej, może pomyślałby o samobójstwie.

— Nie schodź tam na bok!... — odezwał się stłumiony głos na przedzie.

Teraz Kazimierz jasno przypomniał sobie i zrozumiał, że nie jest na Leśniczówce, u ludzi, którzy go kochali i do których on sam się przywiązał, ale że maszeruje z oddziałem Zajączkowskiego, którego uważał za bandytę.

»Czy ja dobrze zrobiłem?... — pomyślał. — Naturalnie!... bo i cóż innego miałem do zrobienia?... Kozacy i strażnicy szukają mnie, mnie specyalnie!... Są już we wsi, a najpóźniej jutro będą w Leśniczówce, jeżeli nie dzisiaj, jeżeli nie zaraz... Poczciwa, kochana pani Linowska już nie zdążyłaby mnie przechować; a gdyby i przechowała, czy można być pewnym, że ktoś ze służby nie wygadałby się przed strażnikami? A w takim razie ja wypaliłbym sobie w łeb, a Linowska poszłaby do więzienia...«

http://rcin.org.pl

»Prawda, że najzacniejsza kobieta chciała mnie wysłać do Grudy; ale czy miałbym prawo jechać w bezpieczne miejsce, gdy Linowski i Chrzanowski są w oddziale, tułają się, niepewni dnia, ani godziny?...«

»Wreszcie, czy oddział Zająca jest słabszy od tego, jaki ja wyprowadziłem do Słomianek?... Czy ludzie, składający go, nie mają tych nadziei, jakie miałem ja sam, werbując ochotników dla siebie?... Dziś dowództwa nigdy nad nimi nie objąłbym; ale, będąc z nimi, mogę ich powściągnąć od bandytyzmu«.

W tej chwili uderzyła go gałąź świerku, zasypana śniegiem.

— Nie schodzić na bok!... — powtórzono znowu na froncie.

— Zła droga!... — mruknął ktoś.

— Dam ja ci, psia twoja mać, złą drogę!...— odparł głos zirytowany.

Świrski domyślił się, że oddziałowi szło nietylko o prędki marsz, ale i o zatarcie śladów.

— Pan naczelnik ma swój oddział, czy będzie przewodzić naszemu?... — zapytał go śpiewnie, człowiek, idący obok.

— Nie mam oddziału i nie będę nikim dowodził. Pan dawno tu jest?

— Może z tydzień — szeptał człowiek, odziany w burkę — ale zdaje mi się, że już z rok...

— Co pana tutaj przygnało aż z Litwy?...

http://rcin.org.pl

— Pan poznał?... At, zwyczajnie drobiazg... Postawiliśmy przy miasteczku figurę, a strażnicy chcieli ją rozwalić. Przemówilim się z jednym... On za szablę, ja za kłonicę... No i trzeba było uciekać z domu, bo teraz za opór strażnikom wieszają.

— Stój, równaj się!... — zakomenderowano. Świrskiemu zdało się, że poznał zakatarzony głos Dziewiątki.

Oddział zatrzymał się na niezbyt szerokiej polance, na której stało kilkoro sań. Teraz odezwał się stłumiony bas Zajączkowskiego.

— Trzeba z piętnastu ochotnika...

Cała gromada ruszyła naprzód.

— Za dużo!... — mówił półgłosem Zajączkowski. — To ty, Kubuś?... Toporek — dobrze... Mańkut — owszem... Aha... Gorczyca... Szczurek... ja wiedziałem, że pójdziecie!... Monopolka zostanie. A upij mi się, to ci dobrze zęby porachuję...

Świrski wahał się: czy ma zostać, czy pójść, jako ochotnik, na nieznaną wyprawę? Ale, zanim skończył namyślać się, sanki ruszyły i w jednej chwili utonęły w ciemnościach. Kazimierzowi było przykro, że nietylko Zajączkowski nie zwrócił się do niego ze specyalnem zapytaniem, ale że nawet Chrzanowski i Lisowski nie pożegnali go, nie zamienili z nim ani wyrazu...

— Jeden za drugim... gęsiego... marsz!... — komenderował głos zakatarzony.

http://rcin.org.pl

Po kilku minutach oddział zeszedł z polanki, potem z drogi, a wnet Świrski poznał, że idą wązką ścieżką, bardzo nierówną, wśród gęstych krzaków. Co chwilę poślizgiwał się, potykał o korzenie, albo zapadał w śnieg. To znowu musiał zasłaniać twarz rękoma, ażeby zabezpieczyć się od uderzeń gałęźmi, które odginali i poruszali idący przed nim. Czasem ktoś, mniej uważny czy zręczny, wywracał się z przekleństwem, co innych pobudzało do śmiechu; niekiedy, daleko na przodzie, mignął drobny blask, po którym Świrski poznał, że tam idzie ktoś z latarką. Czasami oddział zatrzymywał się, latarka wyraźnie ukazywała się i znikała między drzewami, jakby szukając drogi. I znowu prędki marsz, szelest śniegu, chrzęst gałęzi, potykania się, ciche przekleństwa i półśmiechy.

Ręce marzły, uszy paliły, nogi poślizgiwały się, ale Kazimierzowi zaczęła podobać się awanturnicza wyprawa. Przecie on o takich marzył i przez kilka lat razem z kolegami przygotowywał się do nich!...

Pochód stawał się trudniejszy, oddział bowiem znalazł się w okolicy falistej. Trzeba było wspinać się na wzgórza coraz wyższe, zsuwać się do wąwozów po ścianach coraz bardziej stromych, a wszystko między gęstymi krzakami. Nogi coraz częściej trafiały na kamienie, z początku małe, potem większe...

http://rcin.org.pl

— Dokąd idziemy?... — mimowoli zapytał Kazimierz człowieka w burce.

— Musi być do domu... na kolacyę... — odrzekł.

Świrski pomyślał, że Litwin żartuje z niego, więc już nie odzywał się. A tymczasem droga stawała się coraz cięższa i cięższa. Wzgórza były więcej strome, nogi ślizgały się gwałtowniej, a kolczaste krzaki chwytały za odzież, za ręce, za głowę. Jeden z oddziału zwichnął sobie rękę i szedł, oparty na ramieniu kolegi, cicho jęcząc; drugi zgubił czapkę, którą odnaleziono dopiero przy pomocy latarki. Ludzie już nie uśmiechali się i nie szeptali; pomimo zimna ocierali pot, ciężko dysząc, a w miejscach równiejszych zatrzymywali się na kilkuminutowy odpoczynek.

Było już dobrze po dziesiątej w nocy, kiedy Świrski usłyszał okrzyk:

— Kto idzie?...

— Swoi!... swoi!... — odpowiedziano chórem.

— I kapitan jest?...

— Pojechał do Józówki. Na co ci kapitana?...

Kazimierz nie dosłyszał odpowiedzi, natomiast, zdało mu się, że zdaleka, między krzakami, widzi czerwonawy blask. Jednocześnie oddział zeszedł na małą równinkę, ludzie ożywili się i zaczęli rozmawiać, a niebawem wszyscy stanęli przed ogromną ścianą wapienną, w której było kilka otworów. W jednym palił się spory ogień.

http://rcin.org.pl

— Jeść!... Herbaty!... Wódki!... — wołano z różnych stron.

Do Kazimierza zbliżył się Starka w towarzystwie mężczyzny z bystremi oczyma.

— Mój kolega Świrski — rzekł Starka. — A to nasz... towarzysz, Dziewiątka... Prowadzi nas dzisiaj...

— Pan naczelnik ma co do rozkazania?... — spytał Dziewiątka.

— Nie jestem naczelnikiem i nie rozkazuję... Mogę tylko prosić... — odpowiedział Świrski.

— Jeść!... wódki!... — wołali inni towarzysze.

— Może i pan zechce co zjeść, albo napić się?... — pytał Dziewiątka.

— Jeżeli można, chciałbym się trochę położyć — rzekł Świrski.

Dziewiątka wziął za rękę Kazimierza i wprowadził go do jaskini, gdzie palił się ogień. Była to oddawna zarzucona kopalnia kamienia wapiennego, dosyć głęboka, posiadająca niejedno wejście.

Przy ognisku siedziało kilku ludzi w wyszarzanej odzieży. Jeden palił fajkę bardzo dobrego tytuniu, drugi na węglach ustawiał duży imbryk, trzeci — odgrzewał mięso, cuchnące dymem i łojem. Świrski pomyślał, że tego przysmaku nigdy nie wziąłby do ust...

Minąwszy ognisko, Dziewiątka zaprowadził Świrskiego w głąb jaskini, gdzie leżał stos gałązek świerkowych i jodłowych.

http://rcin.org.pl

— O, tu może pan odpocząć... Dobranoc!...— rzekł Dziewiątka i szybko wrócił na polankę, do upominających się o jadło, herbatę i wódkę.

»Trzeba przyznać — myślał Świrski, kładąc się na gałązkach — że moi nowi koledzy wyglądają na prawdziwych zbójów!... To mnie tylko uspokaja, że za tydzień i ja będę do nich podobny«.

Wyciągnął się, nasunął baranią czapkę na głowę i począł marzyć. W tej chwili był prawie kontent, że opuścił Leśniczówkę, która jakby zepchnęła go z zamierzonej drogi i powoli odhartowywała. Na twarz wybiegły mu piekące rumieńce, gdy przypomniało mu się, że płakał wobec Linowskiej i gotów był porzucić swoje projekty dla Jadwigi!...

Na szczęście skończył się ten głupi sentymentalizm wraz z opuszczeniem Leśniczówki. Jak zaś demoralizująco oddziałał na niego pobyt między kobietami, przekonywa się dziś, gdy po parugodzinnem chodzeniu czuje się zmęczonym.

Jakiś wyraz, głośniej wypowiedziany u wejścia do jaskini, zwrócił uwagę Świrskiego; więc przestał rozmyślać i zaczął słuchać. Przy blasku ognia doskonale odróżniał kilka postaci. Człowiek, który palił fajkę, był w burce, miał rzadki zarost rudawy i twarz bladą, jak kreda. Ten, który trzymał imbryk, był również w burce; ale twarz miał koloru miedzianego, ciemny, nieporządnie utrzymany zarost i włosy długie, które

http://rcin.org.pl

chyba nigdy nie pamiętały grzebienia. Trzeci człowiek, w paltocie i czapce z daszkiem, był odwrócony do Kazimierza tyłem. Kilku innych trudno było dojrzeć przy migotliwem ognisku; czasem jednak ukazało się czyjeś ucho, innym razem blond broda, albo błysnęła jakaś twarz na mgnienie oka.

*Człowiek z imbrykiem.* A co to za jeden, ten młody?... Niedługo chyba zaczną tu przychodzić nawet strażnicy...

*Człowiek z fajką.* To znajomy kapitana i tych uczniaków. Podobno bardzo bogaty!...

*Człowiek z imbrykiem.* To po co do nas przyszedł, jeżeli bogaty?...

*Głos z cieniu.* Każdy ma prawo walczyć za wolność...

*Człowiek z imbrykiem.* O, pan dużo wojuje za wolność!... Kto ma pieniądze, ma i wolność; zatem po co taki młody snuje się między nami?...

*Drugi głos z cieniu.* Może chce się zabezpieczyć, kiedy przyjdzie czas podziału.

*Głos z cieniu.* W Ameryce każdy może robić, co mu się podoba, ale majątków nie rozdzielają. Więc i u nas nieprędko to nastąpi.

*Człowiek z imbrykiem.* To też trzeba tępić burżujów, gdzie się zdarzy. Kapitan jest za miękki...

*Głos z cieniu.* Prawda temu była!...

*Człowiek z imbrykiem.* A ja swoją drogą nie

http://rcin.org.pl

dowierzałbym paniczom. Niech takiego złapią, wszystko wygada i nawet sprowadzi tu żandarmów...

*Człowiek z fajką*. A Staśkowi dowierzasz pan?... Przecie to hycel z pod ciemnej gwiazdy...

*Człowiek z imbrykiem*. Prawda, że hycel, ale nasz... A taki panicz może właśnie przyszedł po to, ażeby nas wybadać i przy okazyi denuncyować...

Świrskiemu, kiedy słuchał tych zwierzeń, krew uderzyła do głowy. Chwilami ogarnęła go taka wściekłość, że chciał zerwać się, pobiedz do ogniska i uderzyć nieznajomego oszczercę; ale opanował się i nie poruszył. Zresztą i rozmowa przerwała się, ponieważ wszedł Dziewiątka i paru obecnych wezwał na zmianę warty.

Świrskiemu dotychczas wszyscy i wszędzie okazywali zaufanie: w domu, w szkołach, w Leśniczówce. Do denuncyantów od najwcześniejszego dzieciństwa czuł prawie fizyczny wstręt... I dopiero dziś, po raz pierwszy w życiu, usłyszał, że jest podejrzywany przez ludzi, do których miał zamiar zbliżyć się, żyć z nimi, narażać się i pracować nad ich uszlachetnieniem. On chciał uczynić ich bohaterami, a oni lękali się w nim możliwego denuncyanta!...

Do jaskini zaczęło schodzić się coraz więcej partyzantów: przeciągali się, ziewali, zataczali i upadali na kupy zielonych gałązek, służących za posłanie. Rozmowy milkły, a natomiast gło-

http://rcin.org.pl

śniej rozlegały się sapania, chrapania, okrzyki przez sen... Nie podsycane ognisko dogasało, wreszcie zupełnie zgasło; ze sklepienia, w długich odstępach czasu, spadały krople wilgoci.

Świrski nie mógł zasnąć: był trochę głodny, ale nadewszystko zirytowany; burza uczuć kipiała mu w piersiach i uderzała do głowy: gniew, niepewność, nieokreślona obawa, tęsknota... Napróżno stulał powieki i usiłował nie myśleć; myśli rodziły się z niczego i coraz jaskrawszych nabierały kolorów...

Nagle w ciemnej, jak piwnica — jaskini, Świrski usłyszał szmer. Ktoś podniósł się, przekroczył leżących obok sąsiadów i zaczął cicho pełzać w stronę Kazimierza... Przypełznął, jakiś czas leżał bez ruchu, potem — zwolna wzniósł rękę, położył ją ostrożnie na piersiach Świrskiego i — bardzo zręcznie, bardzo delikatnie, zaczął... rewidować mu kieszenie... Świrski coraz wyraźniej, coraz bliżej czuł niemiły oddech i — nagle machnął pięścią przed siebie. Rewident, mocno uderzony w głowę, cofnął się... Słychać było leciutki szelest, i niebawem wszystko umilkło.

Na drugi dzień Świrski przekonał się, że jednak — zginął mu woreczek z kilkoma rublami i bilonem. Na szczęście została mu przeszło setka rubli, które nosił pod koszulą, w woreczku, na plecach...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

http://rcin.org.pl

Dopiero o dziewiątej zrana obudził Kazimierza przytłumiony huk, powtarzający się w równych odstępach czasu: to w sąsiedniej jaskini uczono się strzelać z brauningów. Poczuł wilgotne zimno i usiadł na twardem i kolącem posłaniu, a gdy przetarł zbolałe oczy, znowu zobaczył ognisko, przy którem, wśród dymu gryzącego, siedziało kilku ludzi, przeważnie młodych, bez zarostu. Jeden gotował wodę w garnku, drugi łatał buty, trzeci suszył brudne onuczki, czwarty z równie brudnej koszuli wytrząsał w ogień robactwo.

— Dzień dobry!... — rzekł Świrski, zbliżywszy się do ogniska.

Wszyscy obejrzeli się, ale tylko łatacz butów coś odmruknął. Kazimierz wzruszył ramionami i wyszedł na polankę. Gdy odetchnął czystem powietrzem, zrobiło mu się rzeźwiej i weselej. Zajrzał do jaskini na prawo i zobaczył gromadkę, która pod dozorem Starki uczyła się strzelać. W jaskini na lewo, w paru niewielkich kociołkach dwaj brodacze, z pozawijanemi rękawami brudnych koszul, gotowali żywność. Z daleka dostrzegł Dziewiątkę, który z trzema ludźmi skrył się w krzakach: oczywiście rozstawiał warty.

— Może pan naczelnik herbaty pozwoli?...— usłyszał znajomy głos.

— Naczelnikiem nie jestem, tylko kolegą, a o herbatę proszę — odpowiedział Świrski uradowany, gdyż w zapraszającym poznał nocnego



http://rcin.org.pl

towarzysza Litwina. Był to szatyn z twarzą zarośniętą, z niebieskiemi, zapadniętemi oczyma, prawie obdarty. Ale twarz miał tak uczciwą, że Kazimierz odrazu nabrał do niego zaufania.

— Szkoda, że nie nocowałem obok pana! — rzekł Kazimierz.

— A co, może chcieli okraść?... Tu i takie się trafiają... Jeżeli kolega-naczelnik chce, złodziej znajdzie się, ale... kapitan... każe go powiesić.

— Powiesić?... za kradzież?...

— U nas tak, ale i to niewiele pomaga. Kto urodził się złodziejem, tego sznurek nie odstraszy, ani patryotyzm nie wyleczy; tak samo, jak ze szczura nie zrobi się zająca... To też my unikamy takich jegomościów i trzymamy się trochę osobno.

— Jacy wy?... — spytał Kazimierz.

Litwin machnął ręką i poszedł naprzód. Po chwili Świrski spostrzegł między krzakami jeszcze jedną jaskinię. Kiedy zbliżali się tam, Litwin zapytał:

— A jak chce się przezwać kolega-naczelnik, bo tu każdy ma przezwisko... Bezpieczniej!... Naprzykład ja — nazywam się Pogończyk...

— A ja... No, niech będzie — Samotnik... — odpowiedział Świrski.

— Smętna nazwa!... Ale między nami niema się bardzo czem weselić...

W jaskini siedziało kilkunastu ludzi, z których jeden mówił, lecz nagle przerwał, zobaczy-

http://rcin.org.pl

wszy wchodzących. Litwin zaprezentował Świrskiego, obecni podnieśli ręce do czapek, a gdy Świrski i Pogończyk usiedli na gałęziach, ktoś odezwał się:

— Mówcie dalej, towarzyszu Janie... Może i goście zechcą posłuchać...

W odpowiedzi na to pochylił się, jakby pytając o pozwolenie, człowiek młody, niewysoki, w okularach, z twarzą dziwnie łagodną. Pomyślał, zatarł ręce i począł w dalszym ciągu:

— ...Cierpimy głód, chłód, odzienie zlatuje z nas, nie mamy dachu nad głową...

— Także biedny był Jezus Chrystus i jego uczniowie... — wtrącił Litwin.

— ...Ale czy lepiej się powodzi naszym towarzyszom-robociarzom, którzy nie mają roboty, albo tym, którzy siedzą w więzieniu?... Robociarze, pozbawieni pracy, ich żony, ich dzieci cierpią napróżno; ale my cierpimy po to, ażeby zdobyć szczęście dła innych i dla tych z pomiędzy nas, którzy nie zginą w walce i doczekają nowych czasów...

Powiesz, bracie: wam, którzy bronią walczycie o wolność, grozi śmierć!... Tak jest: śmierć!... bo my się nie poddamy, nie złożymy broni, tylko zginiemy; bo my, walcząc za wolność, już nie wdziejemy na siebie drugi raz tych kajdan, któreśmy zrzucili... Ale cóż to jest śmierć?... Twardy sen... A który z was, towarzysze, nie pragnie, nie pożąda choćby i dziś snu twar-



http://rcin.org.pl

dego? Kto nie jest zbiedzony, zmęczony, nawet zbolały?...

— Prawda!... — wtrącił głos.

— Tylko durnie boją się śmierci...

— A za tak małą ofiarę z naszej strony, jaką jest śmierć, czyli: przyjemny sen, zobaczcie: ile szczęścia pozyska ogół i ci nasi towarzysze, którzy przeżyją innych... Każdy człowiek będzie miał robotę, ale z jego zarobków nic nie będą mu strącali majstrowie, ani przedsiębiorcy, ani właściciele domów... Za ośm godzin pracy będzie miał taką zapłatę, że nietylko wystarczy mu na dobre utrzymanie, ale i na uczciwe rozrywki. Kobiety będą spełniać tylko łatwe zajęcia, a brzemienne przez trzy miesiące będą odpoczywały. Każde dziecko będzie miało opiekę i naukę, każdy chory — lecznicę, każdy starzec przytułek... Nie będzie głodnych, ani obdartych, ani sierót, ani opuszczonych, ani... wyzyskiwaczy... Każdy kapitalista, poznawszy nowy ustrój społeczny i przekonawszy się, że jest mu w nim lepiej, niż było dotychczas, dobrowolnie odda swój majątek...

— Ale, dopóki nie oddaje, trzeba mu z pyska wydzierać... — odezwał się ktoś.

— Najlepiej odrazu w łeb, a pieniądze do kabzy...

Mowca w okularach zatrząsł rękoma i wybuchnął:

— Na dobro publiczne... na cześć proleta-

http://rcin.org.pl

ryatu zaklinam was, towarzysze... jeżeli podniesiecie rękę na kogo, to tylko w ostateczności... Walczyć z silnymi musimy, ale bezbronnych mordować!... Nie, ręce nasze, któremi zdobywamy wolność i szczęście dla wszystkich, muszą być czyste, nie zmazane krwią...

— Ani złodziejstwem... — wtrącił inny głos.

— Rabunek nigdy!... — wołał mowca. — Za wszystko zawsze płacić, a jeżeli zdobywacie pieniądze rządowe, albo musicie skonfiskować jakiś fundusz prywatny na rzecz ogólnego dobra, róbcie to formalnie...

— W takich wypadkach wystawia się kwity...

— Które, gdy zwyciężymy, będą wypłacone— kończył mówca.

— Kto tam tego doczeka!... — wtrącił inny głos.

— Kto?... — zawołał młody mówca... — Mogę was zapewnić, towarzysze, że, zanim rok upłynie, nastąpią zmiany, które wynagrodzą nam wszystkie cierpienia... I dlatego działajmy i żyjmy jak najbardziej honorowo, ażebyśmy mieli prawo rzec burżujom: skoro my, w nędzy i niebezpieczeństwie, mogliśmy być uczciwymi, to wy, w spokoju i dostatkach, powinniście postępować równie uczciwie i ponosić niewielkie ofiary dla publicznego dobra... My, proletaryusze, nauczyliśmy was cnoty i obowiązku, wy, kapitaliści, musicie nas naśladować...

Kilku słuchaczy potakiwało mówcy, inni mil-

http://rcin.org.pl

czeli. Świrski przypomniał sobie, że już nieraz słyszał podobne, słowo w słowo, teorye i nadzieje, a nawet sam je wygłaszał; dziś jednak wydały mu się mniej pewnemi. To też pochylił się do Litwina i ostrożnie szepnął:

— Nie wiem, czy w ciągu roku dokonają się te zmiany!...

— Ale, jeżeli ma być tak źle, jak było, to lepiej ginąć... — odparł Litwin.

Herbata ugotowała się, i zaczęto ją rozdawać. Świrski dostał spory kubek i kawał chleba ze słoniną. Kubek był brudny, herbata mętna i niesłodka, chleb czerstwy; pomyślał jednak, że dawno nie smakowało mu śniadanie, jak dzisiaj.

W ciągu dnia zapoznał się z wieloma partyzantami i zaczął odgadywać stosunki w partyi. Zrozumiał, że istnieje kilka stronnictw, a przedewszystkiem bardzo nieliczni patryoci i mnodzy socyaliści. Z drugiej zaś strony, obok garstki ludzi, przesiąkniętych duchem rycerskim i gotowych oddać życie za wolność i pomyślność narodu, większość tworzyli albo już gotowi bandyci, albo mogący stać się bandytami.

Świrski musiał przyznać, że tego rodzaju uwagi dawniej nie przychodziły mu na myśl; urodziły się dopiero w Leśniczówce, pod wpływem rozmów i wydarzeń, na które patrzył.

Cały dzień snuł się bez celu po jaskiniach i lesie, bez towarzystwa. Litwin pracował niezgrabnie nad wyłataniem swojej zniszczonej

http://rcin.org.pl

odzieży, towarzysz Jan przemawiał do coraz nowej grupy partyzantów, zachęcając ich do poświęceń i honorowego postępowania; Dziewiątka był zajęty, zresztą nie budził w Kazimierzu ani ufności, ani sympatyi; w końcu Starka zdawał się unikać Świrskiego, jakby wstydził się, czy nie dowierzał szkolnemu koledze. Gdy zaś Kazimierz zapytał kogo: gdzie jest reszta oddziału z kapitanem? — spoglądano na niego podejrzliwie i nie odpowiadano.

»A to pięknie wpadłem!...« — rzekł do siebie Świrski.

W jednej jaskini znalazł kilka starych, podartych i zatłuszczonych gazet. Pochwycił je z najwyższą radością i odczytywał każdy skrawek, choć artykuły nie były ciekawe, a wiadomości bardzo spóźnione.

Już około trzeciej styczniowe słońce ukryło się za lesistemi wzgórzami. Podsycono ogniska, partyzanci wzięli się do szycia, do jedzenia, do kart, a na duszę Kazimierza spadał coraz gęstszy tuman nudów i tęsknoty. Dwa miesiące temu, miesiąc... całkiem inaczej wyobrażał sobie życie obozowe i stosunki koleżeńskie, które dzisiaj budziły w nim nieufność, a nawet obrzydzenie.

Około siódmej wieczór na gwiaździstem niebie ukazał się księżyc, a w lesie — cuda. Jodły zamieniły się w szeregi wojska olbrzymów, świerki w zaczarowane pałace, zbrojne zamki i świątynie, z wąwozów wypełzały cienie taje-

http://rcin.org.pl

mnicze. Dusza Kazimierza rwała się do marzeń, lecz — szukał go Dziewiątka i zapytał: czy nie zechce, za parę godzin, pójść na wartę, a jeżeli zechce, kogo wybierze za towarzysza? Był to dowód wyjątkowej uprzejmości ze strony dowódcy.

Kazimierz oświadczył, że na wartę pójdzie z chęcią, a za towarzysza wybiera sobie Litwina, jeżeli ten się zgodzi. Znalazł Litwina, porozumiał się z nim, poczem obaj dostali pół bułki wybornego chleba sitnego, po kawałku słoniny z papryką i ugotowali sobie duży imbryk wcale dobrej herbaty. Świrski był rozgrzany, syty i zadowolony. Drażniło go to w przyjemny sposób, że pierwszy raz w życiu znajdzie się na prawdziwie niebezpiecznem stanowisku.

O dziewiątej jakiś człowiek z gwałtownymi ruchami zaprowadził ich na strome wzgórze, pomiędzy stare lipy dziwnych form, może pół wiorsty od obozu. Ze wzgórza było widać rozległe jezioro zamarznięte, a dalej — równinę, którą przecinała niezbyt uczęszczana droga. Jeszcze dalej ciągnęły się gęste lasy.

— To jest ważne miejsce — mówił przewodnik — niech towarzysze patrzą, bo stąd najłatwiej mogliby nas zagarnąć...

Kiedy ich opuścił, Świrski odezwał się do Litwina:

— Więc nasza kopalnia nie jest bardzo bezpieczna?

http://rcin.org.pl

— Nazywamy, że to dom nasz — odpowiedział Litwin — ale siedzimy w niej, jak ptaki na gałęzi, dopóki ich myśliwiec nie podejdzie.

— Ludzie jednak dzielnie się trzymają, pomimo niebezpieczeństwa.

— Cóż mają robić?... przecie zebrali się na niebezpieczeństwo. Ale, jeżeli przyjdzie nam tułać się tak jeszcze z miesiąc, a pomoc nie nadciągnie, będziemy musieli napaść jakie koszary i zginąć z honorem. Zima nie żartuje!

Umilkli i przypatrywali się jasnej równinie i otaczającym drzewom. Jedna lipa naga podniosła gałąź, niby palec, który ostrzegał i groził; drugiej konar wygiął się ku dołowi, jak gdyby chciał pochwycić Kazimierza. Świrski otrząsnął się i rzekł półgłosem:

— Czy tylko warty czuwają nad bezpieczeństwem oddziału?

— Gdzieżby zaś!... Co parę godzin z rozmaitych stron ktoś nadbiega. Jedni przynoszą żywność, bieliznę, odzież, jeżeli można, a inni wiadomości. Kolega-naczelnik słyszał, że kapitan napadł wczorajszej nocy na Józówkę?...

Nic nie wiem... — odparł Świrski.

— A jakże — śpiewał Litwin — napadł i z monopolu zabrał coś pięćset rubli, a z gminy podobno kilka tysięcy i książeczki paszportowe. Inne dokumenty popalił.

— Rusza się ten wasz kapitan...

— Ba!... urodzony wojownik... Gdyby nie

http://rcin.org.pl

umęczenie ludzi, urządzałby codzień napad... A jaki surowy, jaki odważny, jaki przezorny!... O nim wiadomo, że albo zwycięży, albo zginie. I słyszę, że to człowiek prosty, kowal... I jeszcze on sam mówi, jakoby sztuki wojennej uczył się u kolegi-naczelnika...

Świrski przypomniał sobie trzykrotny okrzyk w Leśniczówce: »Niech żyje naczelnik!« i czuł, że tym okrzykiem, niby łańcuchem, Zajączkowski przykuł go do partyi. W tej chwili Kazimierz śmierci lękał się mniej, niż kiedykolwiek, ale świadomość, że jest tak mocno związany z niezwykłym bandytą, kamieniem padła mu na serce. Inni byli tu ochotnikami, on — więźniem.

Wtem zdaleka... zdaleka... gdzieś za jeziorem i równiną, rozległ się wystrzał, kilkakrotnie powtórzony przez echo. Drugi strzał i — cała salwa, znowu powtórzona przez echo.

— Strzelają? — szepnął Litwin.

— Nawet niedaleko!... — odpowiedział Świrski.

Nowe strzały nieporządne, gorączkowe... nowa salwa i — huk silniejszy od wystrzału armatniego, któremu ze wszystkich lasów odpowiedziały grzmoty.

— Bomba... bomba!... — rzekł Litwin. Ręce drżały mu.

Drugi, niemniej potężny huk... trzeci huk i znowu grzmoty...

— Pewnie kapitan napadł ten oddział, który

http://rcin.org.pl

miał aresztować kolegę-naczelnika — mówił Litwin.

— A pan skąd wie o tem?...

— Zdaje się, że w oddziale wszyscy wiedzą... Dziewiątka mówił...

Na te słowa w Świrskim wybuchło uczucie, graniczące jakby z rozpaczą. Jeżeli Zajączkowski napadł kozaków, którzy poszukiwali go, to znaczy, że Świrski już ostatecznie i nieodwołalnie jest związany z bandytą, którego wprawdzie podziwia za odwagę, ale jednocześnie czuje do niego głęboki wstręt. Ileż to razy marzył on o tych salwach karabinowych, o nocnych napadach, o grzmocie armat!... A jakże to, co się dzieje w tej chwili, jest niepodobne do jego marzeń...

Około północy ukazał się Dziewiątka z dwoma towarzyszami, którzy zastąpili Świrskiego i Litwina. Kazimierz od dwudziestu kilku godzin nie spał, toż samo Litwin; ale pewność, że niedaleko miała miejsce potyczka, odpędziła od nich sen, nawet uczucie znużenia.

Tych samych uczuć musieli doznawać i inni partyzanci; gdy bowiem Świrski wrócił do kopalni, nikt nie spał, a prawie wszyscy byli na polance. Pogaszono ognie w jaskiniach, wielu miało na plecach torby i czekało na rozkaz wymarszu. Rozmawiali o potyczce, która była wprawdzie krótka, ale musiała być gwałtowna, i z nie-

http://rcin.org.pl

pokojem zapytywali jedni drugich: czy oddział Zajączkowskiego nie został rozbity?...

— Za krótko strzelali... — mówił jakiś brodacz do szczupłego, nieco pochylonego młodzieńca. — A jeżeli nasi rozbiegli się, to nad ranem możemy mieć kozaków...

Powoli jednak rozmowy cichnęły, ludzie zaczęli ziewać i powracać do jaskiń. Przy wejściu do jednej usiadł Kazimierz z Litwinem i zaczęli półgłosem rozmawiać o przyczynach rewolucyi i o tem: jak prędko rosyjskie legiony przyjdą na pomoc polskim partyzantom?

— Jeżeli nie przyjdą — mówił Litwin — my wyginiemy, a zostaną tylko rabusie...

W tej chwili z drugiej jaskini ktoś wybiegł, zataczając się, jak pijany. Po wysokim wzroście, a bardziej po ruchach Kazimierz poznał Starkę i dojrzał w jego ręce brauning.

— Co się stało?... — zawołał Świrski. — Dokąd biegniesz?

— Kto tu był?... gdzie poszedł?... — odpowiedział chrapliwym głosem Starka.

— Nikogo nie było...

— Łżesz...

Kazimierz zerwał się z podniesioną pięścią.

— Słuchajno... ty!... Uważaj, do kogo mówisz — krzyknął.

Litwin wydobył brauning i łagodnym ruchem skierował go do Starki.

http://rcin.org.pl

— Niegrzeczny jest kolega-adjutant — mówił słodko. — Musiał wypić cośkolwiek za dużo...

Starka podniósł lewą rękę do oczu, postał chwiejąc się na nogach, wreszcie, jakby przebudzony, rzekł zupełnie innym głosem:

— Zdawało mi się, że po izbie chodził ktoś obcy... Nawet chciałem go złapać za sznur...

— Aha!... — mruknął Litwin. — Sznury spać nie dają...

— W obozie nie trudno o szpiegów... — mówił Starka. — Nie masz, Kazik, wódki?...

Świrski był zdumiony.

— Tyś chory?... — zapytał Starkę już bez gniewu.

Starka ciężkim ruchem usiadł na kamieniu obok nich, ziewnął i mówił, śmiejąc się:

— W tej bandzie złodziejskiej nawet wyspać się nie można... Ledwie człowiek zamknie oczy, zaraz mu się coś marzy...

— Sznury... sznury!... — wtrącił Litwin.

W tej chwili rozległo się kilkakrotne gwizdnięcie. Partyzanci zaczęli wybiegać z jaskiń, a między drzewami ukazało się paru ludzi. To patrol przyprowadził chłopa, który opowiadał, że jedzie od szosy, gdzie Zajączkowski napadł pocztę, wiozącą wielkie pieniądze.

— I zabrał?... w którem miejscu?... ile?... dużo naszych zginęło?... szemrali partyzanci.

Potem przybysz odszedł na bok z Dziewiątką i powiedział mu kilka słów.

http://rcin.org.pl

— A dobrze znasz drogę?... — zapytał Dziewiątka.

— Jeszczeby zaś!... — odpowiedział przybyły.

W kwadrans później oddział maszerował ku południowi, ścieżyną wprawdzie wązką, ale równą. Świrski uczuł senność, a jednocześnie przypomniał sobie, że Zajączkowski nie napadł tego oddziału, który miał jego aresztować, ale napadł — pocztę.

»To dobrze... to bardzo dobrze!...« — pomyślał.

— Co kolega-naczelnik mówi?... — odezwał się Litwin znużonym głosem.

— Ja?... ja nic nie mówię — odparł Świrski i po chwili znowu dodał:

»Bardzo... bardzo dobrze...«

Zaczęło świtać. Kazimierzowi zdawało się, że ręce wydłużają mu się aż do ziemi i czuł nieprzyjemne kłucie w oczach. Współcześnie miał chęć zapytać Litwina: co znaczą owe »sznury«... o których parę razy wspomniał Starce?... Ale nie mógł ust otworzyć. Więc znowu przypomniał sobie, że miał Litwina zapytać o Starkę; ale o co zapytać?... Potem przyszło mu na myśl, że miał kogoś zapytać o coś, ale kogo i o co?... Nagle uczuł bezdenną pustkę w głowie i ocknął się przerażony...

Było już widno. Partya wyminęła jakiś lichy mostek i zbliżała się do stogu, pokrytego śniegiem. Ludzie maszerowali z pochylonemi gło-

http://rcin.org.pl

wami, ciężko podnosząc nogi; na twarzy Litwina malował się rozpaczliwy smutek.

— Dolega panu co?... — spytał ze współczuciem Świrski.

— Życie, kolego-naczelniku... życie!... Nie tego człowiek się spodziewał i nie tego pragnął...

— Kto idzie?... — zawołano między krzakami wierzbiny.

— Nie widzisz?... — odparł Dziewiątka. — A gdzie kapitan?...

— Trochę zdrzemnął się...

— To go obudź!...

Dwójki stanęły, ludzie zaczęli tupać nogami, wyprostowywać się, powstał gwar. Potem z krzaków wybiegli inni partyzanci, z których kilku miało dubeltówki, a niektórzy — karabiny z bagnetami.

— Kaziu!... gdzie jesteś?... — wołał młody głos.

— Tutaj... to wy?... — odpowiedział Świrski.

— Równaj się!... — krzyknął Dziewiątka.

Świrski stanął wyprostowany w szeregu, do którego dopadli Chrzanowski i Lisowski. Burki, a pod nimi półkożuszki, jednemu nadały wygląd ogromnego, drugiemu — barczystego mężczyzny. Ale twarze mieli wychudłe i jakby odmłodzone, pomimo brudu.

— Jak się mata, chłopaki!... — wykrzyknął basem Zajączkowski.

— Niech będzie pochwalony!... Zdrowiśmy...!

http://rcin.org.pl

Jak się ma pan kapitan... — odpowiedziano z szeregu.

Zajączkowski popatrzył na swoich podwładnych z uśmiechem, poprawił karabinek na ramieniu, dotknął rewolwerów przy pasie i zbliżył się do Świrskiego.

— Dzień dobry naczelnikowi... jak się pan ma?... — rzekł, podając Świrskiemu rękę. A ciszej dodał:

»Psiakrew, nie udało się!... Wieźli sześćdziesiąt tysięcy rubli... kozaków pobiliśmy, furgon wysadziliśmy, a pocztylion, psia jego mać, wymknął się saneczkami i wykradł pieniądze. Pasy darłbym z psubrata, żebym go złapał!...«

— Kapitan musi być zmęczony?... — zapytał Świrski.

— Mnie nic, ale te kundle... — wskazał na szereg. — Gdybyśmy teraz mieli sześćdziesiąt tysięcy, mogliby ze dwa tygodnie odpocząć... A nie gadać tam głośno, bo stąd niedaleko szosa... Iwanow będzie zły!... O, żebym ja tego pocztyliona dostał!...

Zbliżył się do Zajączkowskiego Dziewiątka, i obaj odeszli, żywo rozmawiając. Szereg połamał się, ludzie z obu oddziałów połączyli się i zaczęli śmiać się i witać. Świrski, Chrzanowski i Lisowski, uściskawszy się, poszli w stronę stoga.

— No, powiedźcież mi: co się z wami dzie-

http://rcin.org.pl

je?... — zaczął Świrski. — Nawet nie mieliśmy czasu nagadać się...

— Już i ja zaczynam się nudzić!... — odpowiedział Lisowski, a Chrzanowski ręką machnął.

— Co?... jak?... gadajcież... — nalegał Świrski.

— Czy nie widzisz sam... czy nie rozumiesz?..— odparł Chrzanowski. — Łupią monopole i kasy gminne, strzelają do bab, mordują pisarzy i wydaje im się, że to jest wojna...

— Wojna o niepodległość!...—dodał z uśmiechem Lisowski.

Świrskiemu przemknęło przez głowę, że, będąc w Leśniczówce, prawie tymi samymi wyrazami oceniał ruch obecny. Jednocześnie przypomniał sobie, że na krytykę już zapóźno.

— A nie moglibyście uwolnić się stąd?... — zapytał. — Gdyby tak poczciwemu Zającowi wsunąć parę tysięcy rubli?...

— On i za kilkaset uwolniłby nas — rzekł Chrzanowski. — Jesteśmy tu piątem kołem u wozu...

— Jesteście przecie oficerami... — wtrącił Świrski.

— Od parady — rzekł Lisowski.

— Rozkazy wydaje Kot i Dziewiątka — dorzucił Chrzanowski. — I lepiej, bo my nie potrafilibyśmy komenderować taką hołotą... — rzekł ciszej.



http://rcin.org.pl

— Tu wszyscy nas nie cierpią... — szepnął Lisowski. — Nazywają paniczami...

— Powiedz: darmozjadami!...—poprawił Chrzanowski.

— Więc uwolnijcie się — rzekł Świrski.

— A gdzie pieniądze?... — odparł Chrzanowski. — Zając, przy dobrej wódce, może i uwolniłby nas... Ale tej hołocie trzeba czemś zapchać paszcze...

— No, jeżeli tylko o to idzie... — mówił Świrski.

W stronie szosy rozległy się dwa głuche wystrzały; Chrzanowski i Lisowski pobledli, Świrski uczuł ból w sercu. Tyle lat marzył o bitwach, o śmierci z bronią w ręku... Ale bić się w tych warunkach i ginąć w tem towarzystwie wydawało mu się nieszczęściem. Spojrzawszy na kolegów, zrozumiał, że Chrzanowski i Lisowski doznają tych samych uczuć.

Partyzanci uszykowali się, lecz, po upływie kilku minut, znowu rozbili się na drobne kupki i pobiegli w stronę szosy, za Zajączkowskim. Świrski i jego dwaj koledzy zwolna posuwali się za gromadą.

Z pomiędzy krzaków wyszli na otwarte pole, skąd wybornie widać było szosę. Na szosie stał powozik w parę silnych koni; na koźle siedział Żyd furman, którego dwaj partyzanci trzymali za kark, a obok powoziku czterech czy pięciu ludzi szarpali kogoś drugiego. Od czasu do czasu

http://rcin.org.pl

rozlegał się niby jęk, niby błaganie, któremu wtórował zirytowany głos Starki.

Do powoziku zbliżył się Zajączkowski, a Starka coś mu przekładał wrzaskliwym tonem. Potem Zajączkowski machnął ręką, człowiek szarpany zaczął wyć i ryczeć, a otaczający popychali go do drzewa.

— Oho!... oni go powieszą... — rzekł Lisowski.

— Kogo?... za co?... — spytał przerażony Świrski.

— Czy ja wiem kogo?... Zdaje się, że to jakiś Żyd, nawet w bogatem futrze...

Trzej młodzi ludzie zaczęli biedz. Nim jednak dosięgli szosy, już ktoś przerzucił sznur przez konar drzewa i jeden koniec założył na szyję Żydowi, z którego inni towarzysze zdarli futro. Żyd, człowiek ogromny, z długą szpakowatą brodą, z początku krzyczał chrapliwym głosem, lecz nagle umilkł. Miał twarz barwy woskowej, białe usta i wytrzeszczone oczy, w których malował się strach śmiertelny.

Świrski przeszedł jeszcze kilkanaście kroków i stanął obok Zajączkowskiego. Gdy zaś spojrzał na partyzanta, który założył sznur na szyję Żydowi i gotował się, ażeby pociągnąć go w górę, poznał... Starkę!... Zaszumiało mu w głowie, rzucił się naprzód i, pomimo nieopisanego wstrętu, pochwycił Starkę za ramię, wołając:

— Co ty robisz, ty... szubrawcze?...



http://rcin.org.pl

— Odsuń się... psia!... — syknął Starka.

— Tego cię nauczyło nasze koleżeństwo, ty... podlecu!... — krzyknął Świrski. Oburącz schwycił Starkę za gardło, potrząsnął i rzucił w śnieg. Napadnięty nie stawiał najmniejszego oporu.

— Chwacko!... — odezwał się Zajączkowski. — Ale dlaczego to pan naczelnik ujmuje się za szpiegiem?...

— Żyd... burżuj... sprzedał Jędrzejczaka... Jędrzejczak zginął przez niego!... — szemrali partyzanci.

Świrski przypatrzył się Żydowi i poznał Pfefermana, handlarza drzewa z miasta X. W jednej chwili przypomniał sobie historyę Jędrzejczaka, którą opowiedział mu doktór Dębowski, i krzyknął:

— To nie prawda!... to człowiek niewinny... Jędrzejczaka denuncyował tajny agent i jacyś fałszywi świadkowie...

— Właśnie, że Pfeferman wydał Jędrzejczaka, a ty ujmujesz się za szpiegiem... — wychrapał zapieniony Starka, który już podniósł się.

— Łżesz!... — zawołał Chrzanowski. — Wiesz tak dobrze, jak i my, że Świrski mówi prawdę...

— Na gałąź Żyda!... ciągnijcie!... — wołano z tłumu.

— Kolega-naczelnik ma racyę!... słuchajcie go!... — wrzasnął Litwin.

— Bracia!... towarzysze!... nie róbcie krzywdy niewinnym... — wołał zadyszany młodzieniec

http://rcin.org.pl

w okularach. — Nasze ręce muszą być tak czyste, jak świętą jest sprawa proletaryatu...

— Wieszać burżujów i tych, co się za nimi ujmują!... — krzyczano w gromadzie.

Świrski obejrzał się i zawołał:

— Nie wstyd wam podejmować się obowiązku katów i jeszcze nad niewinnym człowiekiem?... Żaden prawdziwy żołnierz nie poda wam ręki, żaden oficer nie zechce wami dowodzić!... Tak postępują nie wojownicy, ale mordercy...

— Więc cóż mam robić?... — zapytał nagle Zajączkowski.

— Uwolnić tego kupca i niech sobie jedzie, dokąd chce... — odpowiedział Świrski.

Zajączkowski rozmyślał. — Szczęściem dla Pfefermana ktoś z gromady krzyknął:

— Nie można uwalniać...

Wielka twarz Zajączkowskiego posiniała. Wyciągnął brauning z za pasa i rzuciwszy się między tłum, krzyknął:

— Ja ci, psia twoja mać, pokażę: »nie można uwalniać...« Kto tu rozkazuje?... kto tu pan?... Ja pan!... ja dowódca!... Oddać, psie krwie, Żydowi futro... zdjąć postronek!... Dobrze powiedział pan naczelnik: nie hycleśmy, ino żołnierze. Siadaj, parchu, na wóz i zmykaj...

— A pieniądze?... — zapytał Dziewiątka.

— Ja nie chcę pieniędzy... — odezwał się Żyd dygocącym głosem — ja nie chcę zegarka...

http://rcin.org.pl

niech panom służy za fatygę... Panie Świrski... ja do śmierci panu nie zapomnę...

— A ile było pieniędzy?... — spytał zamyślony Zajączkowski.

— Bagatelka... ośmset rubli... — mówił Pfeferman. — Ten zegarek to niech pan dowódca będzie łaskaw... To jest złoty zegarek, bardzo dobry... A ten pierścionek...

Zdjął z palca drżącą ręką gruby pierścień z szafirem i, podał go Starce. Starka odepchnął Żyda i odwrócił się tyłem. Świrski teraz dopiero spostrzegł, że broda Starki ma dziwną formę, a w oczach majaczy nienaturalny wyraz.

— To chyba waryat?... — szepnął Świrski do Chrzanowskiego.

— Z pijaństwa... — odszepnął Chrzanowski.

— Ale, gdyby każdy powieszony dawał mu pierścień, Monopolka mógłby otworzyć sklep jubilerski... — dodał niemniej cicho Lisowski.

— To on wiesza?... — zapytał przerażony Świrski.

— Ale jak!...

Tymczasem pierścień, zegarek i pugilares dostały się do rąk Zajączkowskiego, który, rozmyślając, mówił:

— Pierścionek niczego... mogę wziąć... Zegar przyda się... A Gorczyca niech porachuje pieniądze. Ten nie ukradnie.

— No, i ja może nie ukradłbym!... — wtrącił obrażony Lisowski.

http://rcin.org.pl

— I ty nie ukradłbyś i jeszcze kilku... Ale reszta... nawet sobie nie dowierzam... No, Żydy zabierajta się i zapamiętajcie sobie, jakąśmy wam łaskę wyrządzili... — kończył Zajączkowski.

— Mam jechać?... A nic mi się nie stanie?...— pytał Pfeferman płaczliwym głosem. Jego usta już nabrały lekko różowej barwy, w oczach przygasał wyraz trwogi.

Kilku partyzantów, śmiejąc się, wsadziło go do powoziku, a furman zaciął konie. Gdy Żydzi zniknęli za krzakami, do Świrskiego zbliżył się niewysoki towarzysz w okularach, zwany Janem, i wytwornemi słowami powinszował mu odwagi:

— Uratowałeś, bracie, człowieka; będzie to piękną kartą w twoim życiorysie...

— Wypuścił szpiega!... — mruknął wąsaty łachmaniarz z ponurą miną. — A jak Żyd na nas sprowadzi kozaków, to co?...

— Przecie i bez tego ganiają nas — wtrącił Litwin. — Więcej zgryzoty przysporzy nam rozbita poczta, aniżeli Żyd nie powieszony...

— Takiś sam dobry, jak ci panicze!... — odparł łachmaniarz i zwolna odszedł.

— Tego drapichrusta niech kolega-naczelnik ma na oku... I jeszcze paru... — szepnął do Świrskiego Litwin.

Partya cofnęła się w głąb lasu i po dwugodzinnym pochodzie zatrzymała się przy wielkiej starej szopie. Ktoś przywiózł mięso, krupy, ko-

http://rcin.org.pl

tły, i kucharze zgotowali obiad, po którym Świrski położył się spać w szopie, na przegniłych liściach.

Około północy Lisowski zbudził Kazimierza, pytając: czy nie poszedłby na wartę, gdyż ludzie są bardzo znużeni i nie każdego można być pewnym, że nie zaśnie na posterunku. Świrski zerwał się, przetarł oczy i w kilkanaście minut znalazł się na polance sam, gdyż inni partyzanci wymawiali się od towarzyszenia mu.

— Ja nie kolega takich paniczów!... — mruknął jeden. Świrskiego zastanowiło to powiedzenie.

Czuwał około godziny z brauningiem w ręku, oglądając się i nasłuchując. Księżyc świecił jasno, dokoła cisza. Świrskiemu parę razy zdawało się, że wśród gęstwiny rozległ się szelest. Może jakie zwierzątko przebiegło, może śnieg zsunął się z drzewa... Nagle z tyłu huknęły dwa wystrzały, a jedna z kul otarła się o rękaw Kazimierza. Świrski struchlał, myśląc w pierwszej chwili, że kozacy otaczają partyzantów; lecz jednocześnie spostrzegł, że to był huk z małej broni, jakby z brauninga. Więc odstrzelił się w tym samym kierunku i stanął za sosną.

Tym razem napewno usłyszał szelest prędko oddalających się kroków i pomyślał: »To do mnie strzelił swój...« W stronie szopy, niezbyt odległej, zrobił się hałas; do Świrskiego przybiegł Dziewiątka, potem Chrzanowski... Zdjęto

http://rcin.org.pl

go z posterunku i odprowadzono do szopy, gdzie położył się i zaraz zasnął, niewiele dbając o swoją przygodę. Po to przecie był tutaj, ażeby narażać się na wystrzały; a kto strzelał, kozak czy partyzant?... było mu dziś wszystko jedno.

Na drugi dzień, popołudniu, wezwał go Zajączkowski i poszli razem przez las, w stronę owej polanki. Kapitan, ciężko sapał, oczywiście dla dodania sobie powagi, i zakręcał wąsa lewą ręką, na której małym palcu jaśniał gruby, złoty pierścień z szafirem.

»Przecież to jest skończony bandyta!... — pomyślał Świrski.

— Te ścierwa naczelnika zakantopią!... — odezwał się Zajączkowski. — I ja nic na to nie poradzę... Mogę powiesić jednego... dwu... Ale jeżeli jest ich z dziesięciu, to całej partyi nie będę wieszał...

— Mówi pan o strzałach do mnie? — zapytał obojętnie Świrski.

— Maśśś się wiedzieć!... Pięknie, że naczelnik nie bierze do serca takich głupstw, no, ale ja nie pozwolę, ażeby oni pana zmarnowali.

— Jacy oni?...

— Ci, którym Monopolka wytłumaczył, że ten Żyd to był szpieg... Wreszcie, bez obrazy, partya jakoś naczelnika nie bardzo... tego...

— Nie bardzo mnie lubią?... Czuję to sam.

http://rcin.org.pl

— Nietylko pana... Ich także w oczy kłuje Szczurek i Gorczyca...

»Niby Lisowski i Chrzanowski...« — pomyślał Kazimierz, a głośno dodał:

— To też niech nas kapitan uwolni z partyi, jeżeli nas nie lubią.

— Naczelnika choćby i dziś... — zawołał kapitan. — Ale tamci są nam coś nie coś winni. Kiedyśmy ich odbili w mieście, to jednak paru naszych wpadło!...

— Możnaby wynaleźć jakieś odszkodowanie — wtrącił Świrski. — Ile naprzykład kapitan myśli?...

Targ w targ, Zajączkowski oświadczył, że za tysiąc pięćset rubli na rzecz partyi uwolni Chrzanowskiego i Lisowskiego z oddziału.

— Kto nie wojuje, niech płaci!... — zakończył kapitan.

Umówiono się, że Świrski jak najprędzej wyjedzie starać się o pieniądze, a Chrzanowski i Lisowski do jego powrotu zostaną w oddziale.

— Ja puściłbym ich bez niczego — mówił Zajączkowski — bo z nich p r e f i t mały. Ale wtedy inni zechcieliby się wynosić, a tak nie można. Albo płać, albo wojuj.

W godzinę później, serdecznie pożegnawszy dwu szkolnych kolegów i Litwina, Świrski wyjechał z oddziału tymi samymi końmi, które przywiozły żywność. Na odjezdne jeszcze raz szepnął Chrzanowskiemu:

http://rcin.org.pl

— Jeżeli dobrze pójdzie, za tydzień będziemy w Galilei...

— Bodajby tak!... — odpowiedział spokojnie Chrzanowski. — W każdym razie stało się, jak przewidywaliśmy. Chcesz się uwolnić z partyi — płać...

## XIV.

Od szopy w lesie, przy której Świrski opuścił bandę, do miasta X. było dwanaście godzin jazdy końmi; ale Kazimierz drogę tę odbywał przez ośm dni, a przeżył całe lata spostrzeżeń i wzruszeń.

Pierwszy postój wypadł mu u gospodarza, który do partyi przywiózł żywność. Gospodarz ów nosił się z miejska, miał grubą marynarkę, długie buty i kożuch, a fizyognomię niezwykle uczciwą. Z jego niebieskich oczów wyglądała szczerość, każde zdanie było rozsądne i godziwe; nawet jasne, nieco podkręcone wąsy budziły zaufanie. Wioząc Świrskiego, mówił, że ruch rewolucyjny jest nieszczęściem dla kraju, ale popierać go trzeba, gdyż on wywołał konstytucyę. która wszystko wynagrodzi.

— Męczymy się dziś, panie, wszyscy, nietylko wy — mówił. — Nawet w lesie dziś może i bezpieczniej, aniżeli w domu. Ale musimy to wszystko wytrzymać, ażeby choć naszym dzie-

http://rcin.org.pl

ciom było dobrze. O panie, konstytucya to jest ho!... ho!...

Dom, do którego zajechali późnym wieczorem, wyglądał na szlachecki dworek z gankiem i kilkoma wygodnemi, ciepłemi izbami. Stały tam komody, szafy, łóżka, stoły, nakryte serwetami, nawet fotele; każdy jednakże z tych sprzętów, czasami bardzo wytwornych, choć uszkodzonych, miał inny styl, inny kolor, inne obicie. Niemniej dziwił Świrskiego złocony zegar, stojący obok doniczki ze sztuczną różą, i regulator, który wcale nie chodził, obok szkaradnego oleodruku. Kazimierz pomyślał, że gospodarz musi być zamożny, choć nie mógł zrozumieć pochodzenia jego sprzętów.

Na kolacyę zjadł doskonałej kiełbasy z sosem i kartoflami, napił się jeszcze lepszej herbaty i spostrzegł, że na srebrnych łyżeczkach są jakby powybijane znaki. Usługiwała im młoda, ale ponura służąca, której z dalszych pokojów rozkazywała niewidzialna pani domu.

Posłano mu na kanapie i krzesłach, dano czystą bieliznę, materace, trzy poduszki i pierzynę. Mimo to Świrski nie mógł zasnąć: było mu za gorąco, i ciągle przychodziła na myśl niepojęta mieszanina sprzętów. Trzymał więc pod poduszką brauning i magazyny i mimowoli przysłuchiwał się każdemu szelestowi, jakby był na posterunku.

Po północy Świrski usłyszał szmer za oknem,

http://rcin.org.pl

skrzypienie sani, tupot kopyt i ciche rozmowy. Zerwał się z wygodnej pościeli i przez okno zobaczył sanie, naładowane skrzyniami, parę luźnych koni, tudzież kilku mężczyzn w chałatach i kożuchach. Skrzynki zdjęto i gdzieś odniesiono; luźne konie odprowadzono zapewne do stajni. W czasie tych manewrów Kazimierzowi zdawało się, że jego uczciwy gospodarz nazwał kogoś złodziejem i że inny głos odpowiedział: »Sameś od złodzieja gorszy«. Ponieważ rozmowę prowadzono półgłosem, więc Świrski uważał ją za przesłyszenie się.

Później Kazimierz zasnął, aż zbudziły go dwa głosy. Złocony zegar na komodzie wydzwonił ósmą, a ponura służąca przyniosła mu na tacy imbryczek wonnej kawy, dwa garnuszki śmietanki, tudzież stos bułeczek i sucharków. (Bułeczki były czerstwe, a sucharki zmiętoszone). Na widok pięknego chłopca, zbudowanego, jak Apollo, ponura służąca życzliwie uśmiechnęła się i spytała:

— Pan zostanie u nas do jutra?...

I spojrzała tak, że Świrskiego dreszcz przebiegł. Lecz w tej chwili przypomniał sobie pannę Jadwigę; w sercu jęknęła mu nieokreślona tęsknota i — wzruszył ramionami.

Gospodarza nie było, gospodyni wciąż nie pokazywała się. Świrski wyszedł przed dom, przekonał się, że dworek jest w rzeczy samej ładny, otoczony ogródkiem, że na dziedzińcu

http://rcin.org.pl

leżą stosy drzewa, nawet budulcowego, że dalej jest obórka, stajnia, stodółka i że wszystko to stoi na brzegu lasu.

Chciał zajrzeć do stajni, gdzie rozlegało się kwiczenie koni. Ale właśnie w tej chwili ukazał się gospodarz i zawrócił go do pokoju.

— Chyba musi pan zmienić odzienie — rzekł, patrząc na Świrskiego łagodnym wzrokiem. — Taka kurtka i buty nie pasują do miasta...

Kazimierz przyznał mu słuszność, a jednocześnie zrobił uwagę, że nie ma nic innego, oprócz kilku sztuk bielizny w rańcu.

— Może się u nas co znajdzie — odpowiedział gospodarz i wyszedł z pokoju, a potem w stronę lasu. W kwadrans powrócił, niosąc tłumok odzieży, bielizny i butów. Świrski przymierzył: odzienie od biedy pasowało, ale buty były za wielkie. Gospodarz zabrał buty, znowu poszedł w stronę lasu i znowu po kwadransie przyniósł buty już dobre, stary kożuszek i koszyk na rzeczy.

— A paszport pan ma?... — zapytał. A gdy Świrski rozłożył ręce na znak, że nie ma, gospodarz udał się do swojej niewidzialnej małżonki, coś z nią rozmawiał i, znowu po kwadransie, przyniósł najformalniejszy paszport na imię Augusta Szulca, mieszkańca gubernii płockiej.

Nad wieczorem przyszedł jakiś człowiek bez ręki, wyglądający na żebraka. Poszeptali z go-

http://rcin.org.pl

spodarzem, który powiedział Świrskiemu, że jest przewodnik, który może go poprowadzić dalej.

— Naturalnie do X?... — zapytał Kazimierz.

— O nie, panoczku!... — odezwał się przewodnik, chłop łysy z wesołemi oczyma. — Musimy nadłożyć drogi, bo teraz kręci się dużo wojska.

Wypadało obrachować się z gospodarzem, który sam ułatwił Świrskiemu tę kłopotliwą czynność. Policzył dwa ruble za przejazd, dwa ruble za nocleg i żywność, pięć rubli za paszport i piętnaście rubli, tudzież starą garderobę, za nowe odzienie. Do starej garderoby zaliczył całe ubranie, cienką bieliznę Świrskiego i nowy, skórzany raniec. Kazimierz nie odznaczał się praktycznością, musiał jednak przyznać, wobec samego siebie, że jasnooki poczciwiec oporządził go doskonale!...

Kiedy z okaleczałym przewodnikiem odeszli parę wiorst od gościnnego dworka, Świrski zapytał: kim jest ów gospodarz, którego przed chwilą pożegnali.

— Panicz nie wiedzą?...—odpowiedział, śmiejąc się, łysy człeczyna. — On przecie taki...

— Jaki?...

— A niby taki, że u niego kryją się konie, rzeczy rozmaite, drzewo, jak wypadnie...

— To złodziej?... — spytał Świrski.

— Ni!... on tylko t a k i... Ale to dobry pan.

http://rcin.org.pl

Zawsze uczciwie przyjmie człowieka. Jego nawet strażnik lubi.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Gdy znowu uszli kilkaset kroków, Świrski zapytał:

— A gdzieżeście to, ojcze, rękę zgubili... Na wojnie?...

— Na folwarku, przy młocarni. Podsuwałem snopy, i naraz chytnęło mnie...

— A dali wam co za kalectwo?

— Odwiezły mnie do szpitala, a jakem wyszedł, najęli mnie do bydła, ale ino na puroku.

— A teraz wzięliście się do polityki?

— Nie ja się wziąnem, ino mnie wzięli. Ja se chodziłem po prośbie, aż raz, akurat na Boże Narodzenie, zaczepił mnie jeden pan i mówi: »Dobre nogi macie, dziadku, sprawnie chodzicie...« A ja mówię: niczego się chodzi... A on: »Wiele też zarabiacie na swojem chodzeniu?...« A ja powiadam: ze złotówkę bez dzień. »A chcecie — on powiada — zarabiać z purubla na dzień?« Juści, żebym chciał — ja rzekę. »A to przystańcie do partyi«. A cóż ja w partyi zrobię? — pytam. »A będziecie — on mówi — chodzący po proszonemu, wypatrywać, gdzie są strażniki i kozaki, i donosić partyjnym, co siedzą w lesie. A czasem przyniesiecie jaki list, albo paczuszkę...« A jak me strażniki złapią i powieszą?... — ja się pytam. — Zaś on: »A cóż to w niebie zrobi się dziura, jak jednego dziada

http://rcin.org.pl

powieszą?...« No i takim sposobem przystałem do partyi i już niejeden raz ostrzegłem ich...

— A wiecie wy, za co się partye biją?... — zapytał Świrski.

— Wim. Za to, żeby pańskie grunta były podzielone i żeby nie było fabrykantów, ino same robotniki i jeszcze, jak komu urwie rękę, żeby mu zapłacili, ile się patrzy.

Zbliżyli się do wsi. Kaleka zostawił Świrskiego w krzakach przydrożnych, a sam wyszedł na zwiady. W pół godziny Kazimierz usłyszał skrzypienie sanek i okrzyk: heta!... wiśta!... a gdy podróżni zbliżyli się, poznał kalekę obok furmana na koźle, a w siedzeniu dojrzał rozpierającego się jegomościa w urzędowym płaszczu. Kaleka gwizdnął, sanki stanęły, a Świrski zbliżył się do nich, zapytując w duchu: co tu robi figura urzędowa?

— Hej!... kto tu od Zajączkowskiego?... — zawołał jegomość w płaszczu.

Kazimierz poznał głos, zbliżył się jeszcze bardziej i rzekł:

— Jeżeli się nie mylę, pan Vogiel?...

— A to pan Świrski?... — rzekł półgłosem jegomość i dodał ciszej: Nie Vogiel, tylko Altman...

— Więc już i nie Iwanow?... — uśmiechnął się Kazimierz.

— Mówili, że pan siedzisz u rodziców Linowskiego — rzekł kwaśnym tonem Altman. —



http://rcin.org.pl

Ten znowu przewodnik opowiada, że idziesz od Zajączkowskiego?...

— Byłem i tam i tam, a obecnie chcę się dostać do X. — odpowiedział Świrski.

— Siadajże pan — mówił z niechęcią mianujący się Altmanem.

Świrski usiadł do sanek, a furman zaciął konia. Altman zaczął ze Świrskim rozmawiać po francusku. Gniewał się, że Zajączkowski, napadłszy na pocztę, wypuścił z rąk kilkadziesiąt tysięcy rubli, i twierdził, że w oddziale niema ani jednej trzeźwej głowy. A najbardziej gorszyło go, że Świrski w takich czasach opuścił partyę.

— Wróć pan do nich — mówił — mianuję cię dowódcą na miejsce tego błazna Zajączkowskiego.

— Naprzód — odpowiedział Świrski — Zajączkowski byłby doskonałym żołnierzem, gdyby nie zbałamucono go łajdackiemi teoryami. Dzisiaj jest bandytą, on i większa część jego podkomendnych.

— Cóż pan nazywasz łajdackiemi teoryami?... — wybuchnął Altman.

— Kto urządza uczciwą rewolucyę, ten mówi ludziom o wolności, zachęca ich do walki o wolność, uczy, ażeby szanowali cudze osoby i własność — odpowiedział Świrski. — A tymczasem u nas zachęca się ludzi do grabieży cudzego mienia, do morderstw... Przeciw takim partyzantom musi wystąpić cały naród.

http://rcin.org.pl

— Więc wróć pan do partyi, obejmij dowództwo i popraw tych ludzi zbałamuconych, jak mówisz.

— Ani myślę!... — zawołał Świrski. — Jeżeli w Rosyi przyłączy się wojsko do rewolucyi, utworzę własny oddział z ludzi wybranych i będę się bił, jak żołnierz; tymczasem usuwam się od ruchu... Byłem w partyi ledwie parę dni, ale to, co widziałem, wystarczy mi na całe życie...

— Wygodną pan sobie rolę obrał — mówił, śmiejąc się, Altman. — Zachęcać ludzi do cnót apostolskich, a samemu unikać niebezpieczeństw...

Świrski aż podskoczył.

— Tak pan sądzisz?... — zawołał wściekły z gniewu. — No, to wynośże się z sanek, albo daj dowód, że jesteś odważniejszy odemnie!...

— Nie żartuj pan!... — odpowiedział Altman ciągle po francusku. — Naprzód ci dwaj chłopi zrozumieją, że się kłócimy, a następnie... narażasz mnie pan na schwytanie, bo za mną już pędzą strażnicy...

— W takim razie zostań pan — rzekł Świrski, nagle uspokojony, i przez całą drogę nie odzywał się do Altmana, choć ten parę razy zaczepiał go.

Po północy zajechali do jakiegoś lasu i zatrzymali się przed chatą samotną. Altman kazał gospodarzowi zaprządz konia i odwieźć się do poblizkiej osady, a Świrski został na nocleg.



http://rcin.org.pl

Na pożegnanie Altman odezwał się drwiącym tonem:

— Masz pan temperamencik, ani słowa!... Wyrzucać ludzi z sanek, w nocy, na środku drogi... no... no!... Życzę panu równej energii wobec uzbrojonych, jakąś okazał nad bezbronnym.

— Pan niemasz broni?... — zapytał nieledwie przerażony Świrski.

— Ja nigdy nie włóczę się z bronią... Zostawiam to rycerzom... — odparł Altman.

Świrski poczuł na twarzy piekące rumieńce.

— W takim razie... w takim razie — rzekł — niech mi pan przebaczy. Nigdy nie zachowałbym się tak — wobec bezbronnego... Gniewa się pan?... — mówił Kazimierz, wyciągając rękę, która mimowolnie drżała mu.

— Ja?... gniewać się?... — powtórzył Altman. — A może jeszcze mam pana wyzwać na pojedynek?... Podoba mi się ten szlachcic!...

— Niegodnie pana obraziłem... — rzekł prawie ze łzami Świrski.

Altman mocno szarpnął go za rękę i zakończył:

— Mój panie, chciałbym mieć tyle milionów, ile razy wyrzucali mnie, wprawdzie nie z sanek, ale za drzwi. Tu chodzi o sprawę, nie o jakieś głupie konwensanse. Dobranoc.

Sanki ruszyły, a Świrski został na drodze

http://rcin.org.pl

osłupiały. Vogiel-Iwanow-Altman przedstawił mu się całkiem w nowej postaci.

Od tej chwili obok serdecznej troski o Lisowskiego i Chrzanowskiego i niechęci do rewolucyi, z której wyrastał najwstrętniejszy bandytyzm, w Kazimierzu urodziły się dwa nowe uczucia bardzo bolesne. Jednem było wspomnienie zniewagi, jaką wyrządził Altmanowi, drugiem — przekonanie, że jednak są tacy, którzy wątpią o jego odwadze...

»Wygodną rolę obrał sobie pan — unikać niebezpieczeństw...« — powtarzał słowa Altmana. — Gdyby ten człowiek był ze mną i we mnie, nie posądziłby mnie, że unikam niebezpieczeństw, ale tak... On naprawdę naraża się i jeszcze jeździ bez broni... Świrski gotów był umrzeć każdej chwili, tak mu się przynajmniej zdawało; ale pozbyć się rewolweru, jeździć bez broni, gdy się jest ściganym, na to nie potrafiłby się zdobyć, nie miał odwagi... Z jego brauningiem łączyło go nietylko poczucie większego bezpieczeństwa, ale wprost jakiś przesąd. Umrzeć z bronią, rzecz łatwa, ale umierać bez broni, ale nie módz postawić żadnego oporu, wydawało się Kazimierzowi czemś rozpaczliwem, niemożliwem.

Jeszcze sześć dni tułał się w odległości paru mil od miasta X., do którego nie mógł się dostać. Bywało tak, że, w którąkolwiek stronę szedł czy jechał, trafiał na oddziałek strażników, koza-

http://rcin.org.pl

ków, piechoty albo dragonów. Wszędzie stało, albo maszerowało wojsko, przeznaczone do ścigania oddziału Zajączkowskiego, z którym miejscowy generał-gubernator postanowił skończyć. Chłopi, Żydzi, oficyaliści wiejscy, mieszczanie drobnych osad, z którymi spotykał się Świrski, zgodnie opowiadali, że na Zajączkowskiego ze wszystkich stron idzie wojsko i że każdego, kto był w jego partyi, czeka szubienica bez sądu. Zajączkowski tyle rozbił kas, tyle urządził napadów, tylu zamordował ludzi, że już na żadne względy nie mógł rachować, on, ani jego towarzysze!

W takiej chwili Kazimierz wybrał się do miasta X., niby do lwiej jaskini. Czuł, że niebezpieczeństwo otacza go ze wszystkich stron, i to mu pochlebiało, to osłabiało zarzut Altmana. Pewnego dnia, gdy był we wsi, w kwadrans po nim przyjechali kozacy. Przerażony gospodarz schował go pod stóg. Ledwie ukrył go tam, kozacy oświadczyli, że chcą kupić siana, i zaczęli stóg rozbierać: Świrski, leżąc na ziemi, słyszał ich rozmowę, a nawet wyciągnął rękę i, przez sztubackie figle, dotknął zimnego buta jednego z kozaków. Szczęściem zaczepiony nie zwrócił uwagi na dotknięcie, a kupujący rozebrali tylko pół stogu i — Kazimierz ocalał.

Kiedy kozacy odjechali, gospodarz wyciągnął Świrskiego i blady z trwogi zapytał:

— To się pan musiał bać?... Chryste!...

http://rcin.org.pl

— Wcale się nie bałem — odpowiedział ze śmiechem Kazimierz. — Ale o małom się nie udusił i, gdyby przyszło posiedzieć jeszcze z pół godziny, chyba wylazłbym...

— O dla Boga!... a cóżby się z nami stało?... — zawołał chłop.

Wykrzyknik ten przypomniał Świrskiemu, że naraża nietylko siebie, ale i poczciwców, którzy mu pomagają. Więc, choć zarzut Altmana bolał go, jak rozpalone żelazo, Kazimierz postanowił być ostrożnym.

W czasie noclegu spotkał się z jakimś uciekinierem z partyi Zajączkowskiego i dowiedział się, że niema dnia, ażeby nie wymieniano strzałów z wojskiem. Dotychczas jednak Zajączkowski wykręcał się, pomimo wielkiego zimna, niedostatku, a najbardziej — zmęczenia.

Na ostatnim etapie, o parę wiorst od miasta X., na Świrskiego, jak piorun, spadła wiadomość, że w lasach około Żelaznych Hut odbyła się potyczka, w której zginął Zajączkowski z większą częścią swoich towarzyszów, a kilku złapano i, okutych w kajdany, przywieziono do X. Wiadomość oszołomiła Kazimierza. Czuł, że, gdyby nie wyjazd z partyi, on dzisiaj należałby do zabitych albo złapanych, i z najwyższą trwogą zapytywał: co się też stało z Lisowskim, Chrzanowskim, z poczciwym Litwinem i wymownym towarzyszem Janem?... Prędko żyje się podczas wojny!...

http://rcin.org.pl

Na drugi dzień Świrski przyjechał do X. wielką żydowską furmanką, jako August Szulc, poszukujący zajęcia w gminie albo na folwarku. Stanął u jakiegoś Żyda-faktora, który znał wójtów, pisarzy gminnych i obywateli, a zarazem należał do partyi.

Po bliższem zapoznaniu się Świrski zapytał faktora:

— Czy prawda, że Zajączkowskiego rozbili?...

— Bandę jego rozbili, ale on sam podobno wymknął się. Za to przywieźli kilku młodych, bardzo pięknych panów...

W Świrskim serce zamarło.

— Czy nie wiecie nazwisk?... — spytał.

— Nie wiem. Ale ja tu przyślę takich, co będą wiedzieli.

— Pędzelek jest w mieście?... Może z nim mógłbym się zobaczyć?

— Pan Pędzelek jest, ale on teraz bardzo zajęty... Chociaż... może i jego pan spotka.

Nad wieczorem przyszedł do mieszkania faktora młody Żyd mizerny, z rzadkim zarostem. Miał na sobie rewolucyjną pelerynę i bardzo rewolucyjny kapelusz, na twarzy ceglaste wypieki, a w oczach jakiś niezdrowy płomyk.

— Jak się towarzysz ma? — zaczął przybysz tonem, który niemile dotknął Świrskiego. — Ja jestem Dawid Regen, zegarmistrz...

http://rcin.org.pl

— Aha!... — mruknął Świrski, przypominając sobie.

— I ja towarzysza znam. Towarzysz nazywa się...

— Wszystko jedno... — przerwał Świrski.

— To prawda — potwierdził Regen — Towarzysz przyjechał tu na moją sprawę z panem policmajstrem?...

— Nie znam pańskiej sprawy z policmajstrem — odpowiedział cierpko Kazimierz.

— Jak to może być, ażebyście nie znali?...— zdziwił się Regen. — No, ale jeżeli chcecie należyć do interesu, to ja wam opowiem...

— Wcale nie chcę należyć!... — odparł zirytowany Świrski, nie mogąc oprzeć się podejrzeniu, że rozmawia z nienormalnym człowiekiem. Ale Regen nie słuchał i nie słyszał go, tylko mówił swoje:

— Moja mama, pan wie, handluje damską garderobą. Raz, po katolickim Nowym Roku, moja mama spacerowała sobie z drugą, bardzo porządną kupcową, koło sklepu, gdzie ja naprawiałem zegarki, i nawet roześmiała się do mnie, a ja do niej przez okno. Moja mama miała w rękach damskie okrycie i dwie parasolki. W tem naprzeciw idzie pan policmajster. Nic nie mówi, tylko raptem wyrywa mojej mamie z rąk obie parasolki i okrycie, rzuca na ziemię i depcze nogami, a ja to wszystko widzę przez okno. Więc wybiegłem na chodnik i mówię: »Przepraszam

http://rcin.org.pl

pana policmajstra, ale teraz jest konstytucya i nie można tak uchybiać porządnym kupcowym...« Tiebie szto — on mówi — ty padlec?... A ja mówię: »To jest moja mama i przy konstytucyi nie wolno tak robić...« Ach, ty sukin syn... — on mówi. — Kazał mnie aresztować, zaprowadzić do swojej kancelaryi i mówi: Ty jewrej kryczy: aj waj!... Ja mówię: »Przepraszam pana policmajstra, ale ja jestem ruski konstytucyjny obywatel, ja mam wolność...« Wtedy on kazał mnie przewrócić i ciągle woła: Ty jewrej kryczy: aj waj!... Ja mówię: »Nie będę«. Wtedy dwa stójkowe zaczęli mnie bić, że myślałem, co mi krzyż pęknie. No i żeby się takie paskudztwo raz skończyło, ja zawołałem: »aj waj!...«

Oni mnie puścili, ale ja tego bicia nie mogę zapomnieć. I ja nieraz myślałem: wyjdę na ulicę, stanę na chodniku, a jak będzie szedł pan policmajster, to ja mu będę patrzył hardo w oczy i nie ustąpię z drogi. Ale kiedy ja zobaczyłem jego, to zaraz się we mnie wszystko trzęsło i usunąłem się pod ścianę. A jak on zapytał mnie: Szto jewrej twoja konstytucya?... — to ja zdjąłem czapkę i powiedziałem: »Moje uszanowanie panu policmajstrowi...«

Od tej pory to ja już nie mogę sypiać, ani jeść, tylko ciągle myślę: dlaczego ja boję się pana policmajstra, a pan policmajster nie boi się mnie?... I ciągle sobie myślę, w dzień i w nocy, że ja muszę jemu zrobić taki strach... taki wielki

http://rcin.org.pl

strach!... A potem niech ja już zginę. Wyście na ten interes przyjechali?...

Teraz Świrski był pewny, że Regen jest zdeklarowanym waryatem. Litował się nad nim i nie chciał go drażnić, ale zarazem czuł, że dłużej nie wytrzyma jego obecności ani opowiadań.

Szczęściem wszedł Pędzelek i wyprawił Regena. Świrski schwycił przybysza za ramię i zapytał zduszonym głosem:

— Kogo złapali z oddziału Zajączkowskiego?

— Już wiesz?... Chrzanowskiego, Starkę i jeszcze jakiegoś... Lisowski zginął... No... no... no... cóż ty znowu?...

Świrski upadł na obdarte krzesło i przez chwilę trzymał głowę opartą na obu rękach.

— Chrzanowski wzięty... Lisowski zginął!...

— Nie bądźże babą — zawołał Pędzelek. — Codzień ktoś ginie i kogoś łapią... Jutro złapią mnie, pojutrze ciebie...

Świrski przypatrywał się drobnej figurce, gapiowatej minie i sterczącemu pęczkowi włosów na głowie gościa. I pomyślał: »Jeżeli ta pokraka trzyma się dzielnie, czy nie wstyd, nie hańba, ażebym ja tak upadał?... I czy nie miał racyi Altman, wątpiąc o mojej odwadze?...«

— Jestem bardzo zmęczony — rzekł Świrski głośno. Od dziesięciu dni ani razu porządnie nie spałem...

— To się wyśpij, a jutro o dziesiątej przyjdź do Wiery...

http://rcin.org.pl

— Przyjdę... Muszę wydobyć Chrzana.

— Głupi jesteś — odpowiedział Pędzelek. — Akurat teraz pomoże ci kto, kiedy cała organizacya zajęta policmajstrem.

Pędzelek wyszedł, Świrski rozmyślał:

»Co im znowu ten policmajster wlazł do łba?... Więc nikt nie pomoże mi uwolnić kolegi z pod szubienicy... Pyszny Pędzelek!... Vogiel czy Altman takby mi nie odpowiedział, z pewnością coś poradziłby, choć to bydlę przypuszcza, że nie mam odwagi...«

Zbudził się w nim gniew na Altmana, a jednocześnie oczyma wyobraźni zobaczył go w urzędowym płaszczu i mundurowej czapce... I w tej chwili w jego umyśle jakby uderzyły o siebie dwa pojęcia: konieczność złożenia dowodu nadzwyczajnej odwagi i — uniform...

»Gdyby zaznajomić się z którym dozorcą więzienia?... gdyby przebrać się za dozorcę?... gdyby przekupić?... A gdyby wyprowadzić Chrzana z więzienia, a samemu podstawić się na jego miejscu?...

Pulsa biły, jak młoty, pierś pękała pod naciskiem dziwnych uczuć, a w głowie... A w głowie zapalił się genialny plan wydobycia Chrzanowskiego... Świrski czuł, że ów plan już w nim jest, choć jeszcze jasno nie widział jego szczegółów. Zarazem pojmował, że, gdyby nie spotkanie z Altmanem, nie kłótnia z nim i nie wi-

http://rcin.org.pl

dok jego uniformu, plan taki nie przyszedłby mu do głowy.

Świrski był już nietylko wzruszony, ale wprost — oszalały wielkością nie sformułowanego projektu; biegał po izbie i drżał ze wzruszenia... Czuł, iż w tej chwili w jego duszy rodzi się coś tak zuchwałego, tak wielkiego, że, choćby zginął, wykonywając swój zamiar, już zaliczonoby go do jednostek niepospolitych w rodzaju ludzkim. W tej chwili przestał być młodzieńcem, a stał się mężem.

I przyszło mu na myśl, że kto wie, czy nie po to urodził się, czy nie po to kształcił się w różnych kierunkach, nie po to spiskował, żeby w rezultacie — zdobyć się na wynalezienie, obmyślenie i wykonanie takiego planu!

— O, kochany... o czcigodny Altmanku!... — zawołał. Gdyby spotkał go teraz, ucałowałby go.

»No, choćby mi przyszło zginąć, wiem, za co zginę!...« — pomyślał. — Włożył mieszczańską, niezgrabną kapotę i pobiegł do doktora Dębowskiego, śmiało, wesoło...

W gabinecie lekarza była zapuszczona roleta, ale świeciło się. Kazimierz wszedł na schody, mocno zadzwonił, a widząc, że stara gospodyni chce go odprawić z niczem, głośno zawołał:

— Okazya z Leśniczówki!...

Doktór otworzył drzwi, stanął, podniósł okulary, popatrzył jednem okiem, drugiem.

— A chodźże asan — rzekł. — Musi cię bar-

http://rcin.org.pl

dzo swędzić siedzenie, kiedyś tu przyjechał — dodał, wprowadziwszy Kazimierza do gabinetu.

— Kieszeń mnie swędzi... — odpowiedział Świrski, śmiejąc się.

— Cóż to... już wydałeś trzy tysiące rubli?— zdziwił się doktór.

— Jakie?...

— No te, które w zeszłym tygodniu posłał ci stryj przez Klemensa?...

Świrski osłupiał. Nastąpiły wyjaśnienia, z których okazało się, że doktór jeździł do stryja Świrskiego, że stryj był zrozpaczony, że wziął od Wajntrauba, ile mógł, to jest trzy tysiące rubli i, za pośrednictwem Klemensa wysłał Kazimierzowi, zaklinając go, ażeby jak najrychlej wyjeżdżał do Galicyi, z kolegami, czy bez kolegów.

— Ja tych pieniędzy nie odebrałem — odrzekł Świrski i opowiedział swoją historyę z dwu ostatnich tygodni.

Dębowski aż za głowę się schwycił.

— Toś ty, paniczu, był w oddziale Zajączkowskiego?... — zawołał doktór. — Przecież to zdeklarowany bandyta, a jego partya sami złodzieje... Nawet onegdaj kilku z nich złapali i powieszą, jak amen w pacierzu!...

— Otóż, to, że powieszą... A kogo?... Najszlachetniejszego chłopaka, Chrzanowskiego — mówił zirytowany Świrski. — I dlatego potrzebuję pieniędzy... Muszę go wydobyć.

http://rcin.org.pl

Doktór wzruszył ramionami, ale już zanadto dobrze znał stosunki między Świrskim a jego kolegą i charakter Kazimierza, aby wdawać się w perswazye. Na zbiedzonej twarzy chłopaka widać było jakieś niecofnione postanowienie.

— Rób, co chcesz — rzekł doktór. — Ale nie wiem, jak będzie z pieniędzmi, bo Wajntraub na kilka dni pojechał do Warszawy...

Świrski zatarł ręce, aż kości chrzęstnęły. Nagle rzekł:

— To niech pan, w imieniu stryja czy mojem, pożyczy od Pfefermana...

— Pfeferman chory...

— Właśnie... I może dlatego pożyczy — odparł Świrski. I opowiedział doktorowi przygodę Pfefermana z partyą Zajączkowskiego.

Doktór podniósł brwi i ręce do góry.

— Pójdę do Pfefermana jutro. — rzekł. — Powinienby dać, gdyż, obok wdzięczności, nie naraża się na żadną stratę. Twój stryj majątek sprzeda, byle cię uratować...

Gdy Kazimierz wrócił do mieszkania, faktor zaprowadził go do ustronnej komórki, gdzie było duszno i ciemno. Ale Świrski nie spostrzegł tego; rzucił się w ubraniu na krótkie i twarde łóżko i zasnął.

O ósmej już był na nogach, wypoczęty i rześki. Napił się szkaradnej herbaty ze świeżą chałą, a przed samą dziesiątą poszedł do mieszkania Wiery. Na ulicach trzymał się pochyło i niezgra-

http://rcin.org.pl

bnie; ale śmiało patrzył na strażników, a jednego zapytał, gdzie powiat? Powlókł się we wskazanym kierunku, lecz nagle skręcił do ogromnego domu, gdzie mieszkała Wiera.

Dama ta, silna brunetka z szerokiemi ustami, sierota po wyższym wojskowym, utrzymywała się z lekcyi fortepianu, doskonale płatnych; z amatorstwa uczyła młodzież rzemieślniczą śpiewów chóralnych i opiekowała się bez żadnych przeszkód więźniami politycznymi. Zajmowała trzy pokoiki w amfiladzie. Do pierwszego znoszono ofiary dla więźniów: pieniądze, odzież, herbatę, cukier... W drugim Wiera przyjmowała bliższych interesantów, a w trzecim zbierali się spiskowcy wszelkich wyznań, stanów i narodowości. Świrski znał ją dobrze i bardzo lubił jej bezgraniczną dobroć i pogodny humor.

Kiedy Świrski wszedł do pierwszego pokoju Wiera udała, że go nie poznaje, i rozmawiała z dwiema damami.

*Dama pierwsza.* Co dla więźniów przyjmuje pani w naturze?

*Wiera.* Wszystko, nawet paski do kajdan. Pani wie, że skazanym do katorgi nakładają na nogi łańcuchy, które bardzo przeszkadzają im chodzić...

*Dama druga.* Czy i dla rodzin więźniów pani...

*Wiera.* Naturalnie. Jest między nimi okropna nędza. Wczoraj słyszałam, jak pewien sześciole-

http://rcin.org.pl

tni chłopczyk mówił do matki: »Moja mamo, ja już chleba jeść nie mogę, bo się we mnie wszystko zeschło...«

Jedna dama złożyła rubla, druga złotówkę, pożegnały się i wyszły. Wiera zwróciła się do Świrskiego. Gorączkowym ruchem uścisnęła mu rękę i rzekła:

— Już wiecie, że Chrzanowski aresztowany?... Źle może być z nim!... Padlec Starka pięciu ludzi denuncyował... Wprost występuje, jako agent ochrany. Jest tak gorliwy, że nawet żandarmi poczynają mu niedowierzać...

— A ja właśnie przyszedłem pogadać z panią o Chrzanowskim. Czy tam jest kto?... — wskazał na drzwi.

— Ach, są i radzą o tym policmajstrze!... — szepnęła Wiera, zatykając uszy, a na jej ruchliwej fizyognomii malował się wstręt. — Ja już nie chcę tego... nie chcę!... nie chcę!... niech oni raz dadzą mi spokój...

— Wydobędę Chrzana, albo... — rzekł cicho Świrski.

— Ale tu nikt wam nie pomoże... Oni oszaleli...

— Będę potrzebował dobrego konia z sankami, pewnego furmana... Ale to dziś, jutro...

— Furmana mogę mieć...

— To nie wszystko — ciągnął Świrski, pochyliwszy się do jej ucha. — Jeszcze potrzebuję... — szepnął.

— To możliwe.

— Ale jeszcze... — szepnął ciszej.

Wiera zamyśliła się i położyła dwa palce na skroniach.

— Bardzo trudno, ale... spróbuję.

Z trzeciego pokoju wyszedł Pędzelek i Regen, który zawołał z tryumfem:

— A co, nie mówiłem, że towarzysz będzie należał do sprawy z panem policmajstrem?...

— Dajże mi pan spokój ze swoją sprawą i z policmajstrem! — odburknął Świrski.

— Zostaw go — wtrącił Pędzelek. — Świrski należy do opieki nad uwięzionemi położnicami.

Kazimierz uśmiechnął się, ale milczał. Zastąpiła go Wiera.

— Ja wam szczerze mówię, Pędzelek, że tysiąc razy wolę pomysł Świrskiego, aniżeli wasze sprawy. On jest prawdziwy bohater.

— Obsługiwanie położnic jest bohaterstwem— odrzekł Pędzelek.

Zniknęli obaj z Regnem, a Świrski jeszcze kilka minut rozmawiał z Wierą półgłosem. Nareszcie pożegnał ją i wyszedł na główną ulicę miasta X. Znowu wlókł się niezgrabnie, z podwiązaną twarzą, chciał jednak spróbować: czy nie pozna go kto ze znajomych? Rzeczywiście spotkał swego niegdyś nauczyciela z długą brodą, obtarł się o niego i z wielką przyjemno-

http://rcin.org.pl

ścią usłyszał mruknięcie: »Bałwan!...« Uściskałby go za ten wymysł.

## XV.

O zmierzchu, na rogu Wązkiej ulicy spostrzegł ciemną, zgrabną sylwetkę kobiety, na której widok drgnęło w nim serce. Przyśpieszył kroku i poznał — Jadwigę.

— Dobry wieczór pani!... — szepnął.

Odwróciła się, a na twarzy jej odmalowało się przerażenie i zachwyt.

— Gdzie pani mieszka?... — pytał wymijając ją.

— U cioci, w aptece... — odpowiedziała.

— Aha, w rynku? Czy mogę przyjść?...

— Idę tam... — rzekła Jadwiga, przyśpieszając kroku. Na małoludnej uliczce nie zauważono ich rozmowy.

Powłóczywszy się między ogrodami, na krańcu miasta, Świrski wrócił na rynek i wszedł do bramy domu, w którym była apteka. Na schodach źle oświetlonych pierwszego piętra czekała go Jadwiga ze łzami w oczach, drżąca, ale uśmiechnięta, i wprowadziła do osobnego pokoiku, gdzie paliła się lampa, nakryta ciemnoponsowym abażurem.

— O, panie, co pan zrobił?... — zawołała i wyciągnęła obie ręce. Mimowolnym ruchem



http://rcin.org.pl

Kazimierz pochwycił rączki i, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, całował jej palce i dłonie.

— Ale czy pan wie o nieszczęściu?... — mówiła Jadwiga. — Stryj pański wysłał przez Klemensa trzy tysiące rubli dla pana, do bandy Zajączkowskiego. Otóż Zajączkowski zabrał mu te pieniądze...

— Ale zapewne wydał kwit... — wtrącił Kazimierz, śmiejąc się. — Niech mi pani lepiej powie coś o sobie...

— Dyrekcya zatwierdziła moją szkołę w Rożkach — mówiła Jadwiga. — Jestem zachwycona!...

— Jeżeli wszystko mi się uda, odwiedzę panią... — rzekł Świrski.

— Ach, jak to dobrze!... Rożki cicha osada, i teraz nawet niema strażników... Proboszczem jest, wie pan kto? pański dawny korepetytor, ksiądz Stanisław...

— A państwo Linowscy?...

— Zdrowi, zadowoleni. On ma wkrótce przyjechać do domu... Tylko pan niech się już nie naraża, panie Kazimierzu... Nawet nie domyśla się pan, ileśmy wycierpiały, kiedy pan poszedł z tymi... Przyrzeka pan?...

Trzymała go za ręce i zbliżyła się tak, że Świrski stracił przytomność. Ogarnął ją ramionami i całował... całował... całował jej włosy, oczy,

http://rcin.org.pl

usta... A potem jeszcze całował... i jeszcze... Nareszcie wydarła mu się, purpurowa na twarzy.

— Nie można!... — szepnęła.

— A jeżeli tam przyjadę... do Rożków?...

— Najpierwej niech pan przyjedzie...

Do drzwi zapukano.

— Jadziu...

— Przyjedzie pan?...

— Chyba, że nie będę żył...

Wybiegł z pokoju, pijany. Potrącił we drzwiach otyłą damę i, nie wiedząc kiedy, znalazł się w domu faktora. Szał pierwszych w życiu pocałunków upoił go jeszcze silniej, jeszcze straszniej, aniżeli pomysł ocalenia Chrzanowskiego. Chwilami zdawało mu się, że nie dotyka ziemi, że zniknął świat rzeczywisty i że otacza go bezdenny ocean piękności i szczęścia.

»Jeżeli śmierć jest taka — pomyślał — chciałbym umrzeć...«

Przez połowę środy i cały czwartek Świrski biegał po mieście. Był u Pfefermana, otrzymał mnóstwo podziękowań od całej rodziny i dwa tysiące rubli na weksel z datą październikową roku zeszłego. U Pfefermana zapoznał się z pisarzem leśnym, który w piątek miał jechać w stronę Grudy i obowiązał się zabrać jednego towarzysza. Był u Dębowskiego i zostawił list do stryja, na wypadek swej śmierci.

— Mój drogi — rzekł na pożegnanie doktór — nie dowiaduję się: co masz zamiar zrobić? To

http://rcin.org.pl

już twoja rzecz. Ale nie mogę powstrzymać się od zapytania: czy jutro nie będziesz żałował tego, co dzisiaj chcesz zrobić?...

— Nie.

— A wierzysz ty w Boga?...

Świrski milczał.

— Ja trochę wierzę. A ponieważ wiem, że nie zrobisz szelmostwa, więc mówię: niechaj ci Bóg dopomaga!

Przytulił go do piersi i dał znak ręką, ażeby już poszedł.

Od doktora Kazimierz pobiegł do Wiery i zostawił u niej kartkę do Chrzanowskiego tej treści: »Niczemu się nie dziw; odpowiadaj krótko; będzie dobrze, Kazimierz«. Po krótkiej naradzie, szeptem, Wiera kazała mu przyjść jeszcze raz, dziś wieczorem.

Po obiedzie w nędznej restauracyjce żydowskiej Świrski poszedł do fabryki machin rolniczych i pogadał ze szwajcarem; następnie udał się do fabryki tytuniu, pod którą rozmówił się z pewnym majstrem. Potem obejrzał płot, otaczający cmentarz, i przed wieczorem znowu odwiedził Wierę.

Wprowadziła go do pokoju słabo oświetlonego, gdzie jeden z trzech będących tam mężczyzn zaczął po rosyjsku bardzo ostro wykrzykiwać na Świrskiego. Chłopak, w pierwszej chwili zdziwiony, nagle wyprostował się i równie ostro zawołał po rosyjsku:

http://rcin.org.pl

— Cóż to, jesteście panowie z policyi?...

Odpowiedziano mu śmiechem. Potem kazano chodzić, siadać, kłaniać się, podawać rękę i zadawano mnóstwo pytań, na które Kazimierz odpowiadał głośno, szybko i stanowczo.

Dziwna ta rozmowa ciągnęła się z pół godziny i zakończyła się ze strony jednego z mężczyzn wykrzyknikiem: »Maładiec!...« Gdy Kazimierz żegnał Wierę, powiedziała:

— Dzwoni się z prawej strony; wchodzi się przez furtkę, potem na schody, na prawo. Na piętrze drugie drzwi na lewo, szyba matowa. Nadziratiel Iwan Piotrowicz, zaczyna pić o siódmej, a na ósmą już gotów. Gorszy od niego jest pisarz.

Od Wiery poszedł Kazimierz do łaźni, gdzie wymyto go doskonale. Z łaźni udał się na kolacyę, znowu do ubogiej restauracyjki, a stamtąd do swej komórki. W ciągu dnia w każdej chwili wolnej przypominał sobie Jadwigę, jej małe, gorące rączki i bezcenne pocałunki. Z przestrachem czuł, że, jeżeli gotów był siebie poświęcić za Chrzanowskiego, to kto wie, czy Chrzanowskiego nie poświęciłby dla niej, dla Jadwigi?...

Z tą myślą położył się na tapczanie i nie obudził się aż nazajutrz, o siódmej rano.

»Więc to dziś...« — rzekł do siebie i poczuł ogromne zdziwienie i radość.

http://rcin.org.pl

## XVI.

Piątek był to dzień prześliczny. Na niebie ani jednej chmurki, słońce, pomimo stycznia, grzało. Świrski, szczęśliwy i uśmiechnięty, szedł w stronę Nowego Placu; szedł, ale zdawało mu się, że mógłby latać, że uniosłyby go dwa skrzydła: miłość dla Jadwigi i myśl o Chrzanowskim.

Na ulicy Starej, o kilkadziesiąt kroków od placu, wyminął go jakiś oberwaniec i mruknął złym głosem:

— Nie włóczyć się tędy!...

»Ktoś z partyi — pomyślał Świrski — czyby mnie poznał?... Tymczasem — muszę przejść tędy...«

Nowy Plac miał na środku wielki gmach rządowy, a z czterech stron kamienice, wzdłuż których biegły chodniki. Pomimo dnia pięknego ruch był nieduży. W jednym rogu stało kilka sanek jednokonnych, przed sklepami ziewały gromadki Żydów. Naprzeciw Świrskiego szedł jakiś młody człowiek i w znaczący sposób przymknął powieki; może tylko przewidziało się Kazimierzowi.

O kilkanaście kroków dalej, w sieni nieporządnego domu, Świrski spostrzegł Regena w jego romantycznej pelerynie i poplamionym kapeluszu. Zegarmistrz był blady, jak kreda;

http://rcin.org.pl

patrzył gdzieś, nic nie widząc, a na jego wązkich, sinawych ustach drżał uśmiech szyderczy i bolesny.

»Ten pójdzie do Bonifratrów — pomyślał Kazimierz — jeżeli nie umrze na suchoty...«

Nareszcie przeszedł plac i, ostrożnie obejrzawszy się, na rogu ulicy Nizkiej, wbiegł do kamienicy. Szybko minął pierwsze piętro; na drugiem cztery razy w charakterystyczny sposób zapukał do drzwi, na których była przybita mosiężna tabliczka z napisem. Po chwili otworzono, i Świrski znalazł się wobec trzech mężczyzn, zajętych żywą rozmową. Nie chcąc im przeszkadzać, po przywitaniu, wszedł do następnego pokoju, którego dwa okna wyglądały na Nowy Plac.

Meble były tutaj ubogie i stare; na żelaznem łóżku leżała skórzana poduszka i wojłokowa kołdra, a tylko na stoliku, zarzuconym papierami i zasypanym popiołem z cygar, pyszniło się kwadratowe lusterko w srebrnej oprawie.

W sąsiedztwie mężczyźni żywo rozmawiali, jakby spierali się; potem jeden z nich zirytowany wszedł do pokoju Kazimierza i przez dłuższą chwilę wyglądał oknem. Nie zobaczył widać nic interesującego, gdyż powrócił do kolegów, gdzie znowu zaczęto spierać się przyciszonymi głosami.

Ich rozmowa nie obchodziła Świrskiego, który

http://rcin.org.pl

w tej chwili pomyślał: »Jeżeli na jutro ustali się taka pogoda, Chrzan będzie miał piękną podróż...«

Stanął przed oknem i machinalnie zaczął wyglądać. Oto z ulicy Głuchej wychodzi sznur pensyonarek. Cofnęły się, więc zapewne pójdą do ogrodu... Oto dwie służące: jedna w popielatej chustce z koszem w ręku, druga w niebieskim fartuchu z garnkiem... (»Czy moja kartka doszła do Chrzana?... Byłoby źle, gdyby nie doszła!...«).

Z poza gmachu rządowego wysunęła się młoda kobieta, czarno ubrana, podniosła do twarzy chustkę i — cofnęła się znowu za gmach. Z ruchów podobna była do Jadwigi... (»Ach, jakże będę szczęśliwy, kiedy się to skończy, kiedy Chrzan pojedzie do Galicyi, a ja wpadnę na odpoczynek do Rożków!.... Zacałuję na śmierć!...«).

Świrskiego zastanowił jeden szczegół: gromadki Żydów zaczęły się rozpraszać... (»Jest tu pewnie gdzieś w pobliżu policmajster, który nie lubi Żydów, a oni zawsze przed nim uciekają, co ogromnie mu pochlebia...«).

Z lewej strony placu, od grupy sanek, oderwały się jedne, zaprzęgnięte w siwego konia, i zwolna zaczęły zbliżać się ku środkowi; z prawej strony placu wypadł szewski chłopak i, oczywiście kontent z pięknego dnia, skakał i podrzucał w górę nowe buty. Świrski aż uśmiechnął się do niego. W tej samej chwili z poza gma-

http://rcin.org.pl

chu wyszedł policmajster, człowiek niewysoki, z żywymi ruchami. O kilka kroków za nim maszerowało dwu strażników i dwu pieszych żołnierzy z karabinami.

Na ten widok Świrski doznał szczególnego niepokoju; coś niby odepchnęło go od okna.

»Ten poznałby mnie... — pomyślał Kazimierz. — Ale tu chyba nie przyjdzie«.

Teraz od strony, gdzie wyglądał oknem Kazimierz, ukazał się Regen w swojej pelerynie i wolno, z pochyloną głową, szedł naprzeciw policmajstra, który, spostrzegłszy go, przyśpieszył kroku.

»I otóż Regen będzie miał nową awanturę!... — pomyślał Kazimierz.

Sanki, zaprzęgnięte w siwego konia, podjeżdżały do środka placu, gdzie również dobiegał szewski chłopak z butami. Do Regena, szybko, z gwałtownymi ruchami, zbliżał się policmajster, poza którym o kilkanaście kroków została jego eskorta. Wtem... płaszczyk Regena wionął, jak czarne skrzydła, u nóg policmajstra błysnął ogień, huknął piorun, a kłęby żółtawej pary ze wściekłą siłą buchnęły we wszystkich kierunkach... Zabrzęczały okna, z drugiego pokoju przybiegli rozprawiający mężczyźni...

Na placu dym opadł. W miejscu, gdzie stał policmajster, widać było kałużę krwi, zarzuconą szarymi i czarnymi łachmanami. O kilka kroków na prawo leżał szewski chłopak, o kilka kroków

http://rcin.org.pl

na lewo pławił się we krwi siwy koń, któremu wybuch oberwał przednie nogi. Za policmajstrem klęczał strażnik i, krzycząc nieludzkim głosem, tarł oczy; przed zwłokami policmajstra leżał Regen, lecz nagle zerwał się i począł uciekać.

Wtedy jeden z żołnierzy przyklęknął, wycelował karabin i wypalił do Regena, który znowu upadł, ale znowu podniósł się i pijanym krokiem wbiegł do najbliższej bramy.

— A niechże ich milion dyabłów porwie!...— krzyknął Świrski, chwytając się oburącz za głowę. — Przecież to jatki... to zbrodnia nad zbrodniami!..

— Pod Laojanem chyba oszalałbyś... — odezwał się jeden z mężczyzn. — Nie jesteś stworzony na żołnierza!...

— Na oprawcę nie jestem stworzony!... — odpowiedział Świrski.

Tymczasem na Nowym Placu zakotłowało. Wszystkie sanki zniknęły. Kobieta z garnkiem upadła, krzycząc w niebogłosy, a jej towarzyszka cisnęła kosz na śnieg i pędziła przed siebie. Kupcy z pośpiechem zamykali sklepy; jakiś Żyd, rozkrzyżowawszy ręce, bił pięściami w zawarte drzwi. Z wielu okien powypadały szyby, na miejscu których widać było czarne kwadraty. Z poza gmachu rządowego wybiegł oddziałek piechoty, od uliczki Starej pędzili kozacy.

— Pewnie zaczną się rewizye — rzekł jeden

http://rcin.org.pl

z mężczyzn. — Trzeba zejść na dół... Świrski tu zostanie...

Trzej mężczyźni wyszli. Po ich odejściu Świrski usiadł na żelaznem łóżku i załamał ręce. Czuł, że w tej chwili rwą się w nim ostatnie nici, jakie jeszcze łączyły go z ruchem rewolucyjnym.

— Ach, żeby się to już skończyło!... ach, żeby to już było jutro!... — mówił do siebie z rozpaczą.

Po kwadransie wrócił jeden z mężczyzn i opowiedział Świrskiemu bliższe szczegóły wypadku. Na policmajstra rzucił bombę jakiś Żyd, zegarmistrz, którego żołnierz trafił kulą w plecy; postrzelony wbiegł do sieni, schował się za beczkę po cukrze i tam umarł. Chłopak szewski, ciężko raniony w piersi i głowę, jeszcze nie odzyskał przytomności. Jeden ze strażników ma wypalone oczy. Koń z oberwanemi nogami zdechł, a jego dorożkarz krzyczy, skacze i śmieje się, jak gdyby stracił rozum. We wszystkich sklepach i domach żydowskich ma być rewizya, i już się nawet zaczęła.

Mężczyzna skończył opowiadanie i nagle zapytał Świrskiego.

— Cóż z waszym zamiarem dzisiejszym?... Odłożycie go?...

— Ani myślę!... — stanowczo odpowiedział Świrski. — Mego zamiaru nie potrzebuję wyrzekać się, ani odkładać.

http://rcin.org.pl

— Maładiec!... Tylko odważni mogą coś zrobić... W każdym razie musicie zostać tutaj do wieczora. Tu najbezpieczniej.

— Około dziesiątej wieczór albo będziemy za miastem, albo... zobaczę policmajstra!... — rzekł, śmiejąc się Kazimierz.

— Będziecie za miastem — odpowiedział mężczyzna. — To jest tak waryacki plan, że musi się udać. Ale trzeba zimnej krwi...

## XVII.

Tego dnia, w mieście X., nad wieczorem snuło się niewiele osób, a najmniej wojskowych: prawie cały garnizon powołano do rewidowania podejrzanych domów. Wystraszeni mieszkańcy opowiadali sobie najdziwniejsze pogłoski, między innemi, że banda Zajączkowskiego przekradła się do miasta w celu dokonywania zamachów na wyższych przedstawicieli rządu. Kto więc nie miał gwałtownej potrzeby, siedział w domu i tylko oknem nieśmiało wyglądał na ulicę, zapytując: czy lada chwilę i na niego nie spadnie rewizya?

Była blizko ósma, kiedy z kamienicy na rogu Nowego Placu i Nizkiej wyszedł młody, wysoki oficer, z ruchami zręcznymi i energicznymi. Był ubrany w szynel, uzbrojony w szablę i rewolwer. Prędko przeszedł na środek placu, minął

http://rcin.org.pl

gmach rządowy i skierował się do stacyi dorożek, gdzie w tej chwili widać było tylko jedne sanki, zaprzągnięte w karego, silnego konia, którym powoził jego właściciel, prawosławny i Rosyanin.

— Matwiej? — zapytał oficer. Potem siadł do sanek i wydał rozkaz.

Czarny koń ostro ruszył z miejsca, przebiegł kilka prawie bezludnych uliczek, wjechał na rozległy plac pusty, wyminął go i po kilku minutach jazdy zatrzymał się przed więzieniem. Był to gmach żółtej barwy w formie wielkiego pudła, podziurawionego mnóstwem okienek.

Oficer wysiadł, szepnął do szyldwacha, stanął przy furtce i z prawej strony pociągnął za dzwonek. Zaczął padać śnieg; oficer otrząsnął się. Gdyby kto zajrzał do jego myśli, znalazłby niezmienne zdecydowanie się i — taki oto dziwny monolog:

»Raz!... wydobyć brauning... Dwa... przyłożyć do skroni... Trzy!... pociągnąć cyngiel«.

Furtka uchyliła się, oficer energicznym krokiem wszedł do sieni i, mimowoli spojrzawszy na dziedziniec, przy blasku latarni, poprzez płatki śniegu, zobaczył dwa słupy, złączone belką, u której chwiały się dwa sznury. Potem skręcił na prawo, wbiegł na schody, a na korytarzu pierwszego piętra chwilkę zatrzymał się przed oszklonemi drzwiami. Nagle przycisnął klamkę i wszedł do pokoju sklepionego, brudnego,

http://rcin.org.pl

w którym były dwa zakratowane okna, dwa stoły, kilka drewnianych krzeseł i gdzie swąd nafty mieszał się z zapachem tytuniu.

Przy stole, obok drzwi, siedział tęgo zbudowany pisarz z żółtawą czupryną i mocno różową skórą na twarzy. Pisarz udawał, że jest bardzo zajęty, lecz oficer rzekł tonem, wykluczającym dyskusyę:

— Potrzebuję natychmiast widzieć się z Iwanem Piotrowiczem.

Pisarz podniósł się z krzesła i z podełba spojrzał na mówiącego. Jednocześnie uchyliły się drzwi w głębi pokoju i wszedł człowiek szczupły, szpakowaty, odziany w szynel oficerski. Miał szpiczastą głowę, szpiczasty nos, załzawione oczy, a pod dużymi wąsami usta zawsze smutno uśmiechnięte. Moralną cechę Iwana Piotrowicza stanowiła obawa. Bał się przedewszystkiem surowego generał-gubernatora, następnie żandarmów, potem więźniów, ażeby się nie głodzili i nie hałasowali; bał się swego pisarza, Kosti, i jeszcze bał się okropnie, bezbrzeżnie, szubienicy, ustawionej na podwórzu więziennem.

W gruncie rzeczy Iwan Piotrowicz był dobrym człowiekiem. Od kilku miesięcy prosił o przeniesienie go na posadę nadziratiela szpitalnego, a od czasu pierwszej egzekucyi szubienicznej w więzieniu upijał się co wieczór.

— Jestem Aleksiej Kiryłowicz Popow — rzekł

http://rcin.org.pl

oficer — podporucznik ...skiego pułku. Przyjechałem z polecenia generał-gubernatora.

I podał nadziratielowi kopertę, którą ten otworzył dygocącemi rękoma.

A tymczasem oficer patrzył mu w oczy i myślał:

»Raz... wydobywam rewolwer... Dwa!... do skroni... Trzy! pal...«

Nadziratiel przeczytał list i podał go pisarzowi.

— Generał-gubernator rozkazuje wydać im tego tam Chrzanowskiego.

— Ważny więzień!... — rzekł pisarz.

— Ważny więzień... — powtórzył nadziratiel.

— Bardzo ważny — odparł oficer. — Innego generał nie wzywałby do siebie o tej porze.

Pisarz otworzył wielką księgę, przewracał karty... szeptał z nadziratielem... Oficer myślał:

»Tobie, poczciwcze, nic... Ale ten padlec pisarz dostanie w łeb!... Raz!... wydobyć brauning... Dwa... przyłożyć do skroni... Trzy!... wypalić...«

— Nie macie eskorty?... — spytał nadziratiel.

— Po co? Ażeby zwrócić uwagę bandytów?... — odpowiedział oficer.

— Prawda!... — szepnął nadziratiel.

— Może papierosa?...

— Dziękuję. Nie pora.

Nadziratiel znowu poszeptał z pisarzem.

— Może herbatki?... — odezwał się po chwili.

Oficer zrobił krok naprzód.



http://rcin.org.pl

— Iwanie Piotrowiczu — rzekł — ośmielę się zwrócić waszą uwagę, że z rozmysłem opóźniacie spełnienie bardzo pilnego rozkazu...

— Bo ja nie wiem, czy mogę wam wydać aresztanta!... — zawołał nadziratiel.

— W takim razie musicie jechać ze mną do gubernatora i przed nim się wytłómaczyć...

— No, a co teraz?... — spytał przerażony nadziratiel pisarza.

— Rozkaz wyraźny — odpowiedział pisarz. — Trzeba oddać więźnia.

Nadziratiel zadzwonił, a gdy ukazał się jeden z więziennych dozorców, kazał przyprowadzić Chrzanowskiego.

— Tylko niech weźmie czapkę i palto — rzekł nadziratiel, a zwróciwszy się do oficera, poprosił o pokwitowanie.

— Nie mam jeszcze więźnia — odpowiedział oficer.

Nadziratiel potrząsnął głową i popatrzył na pisarza.

— Was, Aleksiej Kiryłowicz, przeniosą z linii do żandarmów... Wy bardzo rozważni!...

Zamiast odpowiedzi, oficer zapytał:

— Iwanie Piotrowiczu, czy nie moglibyście pożyczyć mi jakiej szyneli i furażerki?.. To będzie najlepsza eskorta.

— Z wielkiem zadowoleniem!... – odpowiedział nadziratiel. — Wyszedł do drugiego pokoju i niebawem przyniósł żądane ubranie. Jednocze-

http://rcin.org.pl

śnie drzwiami od korytarza wszedł Chrzanowski. Na widok oficera zrobił jakiś ruch, ale Popow zwrócił się do niego:

— Wasze nazwisko?...

— Chrzanowski.

— Imię i otczestwo?...

— Wacław Ludwikowicz.

— Gdzie aresztowany?...

— Zajączkowski porwał mnie tutaj.

Oficer machnął ręką.

— Widzę, że ten sam... Dajcie pokwitować...

Nadziratiel potrząsnął głową, patrząc na pisarza. Był zachwycony energią i przytomnością oficera.

Popow podpisał kwit z odbioru Chrzanowskiego i rzekł:

— Przygotujcie kwit, gdy odwiozę aresztanta.

Zwrócił się do Chrzanowskiego:

— Włóżcie tę szynel i czapkę... Pomóżcie aresztowanemu — dodał do pisarza. A gdy Chrzanowski został ubrany i zapięty, oficer wziął jego barankową czapkę do kieszeni i powiedział:

— Chrzanowski... pojedziecie ze mną niedaleko stąd... Ostrzegam was przy świadkach (panowie słyszycie?)...

— Słyszymy — odpowiedział pisarz.

— Ostrzegam Chrzanowskiego przy świadkach, że, gdyby chciał wyskoczyć z sanek, albo



http://rcin.org.pl

gdyby zwracał się do kogo na ulicy, będę zmuszony zastrzelić go...

Pisarz wyprostował się, jak struna, nadziratiel z niewymownym zapałem uściskał rękę Popowa i wyprowadził go, wraz z jego więźniem do furtki.

— Najlepiej będzie — rzekł Popow do Chrzanowskiego — jeżeli aresztowany weźmie mnie w sankach pod rękę i będzie ze mną przyjemnie rozmawiał...

— Maładiec!... — wykrzyknął zachwycony nadziratiel i własnoręcznie, szeroko otworzył furtkę, poza którą zniknął Popow i aresztant. Po chwili zaskrzypiały sanki.

— O, tacy powinni być w żandarmeryi!... — powiedział nadziratiel do pisarza, wróciwszy na górę. — Nu, ja teraz zdrzemnę się, a jak wróci Popow, ty, Kostia, obudzisz mnie. Ot, takich nam potrzeba!...

— A ja, głupi, zrazu pomyślałem, że to ktoś przebrany za oficera... — odrzekł pisarz.

— Dobrze mówisz, żeś głupi, Kostia. Ja natychmiast zrozumiałem, kto on taki. On będzie żandarm... Generał umie wybierać ludzi... Kochany!...

— Mądry człowiek... liberalny człowiek... dusza człowiek!.. — zakończył pisarz.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Wsiadłszy do sanek z Chrzanowskim, oficer

http://rcin.org.pl

wziął go pod ramię i silnie przyciskając, zapytał po francusku:

— Poznałeś mnie, Waciu?...

— Ty jeden mogłeś zrobić coś podobnego!... — odpowiedział Chrzanowski, drżąc całem ciałem.

— Rozepnij szynel — mówił oficer już zamieniony w Świrskiego i kładź do paltota... Tylko nie pomyl się z kieszeniami... Tu jest brauning, magazyn i zapasowe naboje... To twoja czapka... a to pugilares z paszportem i pieniędzmi... Masz dwieście rubli i paszport na imię Antoniego Cieplaka... Pisarz leśny, z którym pojedziesz, odeśle cię do Grudy, a stamtąd zmykaj do Galicyi...

— Nie wiem, jak ci się wywdzięczę, Kaziu!... — szepnął Chrzanowski.

— Nic nie mów!... — przerwał Świrski, głosem nieco zmienionym.

Zatrzymał sanki przed jakąś restauracyą, wsunął zwitek bankocetli w rękę dorożkarzowi i, pociągnąwszy Chrzanowskiego, wszedł do sieni. Przebiegli korytarz, podwórko, potem Świrski uchylił bramę, zamkniętą na kołek, i obaj znaleźli się w uliczce zupełnie pustej. Szybko minęli drugą i trzecią uliczkę, na których znajdowało się coraz mniej domów, wreszcie zatrzymali się między szopami i parkanami. Tu czekał na nich człowiek skulony, z rękoma w kieszeniach.

http://rcin.org.pl

— Aaa!... chwała miłosiernemu Bogu, kiedy tak... — odezwał się człowiek.

— Konie są?... — zapytał Świrski.

— Pisarz czeka przed naszą fabryką — wziął pakę tytuniu...

— Niema nikogo?...

— Tylko nasz akcyznik — odpowiedział człowiek.

— Waciu, bywaj zdrów... i idź z tym obywatelem, a szynel i czapkę wojskową rżnij gdzie w rów... — rzekł Świrski, obejmując Chrzanowskiego za szyję. Ex-więzień schwycił go za rękę i chciał pocałować, ale Świrski wyrwał się.

— Na śmierć i życie... — szepnął Chrzanowski.

— Nic nie mów... nic... Idźcie!...

— Co tobie, Kaziu?...

— Nic... Jestem trochę rozklekotany... Zaczynam czuć nerwy...

Popchnął Chrzanowskiego i uciekł za szopę. Tam przelazł przez parkan, przebiegł ogród, gęsto zasadzony śliwami, znowu przeskoczył parkan i znalazł się w innym sadzie. Gdy przeciskał się między krzakami porzeczek, coś go szarpnęło za szablę, Świrski skamieniał. Przez mgnienie oka nie śmiał spojrzeć za siebie, lecz, gdy z trudem odwrócił głowę, przekonał się, że zatrzymuje go krzak.

W taki sposób około kwadransa szedł zamiejskimi ogrodami, nasłuchując i wyglądając za

http://rcin.org.pl

parkany. Wreszcie wydostał się w aleję starych drzew i nią, kryjąc się za pnie, dobiegł do fabryki żelaznej, której kominy dymiły, a w oknach migotały żółtawe światełka. Świrski zapukał do szwajcara.

— Raz... dwa... trzy... cztery... — rachował uderzenia pulsu. — Ach, jakże marudzi!... Raz... dwa... trzy... Zasnął, czy kiego dyabła?...

Zgrzytnął klucz, drzwi uchyliły się... Na widok oficera szwajcar chciał zamknąć; ale Świrski rzucił się i gwałtem wszedł do sieni.

— Nie poznajecie mnie?... — zawołał.

— To pan?...

— Niema nikogo?...

— Nikogo... wszystko spokojnie...

— Rzeczy moje są?... Chcę się przebrać...

Szwajcar poprowadził go w głąb podwórza, do jakiegoś składu, przy którym znajdował się malutki pokoik. Zapalił świecę.

— Pan zmarzł... — rzekł szwajcar. — Możeby wódki?...

— Chyba bromu... — odpowiedział Świrski.

— Rumu nie mam, ale stary krupnik.

— Dajcie i krupnik...

Szwajcar wyszedł. Świrski niechcący spojrzał w małe, popękane lusterko i prawie nie mógł się poznać. Miał oczy zapadnięte, twarz sinawą, a dolna szczęka dygotała mu w prawo... w lewo... w prawo... w lewo... prędzej, aniżeli podniecone tętno.

http://rcin.org.pl

Zdjął rewolwer i szablę, zrzucił szynel, pod którym była cywilna marynarka, odpiął od butów lakierowane cholewy i prędko narzucił paltot cywilny. Gdy ukazał się szwajcar z buteleczką, Świrski wyrwał mu ją z rąk, przyłożył do ust i pił... pił... Potem z szyneli, czapki wojskowej i cholew zrobił zawiniątko, wsunął do niego szablę i rzekł:

— Do pieca można?...

— Jak trzeba, to można... — odpowiedział szwajcar, wzruszając ramionami.

Pobiegli obaj przez podwórko, wdrapali się na chwiejne schody i stanęli na szczycie pieca, podobnego do wieży, w głębi której, niby w studni, płonęło oślepiające ognisko. Świrski rzucił tam szablę i zawiniątko. Jaskrawa powierzchnia ogniska na chwilę pociemniała, zaróżowiała, a nareszcie odzyskała pierwotną barwę.

Świrski głęboko odetchnął. Dla niego jeszcze nie minęło niebezpieczeństwo, ale już nikt nie będzie skompromitowany!

— Chciałbym odpocząć — rzekł Świrski.

Szwajcar zaprowadził go do magazynu, skąd przez otwór, jemu tylko wiadomy, można było wymknąć się w pole.

— Chłodno tu, ale bezpiecznie — powiedział do Kazimierza. Życzył dobrej nocy i wyszedł, powłócząc nogami.

Świrski został sam, w ciemności. Zdawało mu się, że słyszy ciężki, niespokojny oddech;

http://rcin.org.pl

chciał zapytać: kto tam?... Lecz spostrzegł, że to on sam dyszy. I nagle opanował go strach bezkształtny, bezdenny... Przypomniał sobie dwa słupy z chwiejącymi się u belki sznurami... przypomniał więzienie, w którem blizko pół godziny znajdował się za zamkniętą furtką, na krawędzi samobójstwa... Przypomniał bezczelne zuchwalstwo, z jakiem przemawiał do człowieka, który mógł być jego ojcem... A nareszcie przypomniał sobie stek kłamstw, jakie popełniał każdym wyrazem, każdym ruchem. Ta konieczność wmawiania w siebie obcego charakteru, grania komedyi o kilkanaście kroków od szubienicy, wydała mu się czemś tak nieznośnem, tak okropnem, że schwycił się za głowę, chciał gdzieś uciec, a nadewszystko chciał krzyczeć w niebogłosy.

Ale ostatnim wysiłkiem woli opanował się, wbił chustkę w usta i tylko cicho jęczał: »A-u... a-u...« Potem zaczął gimnastykować się rozpaczliwymi ruchami, wyłamywał sobie palce, uderzał się pięściami w nogi i nareszcie zasnął.

Gdy nazajutrz o piątej rano zbudził go szwajcar, Świrski wytarł twarz i ręce sadzą, potem umył się i z grupą nocnych robotników opuścił fabrykę, nie zaczepiony przez nikogo. Wkrótce znalazł się we wsi podmiejskiej, gdzie najął konie u gospodarza znajomego i pojechał z nim w stronę Słomianek. Gdy wjechali w las, Świrski odzyskał dobry humor.

http://rcin.org.pl

»Mam przeszło tysiąc rubli — myślał — a byle dostać się do Rożków, odpocznę za wszystkie czasy...«

— Jak myślicie — zapytał gospodarza — do Rożków wolna droga?

Chłop odwrócił się na siedzeniu i pokręcił głową.

— Oj, chyba nie wolna!... — odpowiedział. — Snuje się pełno wojska na wszystkie strony za tym Zajączkowskim, który ponoć wcale nie zginął, ino znowu broi...

Świrskiego tknęło niby przeczucie.

— A do Grudy jeszcze się przemknie?...

— E, do Grudy to pana i jabym odwiózł ze Słomianek. Tam spokojne drogi.

Grudy, to znaczy Galicya i bezpieczeństwo... bezpieczeństwo w ciągu niecałej doby!... Ale Rożków — to Jadwiga... Świrski przypomniał sobie pocałunki i uczuł, że bez zobaczenia Jadwigi nie potrafi wyjechać.

— Jedziemy, panie, do Grudy?... — spytał chłop.

— Nie. Jeszcze czas.

Po wydobyciu Chrzanowskiego z więzienia, a nadewszystko — po odzyskaniu sił, Świrski uwierzył w swoje szczęście. Jeżeli wyszedł cało z tamtej pułapki, jakie już mogłoby mu grozić niebezpieczeństwo?

A tymczasem już w piątek, o dziesiątej wieczorem, rozeszła się po mieście X. wiadomość

http://rcin.org.pl

o bezprzykładnie zuchwałem wykradzeniu Chrzanowskiego, a w sobotę o dziewiątej rano wojsko otoczyło fabrykę żelazną i dokonało ścisłej rewizyi. Nie znaleziono nic, czegoś jednak — dowiedziano się i wieczorem aresztowano chłopa, który odwiózł Świrskiego do Słomianek.

Dębowski, jeden z pierwszych, usłyszał o dramacie więziennym i o tem, że policya szuka Świrskiego.

»To on taki ptaszek?... — myślał uradowany doktór. — No, gdyby teraz chciał, dam sobie za niego rękę uciąć. A policya niepotrzebnie trudzi się, szukając go. Ten spryciarz już dziś wieczorem powinien być w Galicyi...«

Naprawdę w sobotę wieczór Świrski był w Słomiankach i, leżąc w stodółce, na sianie, medytował: w jaki sposób, pomiędzy oddziałkami wojsk, przemknąć się do Rożków?

## XVIII.

Po wszystkich drogach kręciło się wojsko albo strażnicy, więc Świrski, rad nie rad zatrzymał się w Słomiankach, skąd zaczęła się nieszczęsna jego epopeja. Tu Rycerze Wolności mieli skład broni, tu zebrali się po wyjeździe z miasta, niedaleko stąd napadli starego Linowskiego. Ze Słomianek Świrski pojechał do Leśniczówki, gdzie upłynęło mu (tak myślał dzisiaj!)

http://rcin.org.pl

kilkanaście dni bodaj czy nie najszczęśliwszych w życiu. Nareszcie w Leśniczówce dowiedział się Kazimierz, że ex-czeladnik kowalski, Zając, wziął stąd broń i, najpierwej z kilkoma ludźmi, zaczął wojować na własną rękę...

Od napadu na starego Linowskiego upłynęło ledwie półtora miesiąca, a ileż w tym czasie zaszło wstrząsających wypadków, ileż zmian!... Sześć tygodni temu Kazimierz marzył o stworzeniu armii; dzisiaj nie mógł pomyśleć o tem bez wstrętu i zgrozy... Sześć tygodni temu kipiał radością i nadziejami Lisowski, a Starka uważany był za jednego ze zdolniejszych kandydatów na oficera; dziś Lisowski w grobie, a uwięziony Starka denuncyuje swoich niegdyś kolegów i przyjaciół!...

Takie i tym podobne myśli, niby rój much dokuczliwy, obsiadały duszę Kazimierza i zatruwały mu spokój, którego bardzo potrzebował. Jedynym środkiem przeciw natręctwu tych duchowych pasorzytów były... wspomnienia panny Jadwigi... Świrski wyobrażał sobie jej oczy mądre i figlarne, usta pieszczotliwe, włosy popielate, każdy ruch, każdą zmianę fizyognomii, powtarzał nieomal każdy jej wyraz... I czy może być, ażeby ona, taka ładna, tak trzymająca wszystkich w odległości od siebie, ażeby ona — tuliła się do niego?... Czy w rzeczy samej on na tyle stracił przytomność, że pochwycił ją i całował... całował... jak waryat?... A Jadwiga nietylko

http://rcin.org.pl

nie obraziła się, ale jeszcze kazała mu przyjechać do Rożków!...

»Jeżeli mogłem — rozmyślał Świrski — co to jest: mogłem?... jeżeli musiałem trochę zaryzykować dla wydobycia Chrzanowskiego, tembardziej muszę, choćby mi dyabli wiedzą co groziło, pojechać czy pójść do Rożków... Kobieta... Jadzia... naznaczyła mi widzenie, a ja miałbym się nie stawić?...«

Rozwagi te były powierzchowne i zbyteczne. Świrski nie potrzebował powoływać się na konieczność galanteryi wobec dam, ponieważ czuł, że wspomnienie pocałunków przykuło go do Jadwigi, że go ciągnie i że on musi dążyć do niej, choćby mu śmierć stanęła na drodze. Nie innych zapewne uczuć doznaje ćma wobec zapalonej świecy.

Musi — i basta!... Pierwszy w życiu pocałunek obłąkał go. Dopóki jeszcze miał obowiązek myśleć o wydobyciu z więzienia Chrzanowskiego, szał miłosny palił się gdzieś na drugim planie w jego duszy. Lecz od chwili, gdy Chrzanowski jest wolny, a zapewne i bezpieczny, miłość Świrskiego stała się, jak potok górski, który podsyciły deszcze i żadna nie powstrzyma zapora.

Kazimierz tonął w ognistem morzu namiętności. Niekiedy jednak płomienna ściana rozdzierała się na chwilę, a wówczas młody chłopak zaczynał pojmować, że dzieje się z nim coś nie-

http://rcin.org.pl

zwykłego i niedobrego. Był strudzony, bardzo strudzony, wszystko drażniło go, męczył się łatwo, a jego sen był albo gorączkowem marzeniem, albo przykrą utratą przytomności, poza którą coś jednak kipiało i burzyło się w duszy.

»Do Rożków!... do Rożków!...« — oto wyrazy, które najczęściej stawały mu w pamięci. Za nowe pocałunki Jadwigi oddałby cztery życia, gdyby je miał... oddałby nawet wieczność, gdyby w nią wierzył.

Chociaż — i niewiara w życie wieczne zaczęła się także modyfikować. Bo czy mógł on przypuścić, ażeby — naprzykład — Jadwiga umarła i ażeby już nic z niej nie pozostało oprócz garstki popiołu?... Nie, tak być nie może, gdyż natura dopuściłaby się już nietylko okropnej, ale wprost — nikczemnej niesprawiedliwości... Przecież Dębowski człowiek rozumny, a jednak — trochę wierzy w życie przyszłe... Kto zatem wie, czy tego życia niema?... A jeżeli jest, więc i Bóg musi istnieć... A w takim razie człowiek może bez śmieszności oddawać się w obronę siłom nadziemskim i niekiedy ma prawo powiedzieć: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!... jak uczyła go poczciwa Linowska.

»Muszę pogadać o tych rzeczach z księdzem Stanisławem...« — rzekł do siebie Kazimierz i ucieszył się, że ma — jeszcze jeden powód wybrania się do Rożków. I taki ważny powód!...

W Słomiankach przepędził Świrski dwa dni

http://rcin.org.pl

i trzy noce; były to przykre czasy widzeń gorączkowych i dziwacznych projektów. Raz, przez całą godzinę, rozmyślał nad tem, ażeby odwiedzić Linowską w Leśniczówce; innym razem postanawiał sobie, że, po wizycie u Jadwigi w Rożkach, pojedzie w stronę Świrków i zawiadomi stryja, ażeby się z nim zobaczył. Oba projekty były rezultatem ogarniającej go i coraz silniejszej tęsknoty, nie tyle może za stryjem, ile za dzieciństwem, nie tyle za Leśniczówką, ile za spokojem.

Ach, żeby chociaż z tydzień odpocząć!... Żeby choć parę... choć jedną noc dobrze przespać!...

Przytem dręczył go nieokreślony niepokój; zdawało mu się, że lada dzień, jeżeli nie lada chwila, coś się stanie, coś niezwykłego... Pragnął, ażeby się to już stało, ale bieg życia nie stosował się do jego pragnień.

Świrski przypomniał sobie, że, kiedy w piątek wieczorem po wykradzeniu Chrzanowskiego był bardzo rozdrażniony, uspokoił go krupnik... wódka z miodem... Więc i teraz poprosił gajowego, ażeby mu dał wódki z miodem. Przygotowano jej całą flaszkę, którą Świrski popijał, wprawdzie ze wstrętem, ale — co parę godzin kieliszek. Zdawało mu się, że jest spokojniejszy; naprawdę — rozdrażniał się coraz mocniej.

Ile razy gajowy powrócił z lasu do domu, Kazimierz wybiegał naprzeciw niego i, prawie

http://rcin.org.pl

drżący, wypytywał: co słychać?... czy wojsko wyszło z Rożków?... Wojsko z Rożków nie wyszło, choć miało lada chwila opuścić osadę, inne wiadomości były skąpe.

Nareszcie przyszła ciekawsza wieść. Oto Zajączkowski, który wcale nie zginął, przed paroma dniami napadł urząd gminny w Zatorach, a gdy nadbiegli strażnicy z kozakami, zamknął się w budynku gminnym i bronił tak wściekle, że oblegający musieli się cofnąć. Wówczas bandyta, zostawiwszy paru swoich zabitych, i dobiwszy jednego ciężej rannego towarzysza, uciekł z pozostałymi!... Gdy zaś przybiegł nowy oddział kozaków, już nie znalazł nikogo, przynajmniej z żywych.

Między gajowymi krążyła pogłoska, że od tej pory każdy dom, w którym broniłby się Zajączkowski, że każdy taki dom zostanie zburzony armatami.

Świrski już był poirytowany na Zajączkowskiego na zagrabienie owych 3.000 rubli, które stryj wysłał mu do partyi; gniew i pogarda ogarniały go na myśl, że ten bandyta morduje własnych rannych. Ale jednocześnie nie mógł obronić się przed uczuciem podziwu dla tego biednego, nieoświeconego ex-rzemieślnika, który niekiedy miewał genialne natchnienia, a w innych warunkach mógł był zostać bohaterem, gdyż nie brakło mu nawet szlachetnych instynktów, ani chęci do wyzbycia się ciężkich wad.

http://rcin.org.pl

Zdemoralizowała go tylko zasada »walki klas« i »ekspropryacyi«, ciągle głoszona na zebraniach przedrewolucyjnych.

»Zmarnowali i sprawę i ludzi!...« — pomyślał Świrski z goryczą.

Najgorsze były noce. Pomimo sporych ilości krupniku Kazimierz nie mógł sypiać, a jeżeli zasnął, napastowały go przykre marzenia. Właściwie nie były to nawet marzenia, ale jakby widzenia. Jednej naprzykład nocy, gdy stracił wiedzę o tem, że jest w Słomiankach, wspomnienie przeniosło go do miasta X., do owej kamienicy przy Nowym Placu, z której okna był mimowolnym świadkiem zabicia policmajstra. Jak wówczas — stał w oknie, jak wówczas — widział na środku placu z jednej strony nadjeżdżające sanki, z drugiej szewskiego chłopca w podskokach... Ale tym razem wiedział, że za chwilę upadnie bomba i na myśl o tem włosy powstały mu na głowie... Chciał uciekać — nie mógł... Chciał zamknąć oczy, ale powieki stały się przeźroczystemi i widział wszystko... Chciał zasłonić uszy, ale w żaden sposób nie mógł podnieść rąk, które były ciężkie, jak ołów... Obudził się, krzycząc, i — już nie zasnął.

Innej nocy rozdrażniona pamięć wskrzesiła mu scenę, kiedy uwalniał Chrzanowskiego. Widział sklepioną kancelaryę więzienia, widział suchą figurkę nadziratiela i bujną, żółtą czuprynę pisarza... Lecz, gdy zażądał od nich, ażeby kazali



http://rcin.org.pl

przyprowadzić Chrzanowskiego, nadziratiel odpowiedział, że więźnia niema tutaj, ponieważ przeniesiono go do koszar.

— W takim razie pojadę do koszar — rzekł Świrski, przebrany za oficera. I wyszedł. Ale w korytarzu zgasło światło i nie mógł trafić do schodów, a gdy wreszcie zbiegł na dół, przekonał się, że w bramie niema stróża z kluczem. Furtki nie mógł otworzyć, a na dziedziniec nie miał odwagi wejść, nie wszedłby tam za skarby świata. Więc zrozpaczony ukrył się w najciemniejszym kącie i — ujrzał naprzeciw tajemnicze okienko, w którem nadziratiel i pisarz cicho się śmieli.

Świrski spał w stodole. Sen o więzieniu przeraził go tak, że chłopak z siana stoczył się na klepisko i chciał — gdzieś uciekać. Dopiero przejmujące zimno otrzeźwiło go, ale nie uspokoiło.

Po chwili skrzypnęły drzwi stodółki i wszedł gajowy z latarnią.

— Panie naczelniku — rzekł do Świrskiego — sałdaty z Rożków wyniosły się...

— Więc moglibyśmy tam pojechać?...

— Choćby zaraz, jeżeli pan naczelnik każe...

— Moi złoci... mój Teofilu... — odezwał się Kazimierz tonem błagalnym — przestańcież mnie raz u dyabła przezywać naczelnikiem... Nie jestem nim i nigdy nie byłem...

http://rcin.org.pl

— Jak pan na... jak panicz każe — poprawił się gajowy.

W ciągu pół godziny gospodyni zagrzała herbaty, a jej mąż założył chudego konia. Świrski szybko wypił śniadanie, uściskał oboje gajowych, zostawił im dwie trzyrublówki i siadł na sanki. W drodze odezwał się gajowy:

— A panicz wiedzą, że wczoraj kręcił się koło Piaseckiego ten... ten Stasiek.

— Ten mały, co to biegał na wywiady z partyi Zajączkowskiego? — spytał Kazimierz.

— Jużci on. Ale choroba go wie, o co on się teraz wywiaduje i dla kogo...

— Posądzalibyście go?...

— Nie posądzamy, ino się boimy... — mówił gajowy. — To, panie, podlec musi być, żebym nie powiedział w złą godzinę...

— Z czego wnosicie?

— Wczoraj, u Piaseckiego, Stasiek wypytywał się: czy nie wiedzą, gdzie jest Zajączkowski? A kiedy mu powiedzieli, że z takim zbójem nie mają nic do czynienia, więc wtedy Stasiek zapytał się: czy gdzie nie widzieli panicza... niby pana naczelnika Świrskiego...

— Żartujecie!... — wtrącił Kazimierz.

— Żebym tak zdrów był, jako mówię prawdę. Więc zaraz Piasecki pomyślał se, oj! niedobrze... i dał mi znać. Ale ja nie chciałem budzić panicza i zeszło mi do dziś rana...

Świrski pomyślał, że może, za pośrednictwem



http://rcin.org.pl

Staśka, poszukuje go Zajączkowski... »Może zechce mi co zwrócić z trzech tysięcy rubli, które gwizdnął?...« rzekł w sobie z uśmiechem. Gajowy odezwał się znowu:

— Ja, panie na... ja, paniczu, rozważam sobie, że może nie k u n i e c z n i e dobrze robią te rewolucyonisty, kiedy takich małych wciągają do rewolucyi?...

Świrski mimowoli zarumienił się na wzmiankę o zbyt młodych rewolucyonistach. Gajowy prawił dalej:

— Człowiek starszy niech sobie robi, co chce; u n ma już rozum. Ale taki mały, kiedy się rozpróżniaczy, biegając po wsiach i lasach na przeszpiegi, to już nie weźmie się do żadnej roboty, nawet choćby oddać go do rzemiosła. U n już ciągle będzie latał za polityką. Tam zełże, tu ukradnie, a jeszcze, nie daj, Boże, żeby kogo nie zabił, albo na swoich własnych nieszczęścia nie sprowadził...

Świrski słuchał w milczeniu. Czuł racyę w słowach gajowego, ale nie mógł przecie oburzać się na robienie polityki przez dzieci, on, który w ośmnastym roku życia chciał tworzyć armię!...

## XIX.

Około dziewiątej rano Kazimierz ze swym przewodnikiem dojechali do Suchych Stawów,

http://rcin.org.pl

gdzie mieszkał szwagier gajowego. Stąd do Rożków było trzy wiorsty, które Świrski przeszedł sam, upewniwszy się, że w osadzie niema wojska, ani strażników. O dwunastej w południe zapukał do drzwi proboszcza.

Ksiądz Stanisław sam otworzył, spojrzał i cofnął się.

— To ty, Kaziu?... — zapytał zniżonym głosem.

— Na dziś jestem August Szulc — odpowiedział Świrski z uśmiechem.

— Ty tutaj?... — dziwił się ksiądz. — A mówiła mi panna Jadwiga... mówiła...

— Co mówiła?...

— No, o tem, co było w piątek... z policmajstrem...

— Ach, że go zabili!... Ja nie należałem do tej sprawy...

— Mówisz prawdę?... Pewnie, że mówisz prawdę... Chwała Bogu!... — ciągnął ksiądz. — Dawne to czasy, już z ośm lat, jak byłem twoim nauczycielem; zawsze jednak wolę, że nie należałeś do morderstwa. Ale w takim razie o czemże myślała panna Jadwiga?... Wejdź, Kaziu...

Ksiądz, ciągle jakby zmieszany i niespokojny, wprowadził Świrskiego do kancelaryi i wskazał krzesło. Kazimierz obrzucił okiem proboszcza, z którym nie widzieli się od dwu lat. Spostrzegł, że jego niegdyś nauczyciel w ciągu krótkiego

http://rcin.org.pl

czasu wychudł, pochylił się; ciemne oczy wpadły, twarz nabrała suchotniczego wyglądu.

— Więc cóż?... więc cóż?...—szeptał ksiądz.— Nikogo nie zabiłeś?...

— Wydobyłem kolegę z więzienia... — odpowiedział tym samym tonem Świrski.

— Tego... tego, co to w piątek ktoś go wykradł?...

— Chrzanowskiego...

— Aha... aha!... Chwat jesteś... Choć zdaje się, że jesteś ścigany...

— Może robię kłopot księdzu proboszczowi?... — spytał Kazimierz, zrywając się z krzesła.

Ksiądz schwycił go za ręce i gwałtem posadził.

— Dajże spokój!... — rzekł. — Zostaniesz u mnie, jak długo podoba ci się... Zaraz dadzą obiad... Poznasz oryginalnego człowieka, choć... radzę być ostrożnym...

— Czy mógłbym przed obiadem wpaść na chwilę do panny Jadwigi?... — spytał Świrski, czując, że rumieni się.

— Panny Jadwigi niema, wyjechała na parę dni... Na obiadek mamy: sztukę mięsa z rydzami marynowanymi i pieczoną kaczkę z buraczkami... Na więcej nie stać biednego proboszcza...

Na wiadomość o wyjeździe Jadwigi Świrskiemu pociemniało w oczach. Energia, jaką jeszcze posiadał, opuściła go.

http://rcin.org.pl

»Gdzież ja tu parę dni wytrzymam bez niej?...« — pomyślał i zapytał głośno:

— A czy daleko pojechała?...

W tej chwili stuknęły drzwi, proboszcz podniósł się z krzesła i rzekł:

— Pan August Szulc... pan Lombarcki...

Świrski obejrzał się i spostrzegł mężczyznę silnie zbudowanego, z wojskowymi ruchami, przenikliwem spojrzeniem i rudawymi wąsikami, zakręconymi à la Wilhelm II-gi.

— Trochę... cośkolwiek nie wygląda pan ani na Augusta, ani na Szulca, ale to nie należy do mnie... — odezwał się nowy gość. — Ja jestem agentem maszyn do szycia, rowerów, maszyn piszących, gramofonów, telefonów folwarcznych, a nawet automobilów. Gdyby mnie zaś kto grzecznie poprosił, może znalazłbym trochę brauningów, a nawet mauserów... — dokończył, ściskając Świrskiego za rękę.

— Pan Lombarcki jest Polak z Poznańskiego... — wtrącił proboszcz.

Rudawe wąsiki uniwersalnego agenta drgnęły:

— Ośmielę się zrobić poprawkę szanownemu proboszczowi. Jestem polski patryota, ale pruski obywatel... Czego możecie mi panowie zazdrościć...

— No... pan ciągle... — zaczął proboszcz.

— Przepraszam!... — przerwał Lombarcki. — Szanowny proboszcz ciągle posądza mnie o żarty, a ja całkiem poważnie ubolewam, że panowie

http://rcin.org.pl

rodacy z tego kraju nie jesteście moimi współobywatelami...

— O, tobyśmy wygrali!... — mimowolnie wykrzyknął Świrski.

— I bardzo!... — pochwycił Lombarcki. — Przedewszystkiem ludzie porządni nie byliby ścigani, jak dzikie zwierzęta... Powtóre, dla pozyskania reform społecznych nie robiłoby się krwawej rewolucyi; wystarczyłyby zwykłe agitacye i rozprawy w parlamencie... Po trzecie, nie byłoby w kraju tylu złodziejów i bandytów... Po czwarte, robotnicy wprawdzie nie sądziliby, że mogą strajkować na koszt swoich pracodawców, ale za to mieliby na starość emeryturę...

Proboszcz zaczął trząść rękoma nad głową.

— O, za pozwoleniem — rzekł — pan dobrodziej mówisz o tem, co było, a zapominasz o zmianach, jakie zaszły. Rosya już stała się państwem konstytucyjnem i może liberalniejszem od waszych tam Prus...

— Rozumiem — przerwał Lombarcki. — Jakieś drzewo, przez kilkadziesiąt lat, rodziło dzikie gruszki; ale na skutek zażegnywań, dokonanych przez Hapona i Chrustalewa, zacznie rodzić ananasy... Rogi mi wyrosną, jeżeli Rosya stanie się państwem praworządnem... Już my w tem jesteśmy!...

— Jacy wy?... — zapytał Świrski.

— Powiedziałem panu: jestem polski patryota, ale pruski, słyszy pan, pruski obywatel...

http://rcin.org.pl

Na mojej chorągwi napisano z jednej strony: »Jeszcze Polska nie zginęła!« z drugiej: »Hoch der Kaiser!...« Zatem: m y, to znaczy państwo niemieckie... I życzę moim tutejszym rodakom, ażeby czemprędzej mogli to powiedzieć o sobie.

— Tego pan nie usłyszy — rzekł proboszcz. — Zanadto dobrze poznaliśmy Niemców...

— Wcale ich nie znacie! — zawołał Lombarcki. — Niemcy to dobrobyt, porządek i wolność na wewnątrz, a siła na zewnątrz... Niemcy to praca, oparta na mądrości, to ścisłe połączenie energii nieugiętej z najwyższą wiedzą naukową... A wy tutaj co?... Nędzarze, ciemni, rozleniwieni, chaotyczni. Ale mam nadzieję, że moi rodacy, zdolni z natury, choć zaniedbani, spostrzegą się kiedyś, i zrozumieją, że w związku z Niemcami czeka ich wielka cywilizacya, wspaniały byt materyalny i ludzka godność.

— A wie pan — wybuchnął Świrski — że ja pierwszy raz słyszę coś podobnego!... Przecież Poznańskie zalewają Niemcy, i wkrótce może już tam zabraknąć Polaków...

— Nie bój się pan, panie Szulc!... — odparł z irytacyą Lombarcki. — Poznańczycy, dzięki obecności Niemców, już dziś są dzielnymi synami kultury; ale co będzie, gdy was, tutaj, zaleją Żydzi rosyjscy, w prezencie od Rosyi?... Ale wy się jeszcze ockniecie!...

— Niby z czego?... — zapytał Świrski, patrząc mu w oczy.

http://rcin.org.pl

— Z tej świeżej miłości do Rosyan... I dopiero kiedy przekonacie się, że tak dobrze będą was dusić rewolucyoniści, jak i biurokracya, dopiero wówczas poprawicie nieopłakany błąd waszych ojców...

— Wolno wiedzieć jaki?... — wtrącił Kazimierz.

— Obiad, panowie... obiad... — odezwał się proboszcz, widząc we drzwiach pokojówkę.

— Więc powiem krótko — mówił Lombarcki. — W roku 1863 Polacy mieli możność prosić króla pruskiego, ażeby Królestwo Polskie przyłączył do swoich posiadłości. Mieli możność i... odtrącili ją, szaleńcy!...

— No, chodźmy już, chodźmy... — nalegał proboszcz. — Dosyć tej polityki, na której my się nie rozumiemy. Dla nas Niemiec to zawsze Niemiec, wróg nieprzejednany...

Obiad był niezły, proboszcz jednak nie miał apetytu. Za to Lombarcki jadł i pił za dwóch i coraz pieprzniejsze opowiadał anegdotki. Świrski wypił przed obiadem dwa kieliszki wódki, później około butelki nieosobliwego piwa, a w końcu obiadu tyle przełknął wina, że się nawet ożywił. Po czarnej kawie uniwersalny agent ślicznie podziękował proboszczowi i — odjechał.

— Co to za jeden?... — spytał Świrski.

— Czy ja wiem?... — odpowiedział markotnie proboszcz. — Niby to Polak z Poznańskiego,

http://rcin.org.pl

niby katolik... Przyjmuję go, bo ułatwił mi kupno czterech apostołów i Matki Boskiej, bardzo ładnie wyrzeźbionych, wymalowanych i — tanich. Uważam jednak, że najwięcej kręci on się między kolonistami niemieckimi, wspomina się o kupnie i parcelacyi jakiegoś wielkiego majątku, a jeżeli się nie mylę, parę lat temu czytałem w gazetach o jakimś Lombarckim, który w Poznańskiem ułatwiał komisyi kolonizacyjnej nabywanie ziemi od Polaków. Ale czy to ten sam?... nie wiem.

Świrski, zarumieniony, z błyszczącemi oczyma, kręcił się na krześle i, ledwie skończył proboszcz, zapytał go:

— Gdzież to pojechała panna Jadwiga?...

Trochę zdziwiony proboszcz odpowiedział po namyśle:

— Pojechała bodajże na dwa dni, o milkę stąd... Do siostry tego pana Klemensa, co jest administratorem u Puchalskich...

— A ona tam po co?... — rzucił się Kazimierz. — Przecież teraz dzieci najchętniej chodzą do szkoły...

Ksiądz zapalił papierosa.

— Phi!... — rzekł powoli. Panna Jadwiga, uboga panienka, z blizkich niema nikogo, uczy dzieci bardzo gorliwie i pięknie, uczy nawet starych, rozdaje książeczki. Dobra panienka, no i ładna... ładna, ale — uboga... A że ten pan Klemens kocha się w niej do utraty rozumu, więc

http://rcin.org.pl

jego siostra, bardzo słusznie zresztą, chciałaby panienkę zjednać dla brata... Co tobie?

Ksiądz podbiegł do Świrskiego, który zbladł jak papier, i opuścił głowę na piersi.

— Co tobie Kazieczku?... — mówił ksiądz. — Czy może za wiele piłeś?...

— Jestem strasznie zmęczony... — szepnął Kazimierz. — Od kilku dni zupełnie nie sypiam...

— Więc połóż się...

— A jeżeli wpadną kozacy?...

— Będę czuwał — odpowiedział ksiądz. — Wreszcie wezmą nas obu...

— Ale tylko mnie powieszą!... To jest... nie powieszą...

— Bój się Boga!... co mówisz?... za co?...

Kazimierz jak najtreściwiej opowiedział swoją historyę od napadu na starego Linowskiego do wykradzenia Chrzanowskiego. Ksiądz, słuchając, trzymał się za głowę i chwiał całem ciałem w prawo... w lewo... w prawo... w lewo...

— Miły człowieku — rzekł w końcu — jesteś największym bohaterem, jakiego wydała ta nieszczęsna rewolucya, ale... dlaczegoż ty natychmiast nie uciekłeś zagranicę?...

— Chciałem... chciałem spotkać tego gałgana Zajączkowskiego i choć trochę odebrać pieniędzy...

— Bój się Boga!... a któż naraża życie choćby dla setek tysięcy?... Nigdybym nie myślał, że dla takiego głupstwa zostałeś się tu, gdzie na wszy-

http://rcin.org.pl

stkie strony kręci się wojsko, goniąc właśnie tego nieszczęsnego Zająca... i — ciebie!... — mówił ksiądz.

Świrski zacisnął zęby. Wolałby zginąć, aniżeli przyznać się, że przyszedł tutaj dla Jadwigi... Dla tej Jadwigi, która opuszcza szkołę, ażeby siostrze pana Klemensa ułatwić swaty!...

I znowu, jak przed kilkoma tygodniami, coś zawaliło się w jego duszy, i uczuł pustkę, straszną pustkę, bez dna i granic...

— Pojechała w konkury!... — rzekł półgłosem.

— Co mówisz, kochany... — spytał proboszcz.

— Nie wiem sam, co plotę; ale myślałem w tej chwili, ażeby już raz skończyła się ta obrzydliwa niby-rewolucya!.

— To nie niby — pochwycił ksiądz — to najstraszniejsza rewolucya, jaka kiedykolwiek przeleciała przez nasz kraj...

— No, nie taka znowu straszna!... Silniejsza była w 63-cim roku, w 31-ym... W owe czasy bili się...

— Co znaczą bitwy?... — mówił ksiądz. — Dzisiaj spełniają się rzeczy tysiąc razy gorsze i głębsze, wewnątrz samego narodu... Terminator i czeladnik zmawia się przeciw majstrowi, robotnicy przeciw fabrykantom, kobiety nie chcą być żonami i matkami, a nawet młodzież, na-

http://rcin.org.pl

dzieja kraju, naraża się, zamiast gromadzić skarby wiedzy...

— Więc módlcie się, panowie — rzekł Świrski tonem drwiącym — módlcie się, a może Bóg wysłucha i odmieni!...

Ksiądz chwiał głową ze smutkiem.

— Dziś człowiek i tego nie jest pewny... Dziś pisze się i mówi głośno, że Bóg to wytwór chorobliwej wyobraźni, że Jezus Chrystus to był marzyciel, nie mający pojęcia o filozofii, sztuce, naukach, nawet o państwie rzymskiem i Grecyi... Wprowadzał ludzi w błąd, nawet nie był filantropem, lecz fanatykiem. A już nie mógł być Synem Bożym, skoro i Boga niema... I tak gadają... tak gadają... tak mącą w głowach, że nieraz człowiek pyta się z trwogą: po co ja to wszystko mówię i robię — co mówię i robię?...

Kazimierz z początku słuchał wynurzeń z półuśmiechem, później z uwagą, w końcu — z beznadziejnym smutkiem. Znowu przypomniał sobie radę Linowskiej: W chwili niebezpieczeństwa mów: »Pod Twoją obronę« i »Boże bądź miłościw mnie grzesznemu...« i wstrząsnął głową. Oczywiście człowiek nie ma komu oddawać się w obronę i nie ma kogo prosić o miłosierdzie. Na tym świecie Bóg już przestał być widocznym, jego kapłani stracili wiarę, a »ziemskie anioły« po to nas zapraszają do siebie, ażebyśmy, wymknąwszy się niebezpieczeństwom, nie znajdywali ich w domu...

http://rcin.org.pl

»Pojechała do siostry pana Klemensa ułatwić mu konkury... a kilka dni temu całowała się ze mną!...« pomyślał. Zdawało mu się, że dusza jego jest olbrzymią równiną, zalaną płytkiemi wodami, ponad któremi unosi się pustka, ciemność i rozpaczliwy smutek.

— Ach, spać... spać... — szepnął.

— Wiesz co — rzekł ksiądz — zaprowadzę cię do jednego gospodarza, który mieszka niedaleko lasu; tam będziesz mógł bezpiecznie przenocować.

— Chcę jechać do granicy... — odpowiedział Kazimierz.

— Masz słuszność — rzekł ksiądz, przypatrzywszy mu się z uwagą. — Potrzebujesz naprawdę wypoczynku, ale dłuższego, a o ten u nas trudno...

Świrski wyprosił flaszkę wódki i poszedł z księdzem do gospodarza pod las. Umówiono się, że pójdzie spać do stodoły, a około czwartej zrana wyjadą z chłopem w stronę granicy galicyjskiej, do której było stąd około dziesięciu mil.

— Jutro o tej porze powinniście być w Grudzie — rzekł ksiądz do chłopa.

— Jak Bóg pozwoli — odparł gospodarz. — Musimy trzymać się ścieżek, bo na drogach pełno wojska.

Kiedy Świrski odprowadzał księdza do wrót, spostrzegli około płota drobny cień.

http://rcin.org.pl

— Litościwe państwo — jęknął cień — dajcie grosik nieszczęśliwemu podróżnemu... O, pan naczelnik...

Cień przypadł do Świrskiego i przyczepił mu się do ręki.

— Nie wie też pan naczelnik, gdzie jest pan kapitan Zajączkowski?...

Kazimierz poznał Staśka, i dreszcz nim wstrząsnął. Przypomniał sobie podejrzenia gajowego.

— Co ty tu robisz?... ty ciągle żebrzesz?...

— Szukam i szukam pana kapitana... — odparł Stasiek. — Żebym tak miał choć z parę złotych...

Świrski dał mu rubla i drobnych. Chłopak znowu pocałował go w rękę i — jakby rozpłynął się w ciemności.

— Co to za jeden?... skąd się tu wziął?... — zapytał ksiądz.

— Bardzo dwuznaczna figura!... — odpowiedział Kazimierz. — Ale z głodu nie powinienby zdychać.

Gdy Świrski pożegnał księdza i wrócił do chaty, namówił gospodarza, aby wyjechali nie o czwartej, lecz o drugiej po północy. Chłop, po namyśle, zgodził się i odprowadził Kazimierza do stodoły, życząc dobrego snu.

Od obiadu Świrski czuł nieprzyjemny chłód w całem ciele; teraz począł drżeć, aż chwilami zęby mu szczękały. Więc wydobył flaszkę z wó-

http://rcin.org.pl

dką od proboszcza, odkorkował i — wypił jednym tchem przynajmniej ze szklankę. Wódka była mocna, ale na Świrskim zrobiła wrażenie zimnej wody. Dreszcze nie ustały, tylko zaczęła go palić skóra, a w myślach robiło się coraz jaśniej, tak jasno, że nawet nie odczuwał ciemności, wypełniającej stodołę.

I otóż przy blasku tego mistycznego światła własne życie Kazimierza przedstawiło mu się z nowej strony, o której nawet nie przypuszczał, że istnieje.

Miał przed oczyma obóz Zajączkowskiego, właściwie tę jaskinię, w której pierwszy raz ułożył się na spoczynek. Widział ognisko, dokoła ciemne figury partyzantów; między nimi wyróżniał się człowiek w burce, z imbrykiem, człowiek, który mówił:

»Po co tu ten panicz?... Ja nie dowierzałbym paniczom... Niech takiego złapią, zaraz wszystko wygada i nawet sprowadzi żandarmów...«

On, Świrski... On wszystko wygada i nawet sprowadzi żandarmów!... I kto ośmielił się wyrzec coś podobnego?... Jakiś oberwaniec, z cerą miedzianej barwy i nigdy nie czesanymi włosami. On powiedział, ale... czy inni nie myśleli, tak jak on?...

Przecież Linowska, kiedy Władek miał jechać do Grudy, oświadczyła, że z łatwością ukryje Świrskiego. A dlaczego nie ukryła?... dlaczego



http://rcin.org.pl

pozwoliła mu wyjść z bandą Zajączkowskiego?.. A co to powiedział gajowy Teofil o młodzieży, zajmującej się polityką?... że takim nie można ufać... A proboszcz dlaczego nie zatrzymał (powinien był zatrzymać gwałtem!), dlaczego nie zatrzymał go na probostwie, tylko zaprowadził na nocleg do chłopa i jak najprędzej radził wyjeżdżać?...

I to jest godne uwagi, że ksiądz Stanisław, choć niegdyś bardzo kochał go, dziś rozmawiał z nim ostrożnie... A ten Lombarcki, wprawdzie gadał dużo, ale zaraz po obiedzie zniknął, może ostrzeżony przez proboszcza?...

— Nikt mi nie ufa... wszyscy mnie o coś podejrzywają — szepnął do siebie Kazimierz. — A jeżeli posądzał mnie jakiś bandyta, Linowska, ksiądz, pruski ajent i nawet ten poczciwiec gajowy, czy więc podobna dziwić się, że Jadwiga uciekła przedemną i gotowa jest wyjść za Klemensa, którego przecie nikt nie podejrzywa...

Świrski ocknął się. Już było mu cieplej, nawet gorąco, ale trochę zaczęła go boleć głowa. Przypomniał sobie swoje majaczenia i z uśmiechem powiedział: »Głupstwa mi się plotą!...«

Wkrótce spadł na niego ciężki, męczący półsen. Stodoła znajdowała się niedaleko obory, z której chwilami zalatywał ostry zapach amoniaku. Świrski poczuł to i przypomniał sobie zupełnie inną woń, z którą spotkał się przed kilkoma laty, gdzie ze znajomym sędzią śledczym

http://rcin.org.pl

oglądał raz więzienie. Otworzono im drzwi do izby, w której mieszkało dwudziestu aresztantów, i z tej izby wionął tak straszny, szpitalny czy trupiarniany zaduch, że Kazimierz o mało nie zemdlał. Ta właśnie woń z całą potęgą przypomniała się obecnie.

Teraz przywidziało mu się, że — jest w więzieniu, w izdebce gnębiąco ciasnej, do której wchodziło się przez korytarz jeszcze ciaśniejszy. Ściany były grube, a sklepienie zdawało się uginać pod ciężarem murów. W izdebce, na wysokości człowieka, ujrzał gęsto zakratowane okno, poza którem działo się coś strasznego.

Mieszkańcem więziennej celi właściwie nie był on, Świrski, ale ktoś bardzo blizki jemu, ktoś, kogo jak najdoskonalej odczuwał. Więc czuł, że aresztant ma rozpaczliwy wstręt do więzienia, że, aby wyjść stamtąd, rękoma szarpałby mury. Ale wyjść nie było można. Mury za grube, korytarze za długie, drzwi zanadto mocne. Był tylko jeden sposób wyjścia, który więźniowi proponowano, ale na który on zgodzić się nie chciał.

»Lepiej zginąć!...« — powtarzał sobie.

Nagle przez okno wpadł do celi migotliwy blask. Na dziedzińcu zapalono latarnię, przy której świetle więzień spostrzegł dwa słupy i belkę poprzeczną, ze zwieszającymi się sznurami. Za oknem słychać było szmery, stąpania wielu nóg, szamotanie, jęki... Sznur zniżył się... za chwilę



http://rcin.org.pl

podniósł się wyprężony... i przy żółtawem świetle więzień zobaczył — niewielki, szary przedmiot, jakby wierzch ludzkiej głowy, nakrytej płóciennym workiem. Przedmiot ten gwałtownie poruszył się kilka razy, a potem — zaczął chwiać się ruchem jednostajnym w prawo... w lewo...

Świrskiemu zabrakło tchu, a więzień zaczął krzyczeć nieludzkimi głosami... Wtedy otworzyły się drzwi, i stanęła w nich niewyraźna postać.

»Powiesz?...« — zapytał stojący w progu. — »Powiem... — jęknął więzień — ale mi nic złego nie zrobicie?...« »Nic, jeżeli powiesz wszystko...« »Powiem wszystko...« »I pokażesz?...« »I pokażę...« »I doprowadzisz?...« »I doprowadzę, tak mi Boże dopomóż!...«

— Ratunku!... ratunku!... — zawołał Świrski. Zerwał się i usiadł w słomie. Rozejrzał się: nie był w więzieniu, lecz w ciemnej stodole. I nagle uczuł strach, ohydny, nikczemny strach, ażeby, dla uratowania się od szubienicy, nie popełnić tego, na co zdecydował się ów więzień, w marzeniu widziany.

Kazimierz przypomniał sobie swoich kolegów szkolnych, rodzinę Linowskich, Jadwigę i stryja... ach, tego stryja, który był wcieleniem honoru. Wyciągnął do góry splecione ręce i, po raz drugi w życiu, przysiągł, że zginie, ale nie da się aresztować.

— Człowiek odpowiada za siebie, dopóki

http://rcin.org.pl

jest wolny — szepnął. — A co się z nim może zrobić w więzieniu... dyabli wiedzą!...

## XX.

O drugiej w nocy zbudził Kazimierza gospodarz, dał mu zimnego mleka, które go orzeźwiło, parę klajstrowatych bułek na drogę i — około trzeciej — wyjechali w kierunku Grudy.

Świrski uspokoił się nieco, ale czuł przykry smak w ustach i osłabienie. Było mu wszystko jedno: dokąd jedzie i czy zajedzie? Noc była ciemna, ale Świrskiemu zdawało się, że widzi słabe, mleczne światło. Chwilami miał wrażenie, że sanki stoją w miejscu, to znowu, że dojeżdża do Świrków i już spostrzega szare ściany stryjowskiego pałacu. Gdy zaś chłop krzyknął: wio, maluśkie!... albo gdy sanki nagle poszły w zatokę, Kazimierz odzyskiwał przytomność i czuł, że serce bije w nim prędko a nieporządnie.

»Ja chyba muszę być niezdrów?... — pomyślał. W rzeczywistości był bardzo niezdrów, lecz, jak zwykle w podobnych wypadkach, nie zdawał sobie sprawy.

Po godzinie jazdy chłop stanął.

— Co to?... — zapytał Kazimierz.

— Wólka Szlachecka — odpowiedział gospodarz. — Może panicz wysiądą, to ja podjadę do wsi i zmiarkuję, czy niema strażników.

http://rcin.org.pl

Kazimierz z trudnością wylazł z sanek, usiadł na jakimś kopcu, zapewne granicznym, i czekał. W jego głowie myśli płynęły mechanicznie, jak woda w strumieniu. Już nie miał żalu do Jadwigi, bo i za co?... Przecież on nie ożeniłby się z nią, to jasne; więc o cóż chodzi?... Dlaczego uboga panienka nie miałaby starać się o zamążpójście? A pocałunki?... Czyliż to jeden z jego kolegów całował panny i nie żenił się, ani gniewał, gdy one starały się wyjść za innych, za dorosłych...

Stan apatyi, w jakiej był pogrążony, mógłby nawet wydawać się przyjemnym, gdyby od czasu do czasu nie wybuchała w duszy Kazimierza nagła trwoga. To wiatr silniej dmuchnął, to gałąź zaszeleściała, to może ptak nocny przeleciał, i nagle ogarniała chłopaka ogromna bojaźń. Serce uderzyło gwałtownie, chciał zrywać się, uciekać... Lecz, gdy włożył rękę w kieszeń i dotknął brauninga, uspokajał się.

»Choćby mnie cały pułk otoczył, cóż mi zrobią?...« — pomyślał.

Chłop wrócił zmieszany.

— Musimy cofnąć się — rzekł — bo w drugiej wsi sołdaty...

Kazimierz znowu wsiadł do sanek, znowu jechali wśród ciemności, znowu ogarniały go dziwaczne marzenia. Zdawało mu się, to — że ktoś siedzi obok niego, to — że stoi za nim i szepce... Przypomniał sobie stryja i... poczuł

http://rcin.org.pl

łzy pod powiekami... Potem przywidziało mu się, że rozmawia z Jędrzejczakiem. — »Miałem nielada kłopot! — mówił cień — ale jakoś wykaraskałem się...« A potem zdawało mu się, że słyszy głos Linowskiej, która mówiła: »Pod Twoją obronę...«

— Pod czyją obronę? — zapytał głośno, aż się chłop obejrzał.

Jeszcze dwa razy stawali w drodze, jeszcze dwa razy Świrski wysiadał z sanek, a chłop jechał na zwiady i powracał z wiadomością, że — trzeba cofnąć się, gdyż niedaleko nocują strażnicy, kozacy, albo oddziałek piechoty. W jednem zaś miejscu nawet powiedzieli chłopu, że — stoi armata.

Kazimierz uśmiechnął się; zresztą — było mu wszystko jedno. On chciał przedewszystkiem zasnąć, chciał odpocząć, chociażby w grobie...

Nad ranem gospodarz trochę popasł i znowu pojechał dalej. Lecz, gdy wysunęli się na równinę, dokoła której nie było widać ani kawałka lasu, tylko pojedyńcze grusze, albo kępy wierzb, albo krzaki, chłop porwał się za głowę i ryknął płaczem.

— O dla Boga, paniczu — zawołał — wypuśćcie już mnie!... Przecie ja mam żonę i dzieciska!...

Nigdy jeszcze Kazimierz nie czuł, jak dziś, potrzeby opieki, a przynajmniej ludzkiego towarzystwa, nigdy jeszcze nie wydawał się samemu

http://rcin.org.pl

sobie tak niemocnym i bezradnym. Ale rozpacz chłopa otrzeźwiła go.

— A jedźcie z Bogiem, mój gospodarzu!...— zawołał. Dał mu pięć rubli i uściskał na drogę, za co chłop obsypał go błogosławieństwami.

— Bóg wielmożnemu paniczowi stokrotnie wynagrodzi!... — mówił chłop, szybko zawracając konie. W pięć minut już go nie było.

Ranek zaczął się pogodnie i spokojnie. O jakąś wiorstę drogi widać było wieś, gęsto otoczoną drzewami; dym z kominów wesoło polatywał w górę. Świrski przeciągnął się, wypił dobry łyk wódki i pewnym krokiem szedł ku opłotkom. Na prawo ode drogi spostrzegł niewielką, murowaną kuźnię, w której rozlegał się dźwięk młotów. O paręset kroków za kuźnią zaczynały się chaty.

Wtem z za krzaka wysunął się młody chłopak, wołając:

— O, pan już idzie!... A tam czekają...

Nie powiedział, kto czeka, ale pędem pobiegł do najbliższych chat i wyprzedził Świrskiego, który, zbliżając się do wsi, zauważył kilku mężczyzn na drodze.

»Co to jest?« — pomyślał Kazimierz. Stanął, przypatrzył się. A ponieważ miał wzrok doskonały, poznał — Zajączkowskiego.

— O, to mi się udało!... — rzekł do siebie, widząc, że bandyta i jego dwaj towarzysze idą naprzeciw niemu.

http://rcin.org.pl

Teraz i Zajączkowski stanął, a zrobiwszy daszek z ręki, przypatrzył się Kazimierzowi i zawołał:

— Co ten hycel chłopak gada?... Przecie to nie Wypych... Jak Boga kocham, toż to naczelnik!...

Podbiegł do Świrskiego z wyciągniętemi rękoma i mówił wzruszony:

— Co pan naczelnik tu robi?... Chyba nie idzie pan do nas, bo nas ze wszystkich stron obsaczają, jak wilków... A prowadzi ich ten szczeniak Stasiek...

— Ale co pan tu robi? — odpowiedział Świrski. — Trzeba było od świętej pamięci zmykać do Galicyi...

Dwaj towarzysze Zajączkowskiego przypatrywali się Kazimierzowi z widoczną nieufnością.

— Ba, do Galicyi!... Już trzeci dzień w tamtą stronę maszerujemy, ale nam ciągle włażą w drogę... Psiakrew, jak się rozgniewam!... — dokończył Zajączkowski, ale nie powiedział: jaki ma być skutek jego gniewu.

— Cóż, pańska partya rozbita — rzekł Świrski, aby cośkolwiek powiedzieć. — Gdzież Dziewiątka?

— Oho!... — odpowiedział Zajączkowski. — Dostał kulą w szyję... A Kota to nawet zakłuli...

— A Litwin?...

— Także u lali... Kulka w serce i ani... ani!...

— A ten... ten pan Jan, co tak dużo gadał?...

http://rcin.org.pl

— Dał się głupi złapać i pewnikiem będzie wisiał... Oszwabiły nas, panie, te ruskie rewolucyonisty, co?... Mieli przysłać pomoc, a przysyłają kozaków i strażników, co?...

— Widać nie mają sił — wtrącił Świrski.

— To po co zaczynali?... Przez nich zmarnowaliśmy kupę ludzi, aż człowiekowi żal i wstyd... Żeby już raz cholera wzięła...

— Oni także giną...

— Ginąć byle kto potrafi... Trzeba było wygrać, nie ginąć...

— Kapitanie... kapitanie... strażnicy!... — zawołał jeden z milczących dotychczas towarzyszów Zajączkowskiego.

Świrski spojrzał: istotnie drogą jechało trzech konnych strażników.

— Zmykajta!... — krzyknął Zajączkowski. — Ja im teraz pokażę!... — Zdjął karabinek, wycelował i wypalił, może na sto pięćdziesiąt kroków. Jeden z jeźdźców pochylił się na szyję koniowi i spadł na ziemię; dwaj inni cofnęli się pędem.

— Umykaj naczelnik!... — krzyknął Zajączkowski do Kazimierza. — Nie zawadzać mi tutaj... Ja ich...

Towarzysze Zajączkowskiego już znikli. Świrski powoli cofnął się między chaty. Widział, że zaczyna się jakaś ciężka awantura, ale jej jeszcze nie rozumiał dokładnie.

Koń trafionego strażnika z początku stał nad

http://rcin.org.pl

swoim panem, następnie zwolna poszedł za innymi. Zajączkowski począł gonić go w stronę kuźni. Koń przyśpieszył kroku; lecz, gdy Zajączkowski zatrzymał się, i koń stanął, a potem znów uciekał szybciej. W taki sposób gonili się paręset kroków.

Wtem, gdy Zajączkowski wyminął kuźnię, na drodze, przed nim, ukazała się gromadka kozaków, którzy zaczęli strzelać w kierunku wsi. Zajączkowski odstrzelił się raz i drugi i zaczął biedz, ale już w stronę kuźni.

Świrski machinalnie odwrócił głowę i poza wsią spostrzegł oddział piechoty, rozsypany w tyralierkę. Na prawo, ode drogi, może w odległości wiorsty znowu ukazała się garść kozaków, a na lewo, het za kuźnią, posuwał się łańcuch piechoty. Teraz Kazimierz zrozumiał, że zarówno on sam, jak i Zajączkowski, są otoczeni ze wszystkich stron. W dodatku kozacy powtórzyli wystrzały, i kilka kul zasyczało ponad głową Świrskiego i dachami wsi.

Zajączkowski gdzieś zniknął, natomiast z murowanej kuzienki prędko wybiegł kowal i jego dwaj pomocnicy, bez czapek, z zawiniętymi rękawami koszul.

Świrski przeskoczył przez płot i chyłkiem, pomiędzy krzakami, biegł na wschód ode wsi; lecz, gdy zbliżył się do granicy, znowu zobaczył oddziałek piechoty, wynurzający się z pomiędzy wierzb.

http://rcin.org.pl

»No, przecież nie zginę z tym bandytą!...« pomyślał Kazimierz, i ogarnęła go, już nie wiadomo który raz w tych dniach, niewypowiedziana trwoga. Lękał się, że może być schwytanym; lękał się, że w więzieniu zdradzi wszystko, o czem było mu wiadomo; lękał się wreszcie, że zobaczy coś strasznego.

Zaczął biedz, potknął się w śniegu i upadł, zerwał się i, zadyszany, prawie nieprzytomny, wpadł do chaty, której gospodyni, siedząc przed ogniem, spokojnie obierała kartofle... To go otrzeźwiło. Głęboko odetchnął i rzekł:

— Matko... nie jestem bandyta, tylko podróżny... Ukryjcie mnie przed wojskiem, a dam wam pięćdziesiąt rubli...

— A paśport pan ma?... — zapytała powoli baba.

— Mam... mam...

— To niech pan wlezie na górę i weźmie za sobą drabkę.

W sieni stała drabinka, sięgająca do otworu strychowego. Świrski wbiegł po niej i prędko wciągnął ją za sobą. Potem upadł na jakiś łachman i, zamknąwszy oczy, prędko dysząc, przysłuchiwał się rzadkim wystrzałom. Wystrzały niekiedy milkły, potem odezwało się ich dwa lub trzy, jeden po drugim, czemu znowu odpowiedziały salwy: jedna... druga... trzecia...

»Znajdą mię, czy nie znajdą?... — myślał. — No, zanimby tu weszli, położyłbym kilku... Ale

http://rcin.org.pl

w takim razie spalą chałupę i zabiją gospodynią?...«

Wypił resztę wódki i — wpadł w jeszcze większe rozdrażnienie. Zdawało mu się, że w mroku, jaki go otaczał, wynurzają się dwa słupy, a na nich poprzeczna belka, pod którą chwieje się ludzka głowa, okryta workiem.

»Stryj nie przeżyłby, gdyby mnie powiesili... Pfu!... być wziętym do niewoli o kilkadziesiąt kroków od Zajączkowskiego, który się broni, a potem wisieć!...«

I znowu zaczął się lękać... lękać... Nie śmierci, ale schwytania... Cóż to za hańba, gdyby do miasta X. powrócił jeńcem?... Do miasta, gdzie Jędrzejczak umarł, byle nie zdradzić związku Rycerzy Wolności. I on, Świrski, on, twórca związku, on... w niewoli?...

Tymczasem pojedyńcze wystrzały i salwy powtarzały się coraz częściej. W ścianie strychu Kazimierz dostrzegł szparę, więc popełznął tam i oto co zobaczył.

Strzały pojedyńcze padały z murowanej kuźni, w której oczywiście zamknął się Zajączkowski sam jeden, gdyż towarzysze odrazu go opuścili. Od strony pola, ode drogi i ode wsi otaczał kuźnię łańcuch tyralierów; zaś między wierzbami, stojącemi nad zamarzłą rzeką, czuwali kozacy. Zajączkowski absolutnie wymknąć się nie mógł.

Nagle strzały ucichły, a we drzwiach kuźni

http://rcin.org.pl

Świrski zobaczył — brudną płachetkę, niby ręcznik.

— Zając poddaje się?... — szepnął Świrski.

Tak widać zrozumieli sytuacyę oblegający, i ze czterech żołnierzy pobiegło w stronę kuźni. Lecz, gdy zbliżyli się na kilkanaście kroków, z kuźni zaczęły padać wystrzały. Jeden z żołnierzy zachwiał się, inni schwycili go pod ręce i cofnęli się do drogi. W wojsku rozległ się złowrogi szmer, łańcuch tyralierów poruszył się... Widać żołnierze, rozwścieczeni podstępem Zajączkowskiego, chcieli biedz do ataku; ale powstrzymali ich oficerowie, i plac boju znowu zaległa taka cisza, jakby nikogo nie było.

»A teraz — co?...« — pomyślał Świrski. — Oczekiwanie czegoś niezwykłego tak mu ciążyło, że stracił przytomność. Nie był to sen, ani omdlenie, lecz jakby — zatrzymanie myśli.

Z tego stanu obudził go nowy szmer wojska. Kazimierz przetarł oczy i spojrzał. Daleko na drodze ukazała się gromadka jezdnych, którzy skręcili na prawo, a następnie wjechali na wzgórze, naprzeciw kuzienki. Gdy rozsunęli się, Kazimierz zobaczył — odprzodkowaną armatę.

W tej chwili przy kuźni dmuchnął niebieskawy dymek, i padł strzał karabinowy: jeden, drugi, trzeci... To Zajączkowski dał znać, że i on widzi armatę.

Chwila ciszy — i potężny, uroczysty huk zatrząsł chatą, gdzie leżał Świrski, a pocisk ar-

http://rcin.org.pl

matni wybuchnął o kilkanaście kroków przed kuzienką. Drugi huk — i zleciał kawałek dachu. Trzeci grom — wybił dziurę w ścianie kuźni, z której znowu odpowiedziano strzałami rewolwerowymi.

Świrski zamknął oczy i usłyszał jeszcze pięć piorunów, od których zdawało się, że podskakuje ziemia. Potem zaległa cisza... a potem... zaszemrało wojsko... Gdy Kazimierz otworzył oczy, zobaczył na miejscu kuzienki kupę gruzów, z pośród których ktoś wydobył czarny przedmiot — niby rękę czy nogę.

»Ten człowiek miał pogrzeb!... pomyślał Świrski, i sinawe usta złożyły mu się do uśmiechu. »Jeżeli teraz odejdą — marzył dalej — a odejść powinniby, mam do samej Galicyi otwartą drogę i — wspomnienia, jakiemi chyba jeszcze nikt się nie pochwalił...«

Istotnie wojsko zaczęło zbierać się w małe kolumny, i armata zjechała ze wzgórza. Nagle Świrski spostrzegł, najdalej o sto kroków od siebie, dwóch oficerów, którzy rozmawiając z grupą kozaków, wskazywali na jego chatę. W Kazimierzu serce bić przestało.

»Chyba wiedzą, że tu jestem?... Czyliżby denuncyowała mnie gospodyni?...«

Od grupy oderwało się czterech kozaków. Jeden, olbrzymi, szpakowaty brunet, szedł naprzód, dwaj inni niezgrabnie wlekli się za nim, czwarty, spóźniwszy się nieco, biegł w eleganc-

http://rcin.org.pl

kich podskokach, kokieteryjnie unosząc poły szynelu. Miał minę młodzieńca, zaufanego w swoją piękność, z pod płaskiej furażerki, osadzonej na bakier, sterczał mu duży pukiel jasnych włosów.

Kozacy doszli do chałupy, zaczęli pukać w okienko i we drzwi.

»Możeby zejść?... — pomyślał Kazimierz. — Przecie mam paszport...«

Czuł, że ręce i nogi kamienieją mu, a w piersiach niema jednej fibry, któraby nie drżała.

»Naprawdę możeby zejść? — myślał. — Kto wie, czy mi się i tym razem nie uda?...«

Nagle wyobraził sobie, że ten elegancki kozak z puklem chwyta go za kark i po śniegu ciągnie do oficerów, niby kawał padliny. Wstrząsnął się całem ciałem; przyłożył brauning do prawego ucha i — lekko nacisnął cyngiel... W jego głowie zahuczały dzwony całego świata, kula ziemska rozleciała się na ogniste kawałki i — zaczął się spokój wieczny...

Tymczasem kozacy nie przyszli bynajmniej aresztować Świrskiego; nie wiedzieli nawet, że jest na strychu. Oficerowie wysłali ich po prowianty, więc, zastawszy drzwi zamknięte, kozacy zaczęli pukać, a gdy im nikt nie otwierał, poszli do innych chałup.

Biedny Kazimierz pośpieszył się i tym razem.

KONIEC.

INSTYTUT BADAŃ LITERACKICH PAN BIBLIOTEKA Warszawa, ul. Nowy Świat 72 Tel. 26-68-63
Instytut Polonistyki
http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

K
1267